

**Tom IX /2012**

**Autor: Aleksander Ścios**

**Tytuł: „BEZ DEKRETU”.**

**Blog: <http://bezdekretu.blogspot.com>**

**Od 665 DO 705**

*„Nie uznaję autorytetów ani prawd objawionych III RP”*

*„Nie będziemy razem, bo nie ma przyzwolenia na „zdradę o Świcie” i na fałsz przekraczający ludzką miarę. Nie możemy być razem, bo nasz gniew jest dziś bezsilny, gdy zabrano nam tyłu niezastąpionych. Nigdy nie będziemy razem, bo pamiętamy - kto miał nienawiść i chciał zebrać jej żniwo”.*

## SPIS TREŚCI:

STYCZEŃ 2012 .....	3
665. NOWA POLSKA - O „KRAWCACH” Z WSI .....	3
666. ROSYJSKI TRYUMF POLSKIEJ PREZYDENCJI.....	4
667. REFORMA SŁUŻB CZY POWRÓT „KUŁAKA” ? .....	5
668. SYSTEMOWA INSCENIZACJA .....	7
669. CO DALEJ ? .....	8
670. KTO ZASTAWIA SIECI?.....	9
671. W STRONĘ REŻIMU PREZYDENCKIEGO .....	10
LUTY 2012.....	12
671. ŻOŁNIERZE INFORMACJI.....	12
672. BO NAJPIĘKNIEJ MILCZY TRUP.....	16
673. HIPOTEZA CZY DEZINFORMACJA. RZECZ O GRANICACH.....	18
674. BOJKOT- CZYLI JAK WYGRAĆ EURO DLA POLSKI .....	19
675. STAN PODLEGŁOŚCI .....	21
676. BRATERSTWO WYROSŁE Z KRWI.....	23
MARZEC 2012.....	24
677. RECENZJE ROLEXA - CZYLI O SWOBODZIE KOMBINOWANIA .....	24
678. AZERSKI ŚLAD - O TAJNEJ WIZYCIE BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO .....	26
679. CZAS NIEODWRACALNEJ RADOŚCI.....	27
680. ROSYJSKIE NARRACJE WIKILEAKS.....	29
681. CZY TRZEBA BYŁO MOCNIEJSZYCH SŁÓW? .....	30
682. CZAS SŁUŻBY PROPAGANDOWEJ .....	32
683. NOWE ROZDANIE - STARA INSCENIZACJA .....	33
684. CZY ZASŁUGUJEMY NA TAKĄ JEDNOŚĆ ? .....	34
685. DŁUGI MARSZ CZY KRÓTKI BIEG ? .....	35
KWIECIEŃ 2012 .....	36
686. SA PRZED NAMI WSZYSTKIE MOŻLIWOŚCI.....	37
687. NAS TO NIE DOTYCZY.....	37
688. UCIECZKI I DYMISJE. O NOWYM ROZDANIU .....	38
689. KATYŃSKI WYROK NA POLSKĘ .....	39
690. SUKCESORZY .....	40
MAJ 2012.....	42
691. JAK WYGRAĆ BOJKOT?.....	42
692. HISTORIA DLA IDIOTÓW I PROSTACZKÓW .....	43
693. JAKA NIEZALEŻNOŚĆ.....	44
694. WEJDA .....	46
695. SŁUŻBY WOKÓŁ SMOLEŃSKA .....	47
696. MITOLOGIA SOWIECKIEGO ŻOŁDAKA .....	48
697. MIMO NAKAZU MILCZENIA.....	49
CZERWIEC 2012.....	50
698. 1989 – NA POCZATKU BYŁO KŁAMSTWO.....	50
699. DANCE MAKABRE .....	51
700. ANTYKOMUNIZM – BROŃ UTRACONA 1. ....	52
701. ANTYKOMUNIZM – BROŃ UTRACONA 2. ....	54
702. MISTRZ I UCZEŃ .....	56
703. MY NIE AGRESORY .....	58
704. JAK KAMIEŃ NAGROBNY.....	59
705. ZABÓJCZY KONSUS .....	61

STYCZEŃ 2012

05.01.2012 17:18 74

## 665. NOWA POLSKA - O „KRAWCACH” Z WSI

W roku 2009 ppłk dypl. w st. spocz. dr. Mikołaj Szczepan „Kruk” Ociosany w nr.5. Biuletynu stowarzyszenia Pro Milito apelował do oficerów byłych WSI: *„Tylko roztropnie Panowie, tylko z umiarem... Wyhamujcie w sobie, Bracia Oficerowie, Iwią bezkarność.[...] Będą zmiany ! Wracajcie do „Nowej Polski” , która na Was czeka. Wracajcie”.*

Ludzie byłych WSI otwarcie przyznawali, że „nowa Polska” zaczynała się dla nich wraz z powstaniem koalicji PO-PSL, zaś w rządzie Donalda Tuska upatrywali rzecznika swoich interesów. *„Trzeba mieć nadzieję, że po 21 października 2007 roku – następcy Koalicji rządzącej Polską – posiadą zgola odmienny sposób „słuchania Rodaków”, w tym: Oficerów Służb Specjalnych – z Przedstawicielami Wywiadu i Kontrwywiadu Wojskowego włącznie oraz byłych Funkcjonariuszy Wojskowych Służb Informacyjnych”* – pisał już we wrześniu 2007 roku ppłk „Kruk-Ociosany”.

Gdyby sama nadzieja nie wystarczyła, sięgano po groźby: *„Nie chcemy rozgłosu, ale też nie pozwolimy by nas lekceważyła „hałastrą cienkoszyich, łysiejących wodzów”* – ostrzegano w pierwszej odezwie Komendy Głównej Pro Milito. Przesłanie dla nowej władzy brzmiało: *„Domagamy się respektowania naszych potrzeb, a w przypadku ich pogwałcenia – podjęcie środków zaradczych. Nie dopuścimy, aby nasze potrzeby były fiksovane, a żołnierskie biografie bezczeszczone”.* Już wówczas postawiono żądanie *„rozliczenia polityków i politykierów”*, wskazując, że ci, którzy zaakceptowali likwidację WSI *„muszą ponieść odpowiedzialność za skutki swych decyzji.”*

Przez następne miesiące ludzie byłych WSI poszerzali zakres swoich wpływów i otwarcie formułowali postulaty zmierzające do podważenia procesu likwidacji i weryfikacji ich służby.

W liście byłych szefów WSI, opublikowanym w roku 2008 napisano: *„Postulujemy prześledzenie procesu likwidacji i weryfikacji służb pod kątem popełnionych w jego trakcie nieprawidłowości i przypadków łamania prawa.”* W czerwcową noc 2008 roku, Sejm głosami obecnej koalicji uchwalił nowelizację ustawy o SKW i SW, która faktycznie zakończyła proces weryfikacji. W uzasadnieniu noweli napisano: *„Projektowane przepisy generalnie otworzą drogę żołnierzom zawodowym zniesionych Wojskowych Służbach Informacyjnych do „zagospodarowania ich” niezależnie od faktu czy Komisja Weryfikacyjna wyda, czy też nie, swoje stanowisko.”*

Intencje rządu Tuska wobec WSI zostały ujawnione w ówczesnym komunikacie MON, w którym napisano, iż *„ministerstwo stoi na stanowisku, iż nie można im odbierać szansy udowodnienia, że są dobrymi fachowcami, a ich wiedza i doświadczenie mogą być w dalszym ciągu wykorzystywane w odnowionych służbach wywiadu i kontrwywiadu wojskowego”.*

W tym okresie „dobrych fachowców” nie zabrakło w otoczeniu ówczesnego marszałka Komorowskiego - jako inspiratorów kombinacji operacyjnej, znanej jako „afery marszałkowa”.

Niespełna dwa lata później, gen. Marek Dukaczewski współzałożyciel stowarzyszenia Pro Milito, powołał kolejną organizację weteranów WSI o nazwie „Sowa”. Niemal w tym samym czasie, z nieznanych przyczyn z ubiegania o prezydenturę zrezygnował Donald Tusk, a grupa rządząca wystawiła kandydaturę politycznego patrona WSI - Bronisława Komorowskiego. Datą przełomową w działalności byłych oficerów wojskowych służb był bez wątpienia 10 kwietnia 2010 roku. Z chwilą śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego – depozytariusza aneksu do Raportu z Weryfikacji WSI – mobilizacja tego środowiska nabrała determinacji i rozmachu. Tylko w pamiętnym kwietniu 2010 członkowie „Sowy” spotkali się dwukrotnie: przed katastrofą - w pierwszym dniu kwietnia na „uroczystym spotkaniu” z gen. Dukaczewskim oraz w dniu 24.04 na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu Członków Stowarzyszenia.

Być może zaplanowano wówczas działania mające doprowadzić do pełnej reaktywacji wpływów byłych WSI i przywrócenia tej służbie „dobrego imienia”. Nieodłącznym elementem tych działań stały się liczne zawiadomienia o rzekomych przestępstwach popełnianych przez likwidatora WSI i członków Komisji Weryfikacyjnej. Od czasu, gdy Bronisław Komorowski w reakcji na wezwanie przez Komisję oświadczył: *„pan Macierewicz powinien zniknąć”* - osoba pierwszego szefa SKW należy do najczęściej atakowanych przez rządowe media i przedstawicieli grupy rządzącej. Ludzie „Sowy” mieli zatem świadomość, że ich postulaty i zawiadomienia trafiają na podatny grunt.

Antoni Macierewicz jest także bohaterem większości publikacji zamieszczanych na stronie internetowej stowarzyszenia. Ataki nasiliły się po objęciu przez posła funkcji przewodniczącego zespołu parlamentarnego PiS ds. tragedii smoleńskiej. Plan dyskredytacji Macierewicza koresponduje zatem z politycznym „zapotrzebowaniem” grupy rządzącej, zaś postawienie posłowi zarzutów prokuratorskich urasta nie tylko do aktu zemsty za likwidację WSI, ale pozwoli również na propagandowe zdezawuowanie dotychczasowych ustaleń zespołu parlamentarnego. Nie przypadkiem dowody zgromadzone przez zespół PiS przedstawia się w fałszywym kontekście Raportu z Weryfikacji WSI. Po publikacji Białej Księgi, autorzy ze stowarzyszenia „Sowa” napisali:

*„Mamy kolejny ”Raport Macierewicza”, tym razem na temat katastrofy smoleńskiej. Wierny harcownik Kaczyńskiego ponownie wkroczył do akcji i przy pomocy sprawdzonych, skutecznych metod sączy do głów Polaków to, co stanowi istotę bytu*

politycznego PIS-u, *jad nienawiści zakamuflowany miłością do ojczyzny. [...] Mieszanina faktów i kłamstw oraz zarzutów o zbrodniczą działalność miała już miejsce wcześniej, w Raporcie Macierewicza dot. WSI*".

Od wielu miesięcy ludzie z tej formacji domagają się rozwiązania swoich „problemów”. W liście z maja 2011 roku skierowanym do Donalda Tuska, gen. Dukaczewski przypominał: *„Pragnę podkreślić, że do chwili obecnej nasze problemy nie zostały rozwiązane mimo deklaracji przedwyborczych partii Pana Premiera oraz oburzenia wyrażonego w tzw. "Antyraporcie", jak również mimo uchwalenia przez posłów Platformy Obywatelskiej zmian w ustawie znoszącej WSI w dniu 25 lipca 2008 r., która nie uwzględnia zapisów zawartych w wyrokach Trybunału Konstytucyjnego”*.

Miesiąc później Dukaczewski w piśmie do premiera wyraził nadzieję, że *„sprawa skrzywdzonych przez Raport Antoniego Macierewicza i Komisje Weryfikacyjna żołnierzy i pracowników WSI zostanie w końcu rozwiązana zgodnie z zasadami obowiązującymi w demokratycznym państwie”*.

Nietrudno zauważyć, że działania dyspozycyjnej prokuratury wpisują się w sugestię ostatniego szefa WSI o rozwiązanie sprawy „skrzywdzonych”.

W obecnej kampanii nie wspomina się nawet o orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z czerwca 2008 roku, w którym stwierdzono, że ustawy o powołaniu służb wywiadu i kontrwywiadu wojskowego są zgodne z konstytucją, a przy likwidacji WSI nie złamano zasad konstytucyjnych. Trybunał orzekł również, że prezydent RP nie popełnił przestępstwa, publikując Raport z weryfikacji WSI. W prawomocnych wyrokach, wydanych w sprawach wygranych przez Antoniego Macierewicza, sądy wielokrotnie podkreślały, że likwidator WSI *„działał w granicach prawa, nie jako osoba prywatna, ale urzędnik państwowy - szef Komisji Weryfikacyjnej ds. WSI i mówił o urzędowym dokumencie opublikowanym przez prezydenta - raporcie z weryfikacji WSI”*. Sąd Okręgowy w Warszawie oddalając zaś pozew Jana Wejcherta orzekł, że *„dokument urzędowy chroni domniemanie prawdziwości i autentyczności, czego nie obalono, podobnie jak nie obalono zgodności z prawem trybu i formy powołania Macierewicza na stanowisko państwowe”*.

Orzeczenia te zadawały kłam trwającej od lat kampanii dezinformacji, w której Macierewicza przedstawiano jako nieodpowiedzialnego szaleńca, zaś likwidację WSI jako proces szkodliwy dla państwa i wręcz nielegalny.

Można sądzić, że celem obecnych zabiegów jest wyłącznie uchylenie immunitetu posła PiS i postawienie go w stan oskarżenia. Okoliczność ta zostanie następnie rozegrana w medialnych spektaklach propagandowych i posłuży do dezawuowania treści końcowego raportu zespołu smoleńskiego. Organy prokuratury, bazując na doniesieniach byłych oficerów WSI muszą mieć świadomość, że ewentualny proces sądowy zakończy się ich porażką. Chodzi zatem o działania strictly polityczne, obliczone na doraźne efekty propagandowe.

Pod koniec listopada 2011 roku, tuż przed ogłoszeniem informacji na temat wniosku w sprawie uchylenia immunitetu, na stronie stowarzyszenia „Sowa” znalazły się intrygujące słowa. Warto je odczytać w kontekście późniejszych wydarzeń. W odpowiedzi na zarzut jednego z komentatorów dotyczący *„milczenia stowarzyszenia wobec niebywałego festiwalu oszczerczych wypowiedzi Macierewicza i jego asystentów”*, padła odpowiedź, że „Sowa” *„przygotowuje gazetki podziemne i inne ciekawe materiały. Układa formy i kroi. To, co skroi, przymierzy na manekinach. Uszyje na miarę. A potem już będzie tylko pruucie.”*

07.01.2012 17:44 93

## 666. ROSYJSKI TRYUMF POLSKIEJ PREZYDENCJI

Istnieje tylko jeden obszar, w którym działania dyplomacji III RP okazują się niebywale skuteczne. Tym bardziej może zaskakiwać, że grupa rządząca niespecjalnie chwali się swoimi osiągnięciami w roli rosyjskiego „konia trojańskiego”, zaś rządowe przekazańniki nie nagłaśniają spektakularnych sukcesów polskich „przyjaciół” pułkownika Putina.

Przemilczano zatem fakt, że zakończona niedawno tzw. polska prezydencja w UE okazała się pasmem zwycięstw rosyjskiej dyplomacji, a podjęte w tym czasie decyzje posłużą realizacji rosyjskiej koncepcji „strategicznego partnerstwa Rosji i Unii Europejskiej”.

Trwałe związanie III RP z władzą kremlowskich „siłowników” i oddanie naszego kraju w strefę wpływów Rosji sprawiło, że dyplomacja grupy rządzącej stanowi zaledwie użyteczne narzędzie w rękach moskiewskich decydentów i próżno byłoby w tym obszarze poszukiwać decyzji korzystnych dla naszej przyszłości. Od chwili, gdy minister Ławrow zawitał z „roboczą wizytą” na naradę polskich ambasadorów, by tuż po tragedii smoleńskiej ustalać zakres „dobrosąsiedzkich kontaktów z Polską” - wszelkie działania polskich „przyjaciół” zostały podporządkowane dyktatowi Kremla.

Podstawę tych relacji, od kwietnia 2010 roku wyznaczają: zmowa milczenia wokół tragedii smoleńskiej i przyjęta przez grupę rządzącą rola współników kłamstwa smoleńskiego, ekonomiczne uzależnienie Polski od dostaw rosyjskich źródeł energii, instytucjonalne zadekretowanie „przyjaźni” polsko-rosyjskiej oraz zawłaszczenie życia publicznego przez stronników „partii moskiewskiej”.

O kierunkach polityki III RP możemy dowiedzieć się z dokumentów prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie opracowuje się właśnie „strategię bezpieczeństwa narodowego”. Zawarte w niej „rekomendacje” nie pozostawiają wątpliwości

odnośnie intencji obecnej ekipy: „*Warunkiem jaki musimy zaakceptować, co wymaga kroku do przodu ze strony Polski i całej wspólnoty atlantyckiej, jest porozumienie z Rosją taką jaka ona jest i chce być. Trzeba zrezygnować z misyjności i życzeniowej polityki zmierzającej do skłonienia Rosji do pełnego przyjęcia zachodniego modelu ustrojowego i uznać, że jest możliwa promowana przez Kreml modernizacja Rosji bez demokratyzacji na wzór zachodni. Polska w tym scenariuszu musi zdecydować się na pojednanie z Rosjanami i traktowanie ich państwa nie jako tradycyjnego przeciwnika, lecz istotnego gwaranta bezpieczeństwa europejskiego, w tym naszego bezpieczeństwa.*” – napisano w ekspertyzie zatytułowanej „Budowa zintegrowanego systemu bezpieczeństwa narodowego Polski”.

W oficjalnym dokumencie, określającym priorytety polskiej prezydencji zapisano natomiast, że szczególną uwagę rząd Tuska poświęci „*stosunkom ze Wschodem*”, zaś „*polska prezydencja będzie dążyć do zawierania umów stowarzyszeniowych, tworzenia stref wolnego handlu z UE, dokonania postępu w liberalizacji wizowej i handlowej oraz zintensyfikowania współpracy gospodarczej.*”

W praktyce doprowadziło to do realizacji dwóch, najważniejszych projektów: otwarcia granicy z obwodem kaliningradzkim oraz przyjęcia Rosji do Światowej Organizacji Handlu (WTO).

Pierwszy z celów został wytyczony przez ministra Ławrowa, tuż przed rozpoczęciem polskiej prezydencji. Podczas spotkania szefów dyplomacji Polski, Niemiec i Rosji w maju 2011 roku Ławrow stwierdził, że jedyną przeszkodą na drodze jak najszybszego podpisania umowy o otwarciu granicy jest „*biurokratyczne podejście, które ignoruje interesy dwóch krajów, których to dotyczy, czyli Polski i Rosji*” i wyraził przekonanie, że „*zdrowy rozsądek, weźmie górę i sprawa zostanie rozwiązana w ciągu najbliższych miesięcy.*”. Kilka tygodni później dyrektor oddziału Unii Europejskiej MSZ Rosji Georgij Michno przemawiając w Moskwie na rosyjsko-polskim seminarium przypomniał, że wierzy, iż „*Polska doloży maksymalnych wysiłków, aby słynny regulamin Rady Unii Europejskiej nr. 1931 w sprawie małego ruchu przygranicznego został uzupełniony.*” Była to zasadna wiara.

Natychmiast po przejściu prezydencji przez Polskę, Komisja Europejska zaaprobowwała polską propozycję, aby cały obwód kaliningradzki został objęty unijnymi regulacjami bezwizowego ruchu przygranicznego, dokonując w prawie unijnym takich zmian, które pozwolą Rosjanom przekraczać naszą granicę. Kolejna „robocza wizyta” Ławrowa w Warszawie w dniach 27-28 października ubiegłego roku i szóste z kolei posiedzenie „komitetu ds. strategii współpracy rosyjsko-polskiej”, przyspieszyły ostateczną decyzję i już 14 grudnia 2011 podpisano umowę o małym ruchu granicznym, którą Ławrow nazwał „*zwiastunem ruchu bezwizowego z całą UE*”.

Dzień później rosyjski minister obrony Serdiukow w szczególny sposób podziękował „polskim przyjaciółom” za ich dwuletnie starania, grożąc, że „*jeśli tylko w Polsce pojawią się jakieś elementy amerykańskiej obrony antyrakietowej, to my podejmiemy adekwatne środki w odpowiedzi. Rosja nie dopuści do naruszenia strategicznej równowagi, do czego doprowadzą działania naszych zachodnich partnerów*”. Odpowiedzią na polskie zabiegi była także decyzja prezydenta Miedwiediewa z listopada ub.r. o rozmieszczeniu w obwodzie kaliningradzkim baterii rakiet Iskander, wymierzonych w cele na terytorium III RP.

Nie ulega wątpliwości, że także przyjęcie Rosji do WTO nastąpiło na skutek zabiegów dyplomacji Donalda Tuska. Już w czerwcu 2011 roku pełnomocnik rządu ds. polskiej prezydencji Mikołaj Dowgielewicz wyraził życzenie, „*aby jeszcze w tym roku Rosja przystąpiła do WTO. Polska ze swej strony jest zwolennikiem takiego kroku*”. Do sukcesu wyraźnie przyznał się wicepremier Pawlak, wymieniając tę decyzję jako główne osiągnięcie prezydencji: „*Udało nam się sfinalizować trwający 18 lat proces akcesji Rosji do Światowej Organizacji Handlu. Jest to duży sukces polskiej prezydencji w obszarze wspólnej polityki handlowej Unii*” – oświadczył z dumą Pawlak podpisując 16 grudnia, w imieniu Unii Europejskiej, cztery porozumienia z Rosją.

Warto zwrócić uwagę na sens tej wypowiedzi, w której określenie „udało nam się” pozwala zidentyfikować rosyjskie interesy w granicach „racji stanu” obecnej ekipy rządowej.

Nie przypadkiem ośrodek propagandy przemilcza dyplomatyczne sukcesy i nie nagłaśnia osiągnięć rosyjskiego „konia trojańskiego”. Ta zadziwiająca skromność może świadczyć, że nawet im trudno byłoby wskazać polski interes tam, gdzie rząd Tuska działa na rzecz kremlowskich ludobójców, otrzymując w zamian gesty wrogości i pogardy.

Nikt też nie zada pytań o rejestr korzyści wynikających z polskiej prezydencji i nie będzie dociekał, jakie starania podjęto na rzecz polskiego społeczeństwa.

Dla nas nowy rok rozpoczął się serią horrendalnych podwyżek i zapowiedzią dramatów ludzi chorych i ubogich. Tylko płynące z Kremla pomruki zadowolenia i pochwalne peany rosyjskiej prasy przypominają, że polscy „przyjaciele” dobrze wykonali swoją robotę.

11.01.2012 18:53 61

## 667. REFORMA SŁUŻB CZY POWRÓT „KUŁAKA” ?

W powszechnej opinii, ostatnie roszady i dymisje w MSW mają być efektem wewnętrznych rozgrywek w PO i świadczyć o pozbywaniu się urzędników związanych z Grzegorzem Schetyną. Ta prosta interpretacja, narzucona odbiorcom przez

rządowe media pozwala oceniać zakres zmian w kategoriach walk frakcyjnych, a tym samym, skutecznie skrywa prawdziwe intencje grupy rządzącej i utrudnia głębszą ocenę zjawiska.

W podobny, mocno uproszczony sposób opiniuje się decyzję o powołaniu na stanowisko szefa MSW Jacka Cichockiego, dostrzegając w niej m.in. zamiysł przejęcia przez premiera kontroli nad służbami specjalnymi. Jest to opinia o tyle błędna, że zawiera w sobie ukrytą supozycję, jakoby do tej pory Donald Tusk formalnie nie posiadał takiej władzy lub musiał o nią zabiegać. Warto zatem przypomnieć, że już w listopadzie 2007 roku Tusk zapowiedział likwidację stanowiska koordynatora ds. służb specjalnych i oświadczył, iż on sam będzie ponosił odpowiedzialność za funkcjonowanie tych formacji. Deklarację powtórzył w styczniu 2008 roku, obejmując osobisty nadzór nad pięcioma służbami specjalnymi. Była to decyzja o tyle zasadna, że grupa rządząca od początku traktowała służby instrumentalnie i po okresie personalnych czystek, uczyniła z nich narzędzie dla ochrony partyjnych interesów. Zapoczątkowany wówczas proces „bondaryzacji”, doprowadził do powstania szeregu patologii w funkcjonowaniu służb i przyczynił się do budowy „rzeczpospolitej aferalnej”.

Na obecne działania Donalda Tuska warto jednak spojrzeć z perspektywy wyzwań czekających wkrótce grupę rządzącą i ocenić je w świetle wspólnych interesów Pałacu Prezydenckiego i Kancelarii Premiera, definiowanych głównie poprzez strategię utrzymania władzy. Sprawa dymisji i rozszad personalnych wskazuje więc, że planowane są wspólne działania, które pozwolą rządzącym przetrwać najtrudniejszy okres kryzysu ekonomicznego i umożliwią zneutralizowanie zagrożeń wynikających np. z wybuchu protestów społecznych.

W tym celu sięgnięto po rozwiązania sprawdzone w okresie PRL-u, a praktykowane obecnie w putinowskiej Rosji. Dotyczą one wprowadzenia specyficznej koncepcji bezpieczeństwa - rozumianej jako zapewnienie gwarancji bezkarności i samowoli grupy rządzącej. Wymagają zatem objęcia społeczeństwa nadzorem służb specjalnych, stosowania różnorodnych form kontroli i represji oraz działań służących marginalizowaniu, a następnie eliminacji autentycznej opozycji.

Z tego też powodu, wszelkie regulacje prawne podejmowane przez rząd Tuska w sferze bezpieczeństwa, zmierzały zawsze w kierunku zbliżonym do rozwiązań rosyjskich i dotyczyły m.in. koncepcji centralizacji specużb, przeprowadzonej zgodnie z sowieckim modelem „kułaka” – czyli „zaciśnięcia” wszystkich formacji wokół jednej struktury, powstałej na wzór KGB. Wydaje się, iż warunkach III RP rolę tę spełniała dotychczas Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wyposażona m.in. w potężne instrumenty nadzoru nad procesami gospodarczymi czy przepływem informacji. Wszystkie regulacje łączył wszakże wspólny mianownik; prowadziły do zwiększania (i tak niebotycznych) uprawnień służb oraz rozbudowy systemu kontroli nad społeczeństwem. Sprawiły również, iż formacje siłowe były w pełni dyspozycyjne wobec grupy rządzącej i zapewniały ochronę jej interesów.

Wbrew obiegiowym opiniom - działania podejmowane dziś przez ministra Cichockiego, szczególnie w zakresie planowanej reformy służb, nie są pomysłem rządu Donalda Tuska. Ich autorów należy poszukiwać w strukturach prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, nie zapominając jednak o możliwych źródłach inspiracji. Warto więc przypomnieć, że według ustaleń dziennikarzy „Gazety Polskiej”, tuż po ogłoszeniu wyników wyborów parlamentarnych doszło w Warszawie do konsultacji polsko-rosyjskich, w których udział wzięli przedstawiciele BBN i aparatu Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. W październikowym spotkaniu uczestniczył m.in. szef BBN Stanisław Koziej oraz zastępca szefa Biura Zdzisław Lachowski – zidentyfikowany niedawno przez „GP” jako tajny współpracownik komunistycznej bezpieki. 14 października ub.r., dzień po tajemniczych konsultacjach odbyły się zaś rozmowy „ekspertów” obu krajów, których tematem była „*Polska w polityce bezpieczeństwa Rosji. Rosja w polityce bezpieczeństwa Polski*”.

Nie sposób oczywiście ocenić – czy i na ile tego rodzaju konsultacje wywarły bezpośredni wpływ na koncepcje bezpieczeństwa powstające w BBN, trudno wszakże nie dostrzec, że plany reformatorskie Tuska i Cichockiego zostały opracowane w środowisku Bronisława Komorowskiego i powstały tuż po spotkaniach z rosyjskimi „ekspertami”.

W nr 20/2011 kwartalnika BBN, z listopada 2011 roku, zatytułowanym „Ku nowej strategii bezpieczeństwa Unii Europejskiej” znajdujemy bowiem opracowanie Lucjana Belzy „Pozycja szefów służb w sferze bezpieczeństwa pozamilitarnego”, w nim zaś - wszystkie pomysły związane z planowaną obecnie reformą, w tym - przeprowadzenia gruntownych zmian systemowych w zakresie kontroli nad służbami specjalnymi. Na stronie 124 dokumentu BBN widnieje zatem postulat „*podporządkowania ABW ministrowi spraw wewnętrznych (przy założeniu wydzielenia spraw administracji do odrębnego resortu), z ograniczeniem jej zadań do spraw ochrony kontrwywiadowczej*”, zaś pozostałe wnioski prowadzą do sugestii podporządkowania Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW) ministrowi obrony narodowej oraz utworzenia jednej Agencji Wywiadu powstałej z połączenia Agencji Wywiadu ze Służbą Wywiadu Wojskowego (SWW) z wyodrębnionym pionem cywilnym i wojskowym.

Warto przypomnieć, że gdy na początku stycznia 2011 roku „Gazeta Polska” twierdziła, iż jedną z pierwszych decyzji Komorowskiego było zlecenie Biura Bezpieczeństwa Narodowego przygotowania zmian systemowych w zakresie kontroli nad służbami – informacja ta spotkała się z dementi rzeczniczki prasowej BBN. Tymczasem treść oficjalnych dokumentów Biura świadczy, że opracowano szczegółową koncepcję, której wykonaniem ma zająć się ekipa stworzona przez ministra Cichockiego. Jeśli obecny szef MSW twierdzi, iż będzie chciał „*przedstawić panu premierowi kilka wariantów zmian systemowych, bazując na doświadczeniach z minionych 4 lat*” – wiele wskazuje, że nie będą to pomysły nowego ministra, a ich autorów należy poszukiwać w środowisku Bronisława Komorowskiego.

Na uwagę zasługuje fakt, że projekty powstałe w BBN postulują włączenie SWW oraz SKW w strukturę Sił Zbrojnych RP – czyli sugerują powrót do rozwiązań sprzed 2006 r., kiedy to Wojskowe Służby Informacyjne znajdowały w strukturze MON, a funkcje dowódcze mogli pełnić wyłącznie żołnierze zawodowi. Obecna koncepcja połączenia, według której funkcjonariusze cywilni nie mogliby być szefami służb wojskowych, zmierza zatem do odtworzenia układu personalnego WSi. Dokument opracowany w BBN zawiera taki właśnie postulat, ze szczegółowym uzasadnieniem: „*Połączenie struktur wywiadu cywilnego i*

wojskowego (przy założeniu istnienia pionu wojskowego w nowej strukturze i zastrzeżeniu, że stanowiska w tym pionie powinny być obsadzone przez żołnierzy zawodowych) poza ewidentnym ograniczeniem kosztów wyeliminowałoby dublowanie zadań i usprawniłoby proces koordynacyjny i decyzyjny”.

To również w BBN-ie można poszukiwać genezy pomysłu podziału MSWiA i utworzenia nowego ministerstwa administracji i cyfryzacji. W cytowanym opracowaniu zawarto bowiem wniosek o „przekazanie z ABW i SKW do wyodrębnionej struktury w sferze administracji (np. przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów) zadań o charakterze administracyjnym wynikających z ustawy o ochronie informacji niejawnych”. W nowym resorcie, kierowanym przez Michała Boniego, znajdują się właśnie sprawy administracyjne z zakresu ustawy o ochronie informacji niejawnych.

Jeśli dostrzec, że pomysł włączenia Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego do struktur MSW (związany ze znaczącym ograniczeniem jej kompetencji) jest także autorstwa BBN, można sądzić, że istota proponowanych przez Cichockiego zmian systemowych zmierza do odebrania Agencji dotychczasowej pozycji „kułaka” i zbudowania „nowego” modelu służb, funkcjonującego w oparciu o układ personalny byłych WSI. Byłby to powrót do peerelowskiej koncepcji – nie tylko z powodu lokalizacji w MSW cywilnego wywiadu i kontrwywiadu, ale głównie z uwagi na uprzywilejowaną pozycję służb wojskowych i faktyczny zakres ich uprawnień. W „nowym” układzie nie przewidziano możliwości sprawowania parlamentarnej kontroli nad służbami. Zadbano o to na początku grudnia ub.r. konstruując taki skład sejmowej komisji ds. specsłużb, iż brak profesjonalizmu jej członków zapewni całkowitą szczelność, a zatem i bezkarność działań służb.

Patrząc z tej perspektywy na dokonane już i planowane dymisje, można przypuszczać, że ich kluczem nie jest bynajmniej przynależność do frakcji „schetynistów” lecz użyteczność urzędników w zakresie funkcjonowania nowej struktury służb specjalnych oraz związana z tym potrzeba bezwzględnej dyspozycyjności. Odejście Andrzeja Matejuka, a szczególnie dymisja Adama Rapackiego mogą świadczyć, że byli oni przeciwnikami planowanych zmian lub zgoła inaczej postrzegali swoje zadania. Powołanie w ich miejsce ludzi nieznanymi, za to w pełni dyspozycyjnymi wobec premiera, ujawnia również powód nominacji Jacka Cichockiego na stanowisko szefa MSW.

Dokonywane zmiany wskazują jednocześnie, że realna władza nad służbami specjalnymi nie musi należeć do premiera, a tym bardziej do marionetkowych ministrów jego rządu. Już zagadkowa rezygnacja Donalda Tuska z kandydowania w wyborach prezydenckich, ujawniła rzeczywisty zakres przywództwa polityka PO. Wzniesiona na tej rezygnacji kandydatura Komorowskiego – szczególnie w kontekście późniejszej o dwa miesiące tragedii smoleńskiej - wydawała się wówczas efektem zawarcia swobodnego konsensusu między głównymi graczami polskiej sceny. Tymczasem zdarzenia ostatnich miesięcy, a wśród nich spektakl medialny wokół Gromosława Czemińskiego, mogły świadczyć, że w obszarze gry interesów i podziału ról, narasta poważny konflikt. „Nowe rozdanie” w służbach specjalnych i realizacja przez rząd koncepcji zatwierdzonych w BBN wydają się sugerować, że centrum decyzyjne leży dziś w Pałacu Prezydenckim, zaś beneficjentów planowanych rozstrzygnięć należy upatrywać wśród przyjaciół Bronisława Komorowskiego.

## 668. SYSTEMOWA INSCENIZACJA

W piśmie z 22 lipca 2010 roku skierowanym do ministra obrony Bogdana Klicha, nowa rzecznik praw obywatelskich Irena Lipowicz występując „w sprawie problemów powstałych w wyniku wejścia w życie przepisów ustawy likwidującej Wojskowe Służby Informacyjne”, poinformowała ministerstwo, że wpływają do niej skargi od żołnierzy rozwiązanych WSI, w których podnoszony jest zarzut, „iż z powodu braku weryfikacji złożonych przez nich oświadczeń zostali decyzją Ministra Obrony Narodowej zwolnieni z zawodowej służby wojskowej albo też nie zostali wyznaczeni na stanowiska przez Pełnomocników SKW lub SWW, pomimo wyrażonej przez nich chęci zatrudnienia w nowopowstałych służbach.”

Żołnierze byłych WSI skarżyli się, że obecne przepisy uniemożliwiają im „zajmowanie stanowisk służbowych w sądach wojskowych, w prokuraturach wojskowych, w jednostkach Żandarmerii Wojskowej, a także na stanowiskach służbowych w wojskowych jednostkach rozpoznania oraz jednostkach zwiadowczych.”

Rzecznik zwracała zatem uwagę, że środowisko byłych WSI uznaje za dyskryminujące przepisy uniemożliwiające zajmowanie stanowisk w wojskowym wymiarze sprawiedliwości i podkreślała, że „większość żołnierzy WSI posiadało takie właśnie wykształcenie specjalistyczne, a przywołany przepis w praktyce uniemożliwił im dalszą służbę w wojsku.”

Sądzę, że niedawna inscenizację z udziałem prokuratora Przybyła, należy oceniać w znacznie szerszym kontekście, niż chce tego oficjalna propaganda. Szerzej nawet, niż wynika to z trafnej konkluzji, iż mamy do czynienia z projekcją konfliktu między prokuraturą wojskową i cywilną oraz działaniem mającym zablokować likwidację wojskowego „wymiaru sprawiedliwości”.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że w Prokuraturze Generalnej (PG) istniały plany głębokiej przebudowy obecnej struktury oraz trwały prace nad nową ustawą o prokuraturze. 12 października 2011 w PG odbyło się posiedzenie zespołu, powołanego przez Andrzeja Seremeta, którego celem było „opracowanie propozycji zmian w ustroju prokuratury wojskowej, w związku z zaistniałymi w ostatnich latach przemianami w Siłach Zbrojnych RP, a także ograniczeniem właściwości prokuratur wojskowych”. Komunikat Wydziału Informacji PG nie wskazywał, czym zakończyło się to spotkanie. Natomiast na stronie Naczelnej Prokuratury Wojskowej podano, iż „zespół powołany przez Prokuratora Generalnego, dostrzegając potrzebę funkcjonowania prokuratury wojskowej przyjął, jako kierunek dalszego działania, konieczność podjęcia prac legislacyjnych, zmierzających do poszerzenia właściwości wymiaru sprawiedliwości sprawowanego w wojsku, a nadto restrukturyzacji wojskowych jednostek organizacyjnych prokuratury. Tym samym odrzucił koncepcję likwidacji prokuratury wojskowej.”

Można przypuszczać, że komunikat prokuratury wojskowej bardziej przypominał projekcję życzeń, niż oddawał stan faktyczny. 9 listopada 2011 roku Andrzej Seremet powołał bowiem kolejny zespół do spraw opracowania założeń do nowej ustawy o prokuraturze. Choć w jego składzie znaleźli się m.in. naczelnicy i dyrektorzy wydziałów PG – zabrakło miejsca dla prokuratorów wojskowych.

Incydent z udziałem prok. Przybyła sprawił zatem, że sprawa reformy prokuratury i dalszego funkcjonowania wojskowego wymiaru sprawiedliwości, została szczególnie mocno nagłośniona. W tym kontekście warto dostrzec pospieszne i niezwykle

aktywne zaangażowanie Bronisława Komorowskiego oraz prezydenckiego BBN-u. Reakcja lokatora Belwederu jest tym bardziej osobliwa, że nie wykazywał on dotąd zainteresowania sprawami prokuratury, zaś pod koniec ubiegłego roku – mimo protestów Związku Zawodowego Prokuratorów – podpisał ustawę zamrażającą wynagrodzenia prokuratorskie w 2012 roku.

Wydaje się nawet, że szybka reakcja Komorowskiego powinna się kojarzyć z podobną sytuacją, gdy tuż po zdarzeniach z 11 listopada, zgłosił on potrzebę natychmiastowych zmian w ustawie o zgromadzeniach i wystąpił z gotową propozycją nowelizacji ustawy, zaostrażającą prawo do organizowania zgromadzeń.

Obecne zaangażowanie Komorowskiego zmierza również do wysunięcia propozycji „rozwiązań systemowych” i może wywoływać podejrzenie, że środowiska skupione wokół Pałacu Prezydenckiego przygotowały już projekty, z których ujawnieniem oczekiwano na stosowną chwilę. Incydent z płk Przybytem stanowił zatem dogodny moment, by Bronisław Komorowski ujawnił się w roli bezstronnego mediatora i rozwiązał „spór o miejsce i przyszłość prokuratury wojskowej”.

Podejrzenie to wspiera się również na lekturze oficjalnych dokumentów Biura Bezpieczeństwa Narodowego, z których wyłania się projekt „kompleksowej reformy służb odpowiedzialnych za kwestie obronności”. Charakterystyczna cecha proponowanych rozwiązań polega na podporządkowaniu poszczególnych służb specjalnych ministrom: obrony narodowej i spraw wewnętrznych - przy czym zakłada się powrót do rozwiązań sprzed 2006 roku i włączenie Służby Wywiadu i Służby Kontrwywiadu Wojskowego w strukturę Sił Zbrojnych RP. Z tym postulatem związana jest propozycja, by funkcje dowódcze w „nowych” służbach wojskowych, mogli pełnić wyłącznie żołnierze zawodowi. Propozycja ta zmierza zatem do odtworzenia układu personalnego byłych WSI i umożliwiała powrót żołnierzy tej formacji na stanowiska dotychczas dla nich niedostępne w strukturze Sił Zbrojnych. Tego rodzaju wnioski wynikają wprost z projektu przedstawionego przez dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego BBN Lucjana Belzę.

Ewentualna likwidacja prokuratur wojskowych i przeniesienie spraw wojska do sądownictwa powszechnego, mogłoby utrudnić proces rekonstrukcji tego układu. Dotychczasowa praktyka prokuratorskich orzeczeń w sprawach dotyczących przestępstw byłych WSI, czyni z nich bowiem „prywatne prokuratury wojskowe” – jak przed siedmiu laty, w artykule „Wojskowa Siatka Interesów” nazwał ten organ Jarosław Jakimczyk. To zaś zapewnia poczucie bezkarności ludziom wymienionym w Raporcie z Weryfikacji WSI. W artykule tym pada m.in. twierdzenie: „Prokuratura wojskowa mająca tropić afery w wojsku nie jest instytucją w pełni suwerenną, bo prokuratorzy jako oficerowie wojska podlegają ministrowi obrony narodowej. W miejsce prokuratur wojskowych należy powołać specjalne referaty w prokuraturach powszechnych.” Autor przypominał również, że „w ostatnich latach prokuratura wojskowa wręcz uginęła się od spraw, w które zamieszani byli oficerowie WSI. Ich prowadzenie nasuwa skojarzenie z państwem totalitarnym, gdzie zadaniem prokuratury i sądu było potwierdzanie założonej tezy tak, by włos z głowy nie spadł prawdziwym mocodawcom.”

Można przypuszczać, iż rozwiązania proponowane obecnie przez Prokuratora Generalnego (w tym w ustawie o prokuraturze) zmierzały właśnie do zmiany lokalizacji spraw wojskowych, a zatem pozwalałyby na ich ocenę przez prokuratorów i sądy cywilne. Likwidacja prokuratur wojskowych umacniałaby umocniałaby cywilny nadzór nad wojskiem i zwiększała w tym zakresie kompetencje Prokuratora Generalnego. Zagroziłoby to istnieniu obecnego status quo, gdy afery w wojsku, w tym przestępstwa byłych WSI podlegają rozstrzygnięciom wojskowego „wymiaru sprawiedliwości”.

Wydaje się, że aktywność Bronisława Komorowskiego – poszukującego w incydencie poznańskim pretekstu do „rozwiązań systemowych” - zmierza głównie do zachowania obecnej struktury, a w dalszej perspektywie do odtworzenia układu personalnego WSI. Obecny lokator Belwederu – przez lata minister obrony narodowej - zadaje się kpić, gdy stwierdza, że „ocenę pracy prokuratury wojskowej należy przeprowadzić na gruncie Ministerstwa Obrony Narodowej i Sił Zbrojnych”, ponieważ to one, jego zdaniem mają być „najżywiej zainteresowane skutecznym funkcjonowaniem, postępowaniami śledczymi i postępowaniem eliminującym zjawiska negatywne, które zdarzają się w Siłach Zbrojnych i w MON”. Zapomina bowiem, że to obecna praktyka doprowadziła do powstania szeregu patologii, zaś działalność organów wojskowego wymiaru sprawiedliwości przyczynia się do ich ukrywania i tuszowania.

W deklaracji Komorowskiego, iż „należy szukać rozwiązań systemowych, a nie kadrowych” trzeba upatrywać nie tylko obrony prokuratora Parulskiego i prawa do istnienia „prywatnych prokuratur wojskowych” - ale głównie zapowiedzi takich propozycji ustawowych, które pozwolą na odtworzenie układu personalnego byłych WSI

## 669. CO DALEJ ?

Gdy ucichną echa opinii biegłych krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych, a wszyscy zainteresowani wypowiedzą już swoje kwestie – trzeba będzie zadać pytanie: co dalej? Jak zareagują Polacy na obalenie koronnej tezy putinowskich łgarstw – o naciskach na pilotów i pijanym generale winnym katastrofy? Jak zmieni się nasza sytuacja i relacje z Rosją? Czy ustalenia treści rozmów wpłyną na bieg śledztwa smoleńskiego lub podważą wspólnotę warszawsko-moskiewskiego kłamstwa? Czy kolejny wyłom w murze antypolskiej dezinformacji przyspieszy upadek grupy rządzącej, lub pozwoli nam odzyskać godność?

Pierwsze reakcje „obozu moskiewskiego” nie pozwalają wątpić, że wnioski wynikające z treści ekspertyzy fonoskopijnej pozostaną bez wpływu na zachowania grupy rządzącej. Podobnie ośrodki propagandy, od lat zaangażowane w okłamywanie Polaków zniosą ten cios bezboleśnie i nie wpłynę on na poziom medialnych manipulacji. Zdania nie zmienią wyborcy PO-PSL – owa wielomilionowa rzesza wyobcowanych apatrydów - obojętna wobec wszystkiego, co mogłoby zakłócić przebieg ich vegetacji. Znamy również reakcję Rosji. Wyznacza ją zapowiedź przeprowadzenia w lutym „konsultacji śledczych polskich i rosyjskich zajmujących się dochodzeniem w sprawie katastrofy” oraz rozmowa Sikorskiego i Ławrowa w sprawie „aktualnych zagadnień z zakresu stosunków rosyjsko-polskich”. Reakcja Moskwy to również stanowisko wyrażone w „Głosie Rosji” – oficjalnej rozgłośni rządowej, w którym podkreślono, że „nowe wnioski wyciągnięte przez Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie w żaden sposób nie mogą wpłynąć na autentyczne przyczyny tragedii, wskazane w raporcie Komisji Technicznej MAK”.

Nie ma wątpliwości, że pogarda dla faktów i arogancja wobec prawdy – nadal będą wytyczały granice polskiej rzeczywistości. Tak było po prezentacji też Białej Księgi zespołu parlamentarnego PiS, po obaleniu przez prof. Biniendę teorii „pancernej brzozy”, po ujawnieniu roli gen. Benediktowa i zadań moskiewskiego sztabu nadzorującego lot Tu 154M czy po szokujących wnioskach z ekshumacji zwłok Zbigniewa Wassermanna. Każda z tych informacji była kamieniem milowym w procesie burzenia smoleńskich fałszerstw i każda miałaby moc obalenia obecnego rządu – gdyby choć przez chwilę III RP była państwem prawa, a jej mieszkańcy świadomymi obywatelami.

W pytaniu – co dalej – zawiera się zatem konkluzja z dotychczasowych doświadczeń zaś odpowiedź na nie, obnaża nie tylko ponurą prawdę o Polakach, ale pozwala mądrze ocenić szanse na przyszłość.

Po blisko dwóch latach zmagania z kłamstwem smoleńskim powinniśmy wiedzieć, że o jego trwałości nie decyduje ani potęga igrzysz ani logika metod dezinformacji, lecz głębia naszego zniewolenia i determinacja, z jaką Polacy ignorują prawdę. To lęk przed prawdą lub obojętność wobec jej wyzwań rozstrzygają o niszczącej mocy zdarzeń z 10 kwietnia. One nakazały wybrać prezydentem człowieka owładniętego nienawiścią i zdecydowały o powierzeniu naszych losów tym, którzy doprowadzili do zapaści państwa.

Wiemy również, że nawet podważenie kardynalnej tezy warszawsko-moskiewskiej mistyfikacji pozostanie bez wpływu na stan świadomości, jeśli o poglądach Polaków, o dokonywanych wyborach i sposobie postrzegania rzeczywistości, będą decydowały rządowe media i ośrodki propagandy. Na nich wspiera się gmach kłamstwa smoleńskiego i one gwarantują bezkarność grupie rządzącej. To zaś musi prowadzić do wniosku, że podstawowy problem nie polega na ustaleniu okoliczności tragedii i demontażu fałszywych twierdzeń, lecz na znalezieniu antidotum na chorobę toczącą polskie społeczeństwo. Ten rząd i wasalne media uczyniły z owej patologii miarę własnej skuteczności i na niej zbudowały antypolski system władzy. Dlatego żadna, najbardziej wstrząsająca prawda o śmierci polskich elit nie wpłynie na wybory dokonywane przez Polaków i nie zakończy czasu upodlenia. By tak się stało – trzeba wpięć zniszczyć przyczynę patologii i z przypadkowej populacji zamieszkującej kraj nad Wisłą, uczynić autentyczny naród. Trzeba też uznać, że nie wystarczy ujawnienie prawdy i doniesienie racji moralnych, jeśli nad językiem przekazu panują kłamcy i kanalie. By odebrać im władzę - trzeba wpięć odtworzyć semantyczny ład i prostotę wyboru: tak lub nie.

Gdy za kilka dni pojawią się „sondaże” wskazujące na wzrost poparcia dla rządu a ośrodki propagandy przykryją sens opinii biegłych warstwą igrzysz i tematów zastępczych, gdy wspólne posiedzenia polskich i rosyjskich prokuratorów przywrócą „porządek” w śledztwie smoleńskim a „przyjaźń” Moskwy i Warszawy dopełni się w projektach wypracowanych w prezydenckim BBN-ie - wszyscy staniemy wobec nieuchronnych konsekwencji pytania: co dalej? Jeśli Polacy mają „zasługiwać na więcej” - niech udzielona odpowiedź uwzględni dotychczasowe klęski i upokorzenia.

Dziś już wiadomo, że nie odmieni się retoryka igrzysz, nie zajdą zmiany w śledztwie smoleńskim i nie nastąpią ekspiacje winnych. Kto oczekuje od tego rządu słów przeprosin lub domaga się kolejnego śledztwa - podobny jest do ofiary, która na sędzię swojej sprawy wyznacza sprawcę nieszczęść. Takie żądania nie tylko uwłaczają pamięci poległych, ale skutecznie zacierając granice dobra i zła, pomniejszając tym samym zakres autentycznej odpowiedzialności.

Przeprószyć można za błąd, działanie nieumyślne i winę niezamierzoną. Przeprószyć może osoba zdolna do refleksji i moralnej oceny swoich czynów. Nie można natomiast przeprószyć za zdradę i współpracę z obcym mocarstwem, za doprowadzenie do śmierci własnych rodaków i szerzenie systemowej nienawiści, za sprzężoną z intencjami wroga kampanię dezinformacji, za drwiny ze zmarłych i niszczenie pamięci o nich, za nienawiść do Polski i pogardę wobec Polaków. Za te czyny nie ma przeprosin. Jest historyczna infamia i najwyższy wymiar kary.

Stając wobec pytania -co dalej - niech nie zabranie nam odwagi, by tę prawdę uczynić punktem wyjścia.

wtorek, 24 stycznia 2012

## 670. KTO ZASTAWIA SIECI?

Nic mocniej nie dowodzi fasadowości demokracji III RP niż histeria związana z „bitwą o ACTA”. Wywołana przez rządowe media i silnie nagłaśniana „kampania sprzeciwu” wydaje się mieć tyleż wspólnego z walką o wolność słowa, ile rząd Donalda Tuska z wiarygodnością.

Nie sposób oceniać obecnego wrzenia inaczej, jak w kategoriach działań propagandowych i osłonowych, mających na celu ukrycie rzeczywistych zagrożeń lub odwrócenie od nich uwagi. Dla przyszłości polskiego internetu zagrożeniem nie są bowiem enigmatyczne zapisy porozumienia ACTA, a przyjęte już przez rząd lub planowane konkretne regulacje prawne.

Gdy na początku listopada 2011 roku w tekście „RZĄD WPROWADZA CENZURĘ INTERNETU” zwracałem uwagę, że za kilkanaście tygodni grupa rządząca uzyska ustawowe narzędzie cenzury Internetu, świadomość tego zagrożenia podzielała zaledwie część użytkowników sieci, a sprawę zgodnie przemilczały rządowe przekazniki. Możliwość głębokiej ingerencji w treści internetowe przewiduje bowiem rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną oraz ustawy kodeks cywilny.

Nowelizacja wprowadza dodatkowy rozdział 3a w ustawie o świadczeniu usług drogą elektroniczną. Opisuje on „*procedurę powiadomienia i blokowania dostępu do bezprawnych informacji*”. Odtąd każdy, kto „*posiada informację o bezprawnych treściach zamieszczonych w sieci Internet*” będzie mógł zwrócić się do usługodawcy internetowego z wnioskiem o zablokowanie takiej informacji. O tym, co podlega pod definicję „*informacji bezprawnej*” decyduje wnioskodawca, zaś usługodawca może, choć nie musi przychylić się do jego wniosku. Przepis skonstruowano w taki sposób, by rolę cenzora spełniał administrator portalu internetowego. Ten zaś zawsze może się tłumaczyć, że zablokował informację ponieważ uzyskał wiarygodną wiadomość, że zawiera ona „*treści bezprawne*”. Włączony do ustawy rozdział 3a, jest w pełni autorskim pomysłem rządu Donalda Tuska. Przywołana w uzasadnieniu nowelizacji unijna Dyrektywa 2000/31/WE nie zawiera bowiem procedury blokowania informacji, pozostawiając jej określenie państwu członkowskiemu. Co istotne – w unijnych przepisach procedura blokowania dotyczy „*informacji, które naruszają prawa lub przedmiot działalności uprawnionego*” i odnosi się wyłącznie do utworów chronionych prawem autorskim. Rząd Tuska w oparciu o te przepisy dokonał interpretacji rozszerzającej i wpisał do ustawy procedurę umożliwiającą blokowanie wszystkich „*bezprawnych informacji*” - uzurpując sobie przy tym prawo decydowania co jest lub nie jest taką informacją.

Grupa rządząca nie potrzebuje zatem podpisywać żadnej „umowy ACTA”, by uzyskać identyczny efekt blokowania treści internetowych pod pretekstem „ochrony praw autorskich”. Ta nowela nie spotkała się jednak z zainteresowaniem mainstreamu i „środków pozarządowych”. Przeciwnie – wskazywany dziś przez właścicieli Salonu24 jako uczestnik protestu pan Piotr Wąglowski, opublikował wówczas polemikę z moim tekstem, w której dowodził, że w zamysłach rządu „*nie chodzi o cenzurę internetu, a o procedurę notice and takedown*”, o zabezpieczenie praw osób pomówionych, znieważonych i o ochronę praw autorskich. Zamieszczam link do tej polemiki i interesujących wypowiedzi pana Wąglowskiego na moim blogu. Należałoby zapytać: na czym polegają różnice między propozycjami rządowymi, a treścią porozumienia ACTA, że wywołują dziś tak zdecydowaną reakcję? Z jednej strony mamy przecież do czynienia z realnym zagrożeniem, ujętym już w ramy istniejącej regulacji ustawowej, z drugiej z zapisami które nie odnoszą się do konkretnych i wymagają dopiero przyjęcia określonych przepisów. Jeśli obecnie wskazuje się, że po podpisaniu ACTA „*każdy właściciel strony internetowej będzie musiał kontrolować wszystko, co się na niej dzieje*”, że „*inwigilacji podlegać będą głównie linki, prowadzące do treści, które będą łamać prawo w nowym wymiarze, czy zamieszczanie filmików, które mogą zawierać w tle melodie "obarczoną prawem*

*autorskim*" – czym różnią się te zagrożenia od proponowanych przez rząd zapisów nowelizacji ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną?

Warto mieć świadomość, że środowiska włączone w obecny protest nie wykazywały sprzeciwu, gdy dochodziło do rzeczywistych zagrożeń dla wolności słowa a grupa rządząca dążyła do coraz ściślejszej kontroli internautów.

Nie przypominam sobie wystąpień np. w listopadzie 2009 roku, gdy ABW przejęła kontrolę nad NASK - najważniejszą instytucją polskiego internetu, zajmującą się m.in. przydzielaniem polskich domen i technologicznym zarządzaniem polską częścią sieci. To wówczas minister nauki Barbara Kudrycka mianowała na stanowisko dyrektora NASK czynnego pułkownika ABW Michała Chrzanowskiego - byłego dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Teleinformatycznego i Informatyki. Nie pamiętam sprzeciwów w czerwcu 2010 roku, gdy w MSWiA powstała „grupa robocza” mająca opracować zmiany do nowelizowanej ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną. Przewidywały one możliwość „zdalnego i niejawnego przeszkadzania informatycznych nośników danych”. Dane te miałyby być gromadzone przez pięć lat, a Policja bądź ABWA mogłyby dowolnie sprawdzać aktywność poszczególnych użytkowników sieci nawet bez formalnych podejrzeń w stosunku do inwigilowanych osób. Nikt też nie wiedziałby, kiedy i wobec kogo takie sprawdzanie się odbywa.

W tym samym czasie decyzją Urzędu Komunikacji Elektronicznej rozpoczęto „spis powszechny” wszystkich polskich internautów, w ramach którego tzw. providerzy internetu zostali zobowiązani do przekazania danych swoich abonentów. Choć jako oficjalną przyczynę spisu wskazano „rozpoczęcie procesu analiz lokalnych rynków usług dostępu szerokopasmowego do Internetu”, nie ma żadnej pewności, że uzyskane tą drogą dane nie zostaną wykorzystane przez służby podległe rządzącym i nie posłużą do inwigilacji użytkowników Sieci.

Nie słyszeliśmy też protestu wobec zapowiedzi Bronisława Komorowskiego o „monitoringu mediów” w październiku 2010 roku. Wspólnie z Krajową Radą Radiofonii i Telewizji lokator Belwederu planował wówczas objęcie stałym monitoringiem materiałów dziennikarskich, w celu poszukiwania w nich tego „co budzi wątpliwość” i tego „co jest właściwe”. Pretekstem do podjęcia tych działań miała być „chęć przeciwdziałania agresji w polityce”. Troska mainstreamowych dziennikarzy dotyczyła jednak (niezbyt mądrej) propozycji PiS-u monitorowania internetu pod kątem tekstów nawołujących do popełnienia przestępstwa. Wprawdzie zgłoszony tuż po politycznym morderstwie w Łodzi projekt nie miał nic wspólnego z ingerencją w treści publikacji internetowych, a tym bardziej z ich cenzurą - pan Igor Janke opublikował wówczas żarliwy tekst, w którym nawiązując do propozycji PiS-u straszył nas groźbą cenzury internetu i nawoływał do „bicia na alarm”.

Głosu obrońców wolności zabrakło natomiast, gdy Bronisław Komorowski jako pierwszą inicjatywę ustawodawczą zgłosił nowelizację ustawy o stanie wojennym oraz o kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych, zaś Sejm uchwalił ją we wrześniu 2011 roku. Zawiera ona nieokreśloną definicję „cyberprzestrzeni” i przewiduje możliwość wprowadzenia stanu wojennego lub wyjątkowego na wypadek „działań w cyberprzestrzeni, które nie może być usunięte poprzez użycie zwykłych środków konstytucyjnych”. Gdy w czerwcu i wrześniu 2011 roku opisywałem skutki tej inicjatywy – niewielu odbiorców zdawało się podzielać obawy związane z nowelą.

Być może dostrzegli je dopiero dziś, gdy szef BBN-u Stanisław Koziej w odpowiedzi na „ataki” w sprawie ACTA oznajmił: „Jeśli ataki hakerów zakłócą życie publiczne i na masową skalę nie będą mogły działać instytucje rządowe, wtedy trzeba będzie zastanowić się nad koniecznością wprowadzenia stanu wyjątkowego”. Zapewnił przy tym, że środowisko Bronisława Komorowskiego nadal „pracuje nad kwestią bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni” – czego efektem mają być kolejne propozycje prezydenckich „ekspertów od bezpieczeństwa”.

W związku z obecną kampanią, w pełni kontrolowaną przez rządowe przekąźniki, pojawia się pytanie: czy nie jest tak, że sztucznie wywołany szum medialny (zakończony być może jakąś formą spektakularnego „kompromisu”) ma w istocie osłaniać podjęcie rozwiązań prawnych służących ściślejszej cenzurze sieci internetowej?

Czy nie mamy do czynienia z sytuacją podobną do tej z początków 2010 roku, gdy Donald Tusk organizował kontrolowaną „debatę” z koncesjonowanymi internautami i obwieszczając ich zwycięstwo zapowiadał wycofanie rządu z zapisów ustawy o grach, wprowadzających tzw. Rejestr Stron i Usług Niedozwolonych? Nie ucichły jeszcze echa owej „debaty”, gdy grupa rządząca zgłosiła kolejne projekty w ramach „ochrony cyberprzestrzeni”.

Czy – wreszcie – dostatecznym uzasadnieniem obecnej kampanii nie jest zapowiedź prezydenckiego szefa BBN-u o przedłożeniu przez środowisko Bronisława Komorowskiego „różnych, praktycznych rozwiązań systemowych, organizacyjnych, czy też technicznych, które będą uodparniać system kierowania państwem na zagrożenia w cyberprzestrzeni”?

Mając na uwadze skład „gremiów eksperckich” pracujących nad tzw. strategicznym przeglądem bezpieczeństwa narodowego oraz dotychczasowy kierunek propozycji tego środowiska - możemy być pewni dwóch rzeczy: osławione umowy ACTA w porównaniu z „rozwiązaniami systemowymi” Komorowskiego będą wyglądały niczym deklaracja wolności, a ich wprowadzeniu będzie towarzyszyło milczenie dzisiejszych uczestników protestu.

Linki:

<http://cogito.salon24.pl/360468.rzad-wprowadza-cenzure-internetu>

<http://prawo.vagla.pl/node/9562>

<http://cogito.salon24.pl/315542.stan-wyjatkowy-w-internecie>

<http://bip.msw.gov.pl/portal/bip/218/20209/>

<http://cogito.salon24.pl/346742.wybory-w-cieniu-ustawy-o-stanie-wojennym>

<http://cogito.salon24.pl/242492.w-odpowiedzi-igorowi-janke>

<http://cogito.salon24.pl/243298.jak-to-sie-robi-u-przyjaciol-czyli-wzorce-iii-rp>

<http://www.tvn24.pl/-1,1732260,0,1.nalecz-bbn-pracuje-nad-cyberobrona.wiadomosc.html>

<http://www.rp.pl/artukul/16,796087.html>

czwartek, 26 stycznia 2012

**671. W STRONĘ REŻIMU PREZYDENCKIEGO**

Od czasu objęcia stanowiska prezydenta Bronisław Komorowski wykazuje zaangażowanie w bardzo szczególnym obszarze polityki. Dotyczy on głównie spraw bezpieczeństwa, wojskowości i służb specjalnych, co z jednej strony można tłumaczyć

konstytucyjnymi uprawnieniami prezydenta, z drugiej – zainteresowaniami samego lokatora Belwederu, przez lata ministra obrony narodowej i politycznego patrona środowiska byłych WSI.

Nie powinno zatem dziwić, gdy już kilka tygodni po wyborze, Komorowski ogłosił rozpoczęcie „Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego” (SPBN) angażując do prac nad projektem grono zaufanych „ekspertów”. W efekcie prac tego gremium, do kwietnia br. ma powstać Biała Księga Bezpieczeństwa Narodowego, z której Polacy dowiedzą się „o proponowanych kierunkach działań w tym zakresie”.

Wychodząc naprzeciw intencjom patrona projektu, wskazywałem już wcześniej jakiego rodzaju „rekomendacje dla Polski” powstają w ramach SPBN. Nie należy ich lekceważyć. Lektura podstawowego dokumentu opracowanego na potrzeby „strategii”: ekspertyzy prof. dr hab. Ryszarda Zięby i dr hab. Justyny Zając zatytułowanej „Budowa zintegrowanego systemu bezpieczeństwa narodowego Polski” nie pozostawia wątpliwości, w jakim kierunku zmierzają propozycje. Można tam m.in. przeczytać:

*„Aby przewyciężyć nieufność, która utrudnia percepcję Rosji przez polskich polityków i media należałoby podjąć zorientowaną na przyszłość politykę normalizacji stosunków wzajemnych i pojednania polsko-rosyjskiego. Warunki ku temu powstały już jesienią 2009 r., po udziale premiera FR Władymira Putina w obchodach 70-tej rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte, a zostały wzmocnione zbliżeniem polsko-rosyjskim po katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. Jednak czołowa partia opozycyjna w Polsce – Prawo i Sprawiedliwość podjęła kilka miesięcy później działania na rzecz ponownego konfliktowania z Rosją, sugerując odpowiedzialność tego państwa za katastrofę. W tej sytuacji rząd Polski powinien szybko podjąć działania na rzecz ratowania szansy jaka szybko może zniknąć.”*

Warto zapamiętać tą „rekomendację”, ponieważ zawarte w niej przesłanki decydują dziś o większości decyzji politycznych i pozwalają dostrzec wspólny cel prezydenckich i rządowych przedsięwzięć.

Kwestiom bezpieczeństwa została również poświęcona pierwsza inicjatywa ustawodawcza Komorowskiego: nowela ustawy o stanie wojennym oraz o kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych. Na jej podstawie lokator Belwederu uzyskał prawo, by na wniosek Rady Ministrów wprowadzić stan wojenny lub stan wyjątkowy w sytuacji „szczególного zagrożenia dla ustroju państwa” lub w przypadku „działań w cyberprzestrzeni” – przy czym definicje tych zagrożeń nie zostały w ustawie sprecyzowane, co pozwala ich autorom na dowolną interpretację. Uchwalona w ekspresowym tempie nowelizacja daje Komorowskiemu realne narzędzie, przy pomocy którego można np. anulować każdy niekorzystny werdykt wyborczy, lub zablokować zmiany groźne dla układu rządzącego.

Po raz kolejny Komorowski uaktywnił się tuż po lewackich prowokacjach z 11 listopada, gdy nagle zgłosił postulat dokonania natychmiastowych zmian w ustawie o zgromadzeniach i wystąpił z gotową propozycją nowelizacji zaostrzającej prawo do organizowania zgromadzeń. Projekt prezydencki przewiduje m.in.: wprowadzenie możliwości identyfikacji osób biorących udział w zgromadzeniu oraz wysokie kary wobec organizatorów manifestacji.

Nietrudno dostrzec, że wzrost represyjności prawa jest wspólną cechą rozwiązań proponowanych przez środowisko Komorowskiego. Możliwość ograniczenia praw obywatelskich na podstawie enigmatycznych zapisów dotyczących „działań w cyberprzestrzeni” czy perspektywa zdelegalizowania lub pacyfikowania niewygodnych manifestacji, muszą cieszyć wszystkich zwolenników putinizacji III RP.

W regulacjach proponowanych przez Komorowskiego można także zauważyć intencję poszerzenia zakresu władzy prezydenckiej. Tak jest w przypadku propozycji związanych z „reformami systemowymi” w zakresie funkcjonowania służb bezpieczeństwa. Prace nad nimi trwają od początku kadencji, zaś ostatnie wydarzenia polityczne dowodzą, że weszły w fazę realizacji.

Ponieważ wykonawcami tych planów będą członkowie rządu Donalda Tuska – należy zdecydowanie odrzucić pogląd jakoby istniał konflikt między Pałacem Prezydenckim, a Kancelarią Premiera. Utrzymywanie takiej tezy nie przybliży nas do poznania mechanizmów obecnych procesów leży natomiast w interesie tych, którzy chcieliby je ukryć przed wzrokiem społeczeństwa i forsować przekaz o dwóch niezależnych, a czasem skonfliktowanych ośrodkach władzy.

Już tylko nominacja wiceszefa klubu PO Sławomira Rybickiego na stanowisko sekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta jasno wskazuje, że taki konflikt nie istnieje, zaś polityk PO – oddelegowany do partyjnego kolegi - ma spełniać rolę łącznika w okresie dokonywania istotnych zmian legislacyjnych. Potwierdza to sam Rybicki, gdy mówi, iż jego zadanie w kancelarii będzie polegało na „szukaniu takich płaszczyzn porozumienia, aby praca nad ustawami już na wstępnym etapie była przedmiotem konsultacji, tak by prezydent nie musiał stosować np. weta”.

Są jednak poważniejsze przesłanki. Lektura dokumentów powstałych w prezydenckim BBN-ie nie pozostawia wątpliwości, że dokonany już podział MSWiA oraz zapowiadana przez ministra Cichońskiego „zmiana systemu kontroli nad służbami” - są autorstwa środowiska skupionego wokół Bronisława Komorowskiego. Podczas gdy Cichoński na początku stycznia br. przedstawiał „rewolucyjne” pomysły podporządkowania ABW resortowi spraw wewnętrznych i anonsował inne „warianty zmian systemowych” – projekty tego typu rozwiązań znajdziemy w opracowaniu dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego BBN Lucjana Beły z listopada 2011 roku.

To w prezydenckim BBN-ie powstały wszystkie pomysły reform, których przeprowadzenia należy się spodziewać w najbliższym czasie: przekazania z ABW i SKW do wyodrębnionej struktury zadań o charakterze administracyjnym wynikających z ustawy o ochronie informacji niejawnych (czyli utworzenia ministerstwa administracji i cyfryzacji), stworzenia w Ministerstwie Finansów jednej struktury uprawnionej do zajmowania się przestępstwami ekonomicznymi i korupcyjnymi poprzez połączenie CBA z wywiadem skarbowym, podporządkowania ABW ministrowi spraw wewnętrznych i redukcji uprawnień tej służby, utworzenia jednej Agencji Wywiadu (z połączenia AW ze Służbą Wywiadu Wojskowego) i jej podporządkowania ministrowi obrony narodowej z zastrzeżeniem, że stanowiska dowódcze mają być obsadzone przez żołnierzy zawodowych oraz wiele innych, szczegółowych regulacji prowadzących do ograniczenia bezpośredniej władzy premiera i podporządkowania poszczególnych formacji szefom resortów: obrony, MSW i MSZ. Po dokonaniu tych zmian wyłoni całkowicie inny model służb, w którym wiodącą rolę (ze względu na uprawnienia) będzie pełniła Agencja Wywiadu, osadzona w Siłach Zbrojnych RP i dowodzona przez zawodowych żołnierzy. Oznacza to powrót do koncepcji sprzed 2006 roku, funkcjonującej w oparciu o układ personalny byłych WSI. Koncepcji, w której prezydent sprawujący zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi za pośrednictwem ministra obrony narodowej, będzie faktycznym decydem w kwestiach bezpieczeństwa narodowego.

Ponieważ bezpieczeństwo to także polityka zagraniczna i wpływ na kształtowanie prawa – również te dziedziny znalazły się w centrum uwagi lokatora Belwederu.

Z tej perspektywy można oceniać wcześniejszą grę Komorowskiego na utracenie Klicha i zastąpienie go Tomaszem Siemoniakiem, trafnie nazwanym przez Stanisława Janeckiego „panną nikt”. Jeśli dostrzec, że drugie z kluczowych

ministerstw –MSW- objął ktoś równie bezbarwny i niekompetentny, zaś w najbliższej przyszłości czekają nas głębokie roszady w MSZ – nietrudno pojąć, że stanowiska obejmują ludzie z partyjnego „klucza BMW”. Można przypuszczać, że wkrótce będziemy świadkami kolejnych decyzji rządowych dokonywanych w ramach realizacji programu opracowanego w BBN-ie. Ich mechanizm pozostanie nieczytelny dla tych, którzy nadal nie dostrzegają znaczenia *signum temporis* – jakim była nagła rezygnacja Tuska na rzecz Komorowskiego z kandydowania w wyborach prezydenckich. Wiara w istnienie konfliktu lub w „opór” Tuska jest równie zasadna jak domniemanie, że chodziło wówczas o rezygnację z „żyrandoli” na rzecz realnej władzy.

Jest oczywiste, że żadna z planowanych reform nie będzie możliwa bez ścisłego współdziałania tych dwóch postaci. Widać je dobrze na przykładzie zmian w MSW ale również w związku z inscenizacją poznańską i zamiarem pozbycia się Prokuratora Generalnego. Istota obecnej gry polega na zamiarze obsadzeniu tego stanowiska przez osobę podległą Komorowskiemu przy jednoczesnym wzmocnieniu kompetencji Krajowej Rady Prokuratorów i ścisłym podporządkowaniu wymiaru sprawiedliwości interesom grupy rządzącej. Celem tych zabiegów może być tylko intencja zaostrezenia prawa oraz wykorzystania organów prokuratury do walki politycznej.

Jeśli Tusk i Komorowski zgodnie dziś mówią o potrzebie „zmian systemowych” należy je oceniać w świetle obaw wyrażonych w stanowisku Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia” oraz Związku Zawodowego Prokuratorów i Pracowników Prokuratury z listopada ub.r. Zwraca się tam uwagę, że rozwiązania proponowane przez obecny rząd *„nie przyczynią się do naprawy wymiaru sprawiedliwości, ale pogłębią istniejące patologie”*. Wśród największych zagrożeń wymienia się: zamiar podporządkowania sądów ministrowi sprawiedliwości oraz brak działań *„prowadzących do stworzenia silnej, nowoczesnej niezależnej i autonomicznej Prokuratury”*. Postulaty tych środowisk zmierzają do wzmocnienia kompetencji Prokuratora Generalnego poprzez osadzenie urzędu w Konstytucji i udzielenia mu autonomii budżetowej i inicjatywy ustawodawczej. Gdyby tak się stało, naruszeniu uległaby fasada „reformy” z 2008 roku, której główny cel polegał na propagandowym uwolnieniu rządu od odpowiedzialności za stan bezpieczeństwa obywateli i powołaniu Krajowej Rady Prokuratorów (KRP) jako faktycznego organu decyzyjnego w zakresie polityki karnej. Postawienie na czele Rady byłego komunistycznego prokuratora Edwarda Zalewskiego dawało grupie rządzącej gwarancję zachowania wpływów na decyzje prokuratorskie, a poprzez politykę kadrową zabezpieczało trwałość układu postkomunistycznego. Inscenizacja poznańska, po której nastąpiła gwałtowna (lecz przemysłana) reakcja Komorowskiego miała wytworzyć pole konfliktu, a w rezultacie doprowadzić do odejścia Seremeta. Prokuratura wojskowa – ów skansen peerelowskiej mentalności -odgrywa dziś rolę „kamienia”, o który rozbiją się plany autonomii. Rzeczywistym wygranym będzie z pewnością KRP, zaś „rozwiązania systemowe” zaproponowane przez Komorowskiego (w tym zgłoszona przez PO ustawa o Krajowej Radzie Prokuratury) posłużą do narzucenia politycznego nadzoru nad wymiarem sprawiedliwości.

Chodzi tu o niezbędny element w całości „koncepcji bezpieczeństwa” stworzonej w BBN-ie. Ma ona zagwarantować trwałość obecnej władzy i zabezpieczyć jej interesy w perspektywie kryzysu ekonomicznego lub politycznego. Wyraźnie też zmierza do wykreowania utajnionej formuły rządów prezydenckich, podobnych do istniejącej w putinowskiej Rosji.

Jeśli opozycja zdoła dostrzec wspólną grę Pałacu Prezydenckiego i Kancelarii Premiera, być może istnieje jeszcze szansa powstrzymania tego procesu. Wymaga to nie tylko rezygnacji z optyki konfliktu i mocnego nagłośnienia zamysłów grupy rządzącej, ale również zmiany dotychczasowych priorytetów i podejmowania działań „o krok” wyprzedzających intencje władzy.

**LUTY 2012**

poniedziałek, 13 lutego 2012

## **671. ŻOŁNIERZE INFORMACJI**

### **Prolog**

Przed 12 laty, podczas międzynarodowej konferencji poświęconej bezpieczeństwu, Oleg Gordijewski, pułkownik KGB, który w latach 70. podjął współpracę z brytyjskim MI6, ostrzegał, że służby rosyjskie pracują nad stworzeniem specjalnych „grup uderzeniowych”. W ich skład mieli wchodzić absolwenci kierunków informatycznych oraz hakerzy aresztowani za przestępstwa internetowe. W zamian za współpracę ze służbami, władza gwarantowała im godziwe zyski i całkowitą bezkarność. Efekty tego werbunku stały się widoczne już w roku 2002, gdy studenci - hakerzy z Tomka zaatakowali stronę „Kaukaz-Center” działającą na szwedzkim serwerze. W specjalnym komunikacie wydanym wówczas przez FSB stwierdzono, że działania te *„nie są sprzeczne z rosyjskim prawem”* i zasługują na najwyższy szacunek, jako *„wyraz orientacji politycznej rosyjskiej młodzieży”*. Ataki hakerów-patriotów powtórzono w 2005 roku, blokując ponownie stronę „Kaukaz-Center” oraz rosyjskie strony internetowe mediactivist.ru, „Echa Moskwy”, „Nowaj Gaziety” i „Radia Swoboda”.

17 maja 2005 w amerykańskiej Izbie Reprezentantów odbyły się przesłuchania w sprawie kradzieży własności intelektualnej w Rosji.. Przypomniano wypowiedź ówczesnej sekretarz stanu Condoleezy Rice, iż *„w Rosji nie istnieją ramy prawne do ścigania tych, którzy angażują się w piractwo”*. Przewodnicząca Biura Przedstawiciela Handlowego USA Victoria Espinel, zwracała uwagę na oficjalne stanowisko rządu rosyjskiego, z którego wynikało, że piractwo w Rosji istnieje ponieważ *„ceny legalnych produktów pochodzących z USA są zbyt wysokie”*. Ekspersi podkomisji uznali, że *„Rosja stała się głównym eksporterem pirackich materiałów. Oprócz sprzedaży nielegalnych nagrań muzycznych, filmów i oprogramowania komputerowego, Rosja eksportuje ogromne ilości nielegalnych produktów na inne rynki. Co najmniej dziewięć z 34 fabryk kopiujących pirackie płyty CD i DVD znajduje się pod opieką rządu rosyjskiego i należy do przedsiębiorstw o tzw. ograniczonym dostępie”*. Przypomniano, że w sporządzanym corocznie raporcie Special 301 Report dotyczącym ochrony praw własności intelektualnej, Rosja znajduje się na czołowym miejscu „Priority Watch List” – czyli listy krajów, w których poziom naruszeń praw własności intelektualnej jest szczególnie wysoki. Już wówczas wyliczono, że w związku z nierespektowaniem praw autorskich w Rosji, amerykański przemysł stracił w roku 2005 ponad 1,7 miliarda dolarów i ponad 6 miliardów w ciągu poprzednich 5 lat. Jednocześnie tylko w 2005 roku Rosja zarobiła na działalności pirackiej ponad 515 milionów dolarów.

Ponieważ FR zabiegała wówczas o poparcie Stanów Zjednoczonych w staraniach o członkostwo w Światowej Organizacji Handlu (WTO), podkreślano, że takie poparcie nie może zostać udzielone, a kwestie ochrony własności intelektualnej *„muszą być załatwione przed przystąpieniem do WTO.”*

Zaledwie rok później, rosyjski deputowany do Dumy, członek komisji ds. bezpieczeństwa Nikołaj Kurianowicz wystosował list do rosyjskich hakerów, w którym pogratulował im przeprowadzenia ataku na izraelskie witryny internetowe. Wzywając do kontynuowania działań, Kurianowicz napisał: *"W bardzo bliskiej przyszłości, wiele konfliktów nie będzie toczyło się na otwartym polu bitwy, lecz w Internecie. Walczącymi zaś będą żołnierze informacji, czyli hakerzy"*. Nie trzeba było długo czekać, by zrozumieć znaczenie słów rosyjskiego polityka.

W roku 2006 obiektem zmasowanych cyberataków stała się Estonia. Zablokowano strony rządowe, kancelarii prezydenta i głównych gazet, padły systemy bankowe oraz wewnętrzna sieć estońskiej policji. Estończycy zostali odcięci od dostępu do informacji, banków i pieniędzy. W efekcie ataku cybernetycznego doszło do całkowitego sparaliżowania kraju, nie działały instytucje rządowe, poczta, bankomaty, portale internetowe i sieci komórkowe. Premier Estonii Andrus Ansip pytany o okoliczności ataku powiedział: *„Komputery, które wykorzystano, miały adres administracji prezydenta Putina. Akcja przeciwko Estonii była doskonale zsynchronizowana – w tym samym czasie demonstranci atakowali naszą ambasadę w Moskwie i przedstawicielstwo linii lotniczych. A oficjalna delegacja rosyjska, która odwiedziła Tallin, stwierdziła, że rząd Estonii powinien się podać do dymisji."*

Dwa lata później, w identyczny sposób zaatakowano Gruzję. Rosyjscy hakerzy- patrioci złamali wówczas zabezpieczenia Amerykanów, aby w ten sposób zablokować najważniejsze gruzińskie serwery. Na wznowienie 20 stron internetowych gruzińscy informatycy potrzebowali tygodnia. W tym czasie wojska rosyjskie posunęły się w głąb Gruzji, wygrywając nie tylko pod względem militarnym, ale także informacyjnym, gdyż rząd w Tbilisi nie mógł informować świat o bieżących wydarzeniach. Opublikowany w marcu 2010 roku Raport komisji ds.UE brytyjskiej Izby Lordów zawiera ostrzeżenie przed atakami cybernetycznymi i postulował ścisłą współpracę z NATO w celu *„przygotowania się na odparcie ataku ze strony Rosji i Chin"*. W październiku 2011 roku dyrektor FBI Robert Mueller, przemawiając w Izbie Reprezentantów USA, poinformował, że jednym z priorytetów agencji w ciągu najbliższych kilku lat stanie się walka z rosyjskim cyber-szpiegostwem i przestępczością internetową. Za *„najgroźniejszych, światowych przestępców"* Mueller uznał Rosję, Chiny i Iran, wskazując, że ataki za którymi stoją te kraje mają coraz większy wpływ na funkcjonowanie rządów i światowych organizacji finansowych.

Dwa miesiące później gen. James Cartwright - były wiceprzewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA stwierdził, że za większością cyberataków na amerykańskie firmy i agendy rządowe stoi 12 chińskich grup cyberprzestępczych. Zdaniem Cartwrighta są one w dużej mierze wspierane lub wręcz sterowane przez rząd w Pekinie

W lipcu 2011 roku Simon Moores – doradca rządu brytyjskiego, wiceprzewodniczący Conservative Technology Forum i dyrektor międzynarodowej organizacji E - Crime Congress zrzeszającej ekspertów ds. bezpieczeństwa IT porównał aktywność grup hakerskich do działalności Czerwonych Brygad w latach 70. i uznał, że są one narzędziem politycznym służącym interesom niektórych państw. Zdaniem Mooresa, grupy takie jak LulzSec i Anonymous – atakujące rządy i międzynarodowe korporacje – mogą być infiltrowane oraz inspirowane z zewnątrz, a ich członkowie nie muszą nawet wiedzieć, jaki jest prawdziwy cel ataków. Moores przypomniał, że wszystkie kampanie antynuklearne oraz tzw. ruchy pokojowe były w przeszłości inspirowane przez KGB i Stasi, zaś obecne działania - dokonywane w sieci internetowej – cofają nas w lata zimnej wojny.

*„Być może nastoletni haker uważa, że robi coś dobrego wykradając i ujawniając informacje handlowe lub atakując chciwych miliarderów, jednak w rzeczywistości jest on poddany manipulacji i wykorzystany do złowrogich celów przez kogoś, kto ukrywa się w sieci"* – stwierdził Moores.

## Kalendarium subiektywne

Po to, by dostrzec polityczną ośnowę „sprawy ACTA” oraz kierunek, w jakim zmierzają działania „internetowych obrońców wolności”, trzeba dokonać zestawienia kilku zdarzeń. Jakkolwiek wydadzą się one różnorodne, łączy je jeden wspólny mianownik oraz interes państwa, które w tej sprawie bardzo chciałoby pozostać w cieniu.

- W połowie listopada 2011 r. w Senacie USA rozpoczęły się debaty na temat wprowadzenia ustaw SOPA i PROTECT IP Act (czyli „Preventing Real Online Threats to Economic Creativity and Theft of Intellectual Property Act”), dotyczących zwalczania obrotu towarami podrobionymi.

Jednocześnie Departament Sprawiedliwości oraz Immigration and Customs Enforcement (ICE) zapowiedziały przyspieszenie akcji blokowania serwisów internetowych sprzyjających wymianie plików chronionych prawami autorskim. Tylko w listopadzie 2011 zablokowano ponad 130 domen, a od końca 2010 roku przejęto w ten sposób 669 adresów. FBI zapowiedziało też podjęcie zdecydowanej walki z piractwem internetowym.

- 11 grudnia 2011 podczas szczytu OBWE w Wilnie, Rosja odmówiła podpisania deklaracji o wolności słowa w Internecie. W dokumencie, którego brzmienie nie spodobało się ministrowi Ławrowowi zapisano m.in., że *„ograniczenia wolności słowa w Internecie są dopuszczalne tylko wtedy, gdy spełniają one międzynarodowe standardy"*, zaś *"przymusowe blokowanie całych witryn, adresów IP, portów, protokołów sieciowych, lub określonych rodzajów zasobów internetowych (np. portali społecznościowych) jest środkiem ostatecznym"*. Zgodnie z deklaracją, nakładanie przez państwo jakichkolwiek filtrów, bez wiedzy i kontroli użytkowników, należy uznać za cenzurę. Państwo ma również obowiązek zadbać, aby internet był dostępny dla wszystkich.

- 16 grudnia Rosja została oficjalnie przyjęta do Światowej Organizacji Handlu (WTO), zaś prezydent Obama wezwał Kongres, by uchylił tzw. poprawkę Jacksona-Vanika, która ograniczała stosunki handlowe między Rosją a Stanami Zjednoczonymi.

W decyzji Rady o przystąpieniu Rosji do WTO zapisano m.in.: *„Rosja zobowiązała się do pełnego stosowania postanowień porozumienia TRIPS od dnia przystąpienia do WTO, w tym postanowień dotyczących egzekwowania, bez stosowania żadnego okresu przejściowego."*

TRIPS (Trade-Related Aspects of Intellectual Property Rights) – jest porozumieniem zawierającym w ramach umowy stowarzyszeniowej z WTO i reguluje *„wszystkie obszary własności intelektualnej, tj. ochronę praw autorskich i pokrewnych, w tym ochronę programów komputerowych i zbiorów danych oraz ochronę wykonawców, producentów fonogramów i organizacji nadawczych, patentów, praw do wzorów przemysłowych, znaków towarowych, geograficznych oznaczeń pochodzenia towarów, układów skalonych"*. Celem porozumienia TRIPS jest zatem ochrona, dochodzenie oraz egzekwowanie praw własności intelektualnej.

Również 16 grudnia 2011 r. Rada UE podjęła decyzję upoważniającą państwa unijne *„do podpisania porozumienia handlowego przeciw podróbkom (ACTA) z Australią, Kanadą, Japonią, Republiką Korei, Meksykiem, Maroko, Nową Zelandią, Singapurem, Szwajcarią i Stanami Zjednoczonymi."* François Head z biura prasowego Rady UE odpowiadając na pytania

Dziennika Internautów dotyczące ACTA, napisał, iż „porozumienie jest otwarte do podpisania do 1 maja 2013 roku, a po tym czasie kraje WTO będą mogły do niego dołączyć; po podpisaniu rozporządzenie musi być ratyfikowane przez UE i kraje UE; porozumienie wejdzie w życie, kiedy ratyfikuje je co najmniej sześć stron.”

- 17 stycznia 2012 r. rosyjski minister Ławrow nieoczekiwanie oświadczył, że Rosja nie będzie realizowała zapisów umowy akcesyjnej WTO, dopóki Stany Zjednoczone nie wykreślą dyskryminującej ją poprawki Jackson'a-Vanik'a. Zdaniem Ławrowa „ograniczenia nakładane w trybie jednostronnym na jednego z członków WTO nie mogą pozostać bez odpowiedzi”. Poprawka Jackson'a-Vanik'a została wprowadzona w roku 1974 w celu ustanowienia ograniczeń w handlu (wysokie cła i inne opłaty wywozowe powodujące nieopłacalność importu) z państwami, które utrudniały swobodne podróżowanie po świecie i emigrację swoich obywateli. Wśród takich państw znalazł się Związek Radziecki. Po jego upadku większość byłych republik sowieckich została wykreślona z „czarnej listy”, ale Rosja nadal się na niej znajduje, choć każdego roku Kongres USA udziela prezydentowi zgody na „zamrożenie” poprawki.

- 18 stycznia 2012 w prośbie przeciwko umowom ACTA swoje strony wyłączyły m.in. Wikipedia, Minecraft, Reddit i Mozilla.

- 18 stycznia przed oblicze Sądu Federalnego w Nowym Jorku trafił Władimir Zdorowenin - haker zatrzymany 27 maja 2010 roku w Zurychu i wydany niedawno do USA. Rosjanin wraz ze swoim synem jest oskarżony o rozliczne przestępstwa internetowe: włamania na strony instytucji amerykańskich, rozpowszechnianie programów szpiegowskich, oszustwa maklerskie oraz kradzieże dokonywane w sieci (w tym numerów kart kredytowych i haseł dostępu). Skradzione środki lokowano w bankach rosyjskich i łotewskich. Za popełnione przestępstwa grozi Rosjaninowi łączna kara 142 lata więzienia. FBI oczekuje, że zeznania Zdorowenina złożone przez nowojorskim sądem pozwolą poznać mechanizmy dokonywania tego typu przestępstw i ujawnią rzeczywiste powiązania hakera.

Nazwisko Zdorowenina znalazło się w raporcie rosyjskiego MSZ, dotyczącym „naruszeń praw człowieka w Stanach Zjednoczonych, UE, Kanadzie i Gruzji”, a on sam został zaliczony przez władze w Moskwie do osób, „których prawa są zagrożone przez sąd amerykański”. Prócz Zdorowenina na liście tej znajdują się nazwiska: handlarza bronią Wiktora Buta oraz pilota Konstantina Jaroszenki aresztowanego w Liberii przez amerykańską DEA za przemyt „tysięcy kilogramów narkotyków”.

- 19 stycznia na podstawie decyzji amerykańskiego sądu zamknięto serwery Megaupload.com jednej z 20 najpopularniejszych witryn internetowych pozwalających na darmową wymianę danych oraz 18 domen związanych z tą witryną. Akcję policji przeprowadzono również w Hongkongu, gdzie firma była zarejestrowana. Skonfiskowano tam ponad 42 miliony dolarów i 30 mln euro, traktując je jako „dochód z przestępstwa”. Jednocześnie w Nowej Zelandii aresztowano założyciela Megaupload „ekscentrycznego milionera” Kima Dotcoma (wł. Kim Schmitz alias Kim Tim Jim Vestor, posiadacz wielu paszportów, wielokrotnie skazywany w latach 90.za przestępstwa internetowe, w tym kradzieże kart kredytowych) oraz trzech jego współpracowników. Trzy inne osoby zarządzające firmą są poszukiwane przez FBI. Kilka dni później aresztowano w Europie Niemca Svena Echternacha oraz Andrusa Nomma z Estonii.

Władze amerykańskie oświadczyły, że chodzi o „jedną z największych spraw z zakresu łamania praw autorskich, jakie kiedykolwiek miały miejsce w USA” i podały, że akt oskarżenia zawiera zarzuty dotyczące piractwa internetowego, prania brudnych pieniędzy, „konspiracji hakerskiej” oraz licznych naruszeń praw autorskich. FBI szacuje, że działania Megaupload przyniosły autorom programów komputerowych, nagrań muzycznych i filmowych pół miliarda dolarów strat, a właścicielom firmy pozwoliły zarobić ponad 175 milionów. Departament Sprawiedliwości wystąpił o ekstradycję aresztowanych, którym grozi co najmniej 20 lat więzienia. W Nowej Zelandii sprawa właścicieli Megaupload wywołała mocny wydźwięk polityczny, bowiem opozycja od dawna atakuje rząd za prowadzenie błędnej polityki emigracyjnej, która umożliwia osiedlanie się przestępców i osób o nieznanej przeszłości. Rząd premiera Johna Key'a jest również krytykowany za nieudolność policji oraz nadmierne uleganie żądaniom administracji amerykańskiej.

- Już 19 stycznia do akcji przystąpili „obrońcy wolności internetu” z grup Anonymous i Lulz Sec. W akcie zemsty za zamknięcie Megaupload – co zostało wyraźnie podkreślone - zaatakowano szereg amerykańskich instytucji i firm fonograficznych oraz strony Departamentu Sprawiedliwości i FBI. To od tego momentu można obserwować szczególną aktywność grup hakerskich.

- 24 stycznia grupa rosyjskich hakerów określająca się jako Anonymous ogłosiła powstanie serwisu wymiany plików AnonyUpload, w miejsce zamkniętego serwisu Megaupload.

- 25 stycznia na stronie głównej AnonyUpload.com, której serwery zlokalizowano w Rosji pojawiła się informacja iż „serwis nie należy do Anonymous, ale wspiera działania tej grupy”.

- Kilka dni później, Kevin Klarmann – pozostający na wolności wspólnik szefa Megaupload Kima Dotcoma opublikował w Internecie komunikat skierowany „do wiernych fanów Megaupload”, w którym informował, że firma posiada „na szczęście nieujawnione serwery utrzymywane w tajemnicy od czasu, gdy należało się spodziewać umów SOPA, PIPA i ACTA” „Do tych istniejących – pisal Klarmann – musimy dokupić inne, tak by stworzyć sieć serwerów. Są to duże koszty więc aby wrócić z megaupload.com, pod inną nazwą domeny, oczekujemy waszej pomocy finansowej”.

- 30 stycznia z wizytą do Nowej Zelandii udał się minister spraw zagranicznych FR Sergiej Ławrow. Jako cel wizyty wskazano negocjacje w sprawie umowy o wolnym handlu (FTA) między Nową Zelandią a państwami Unii Celnej (Rosją, Białorusią i Kazachstanem). Zostały one wznowione po przyjęciu Rosji do WTO i mają spowodować wzrost wymiany handlowej między tymi krajami. Ławrow spotkał się również z Rosjanami mieszkającymi w NZ oraz z politykami opozycji.

## Epilog

Tzw. sprawa ACTA nie zaczęła się w styczniu br. Temat był znany wcześniej, a na potrzeby obecnych działań został nagłośniony w ramach „operacji anti-sec” (anty-security) rozpoczętej w czerwcu 2011 roku przez połączone grupy hakerskie: Lulz Sec, Anonymous i irańskiej CyberArmii. Ta pierwsza została założona w maju 2011 roku i rozpoczęła swoje działania od ataku na stronę brytyjskiej Serious Crime Agency (SOCA) zajmującej się cyberprzestępczością oraz od włamań na strony internetowe firm Sony, Viacom, Disney, EMI, NBC Universal, a następnie Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego, Senatu Stanów Zjednoczonych i FBI.

W czerwcu 2011 grupy hakerskie ogłosiły „wypowiedzenie wojny rządowi, bankom i największym korporacjom światowym”. Hakerom miała przyświecać idea walki z organizacjami, „które chcą kontrolować internet” oraz zamiar ukazania słabości zabezpieczeń chroniących dostęp do poufnych informacji przechowywanych przez rządy i największe instytucje finansowe.

„Zachęcamy każdego, dużego i małego, do „otwarcia ognia” w stronę każdej agencji rządowej, która stanie na waszej drodze. Całkowicie popieramy obnoszenie się z frazą AntiSec na każdej stronie internetowej rządu, lub pod postacią graffiti na

budynkach rządowych. Zachęcamy was do szerzenia słowa AntiSec jak najdalej i jak najszerzej, tak by zostało zapamiętane. Aby zwiększyć siły połączyliśmy się z Anonymous'em." – napisano wówczas na stronie AnonOps Communication.

W tym samym czasie Anonymous nawoływał, „by ludzie przyłączyli się do pokojowej rewolucji” i głosił: *Czy jesteś zadowolony ze sposobu w jaki działa świat? Może widzisz co mogło by być zmienione? Męczą Cię to, że w życiu chodzi tylko o pieniądze? Męczą Cię to, że system tobą steruje? Czas się postawić. Rewolucja jest tutaj... Przyłącz się do rewolucji. [...] Każdy z nas może rozmawiać z ludźmi, szerzyć wiedzę, tworzyć ulotki, pokazać ludziom, że wolność jeszcze istnieje, nie mamy jednak dużo czasu zanim zostanie wprowadzona cenzura internetu, oznaczająca, że każda strona może zostać zdjęta jeśli tylko treści w niej zawarte zostaną uznane za nieodpowiednie. Strony takie jak wikileaks czy inne niezależne redakcje prasowe mogą po prostu przestać istnieć. Ostatnio wprowadzone w USA prawo mówi, że jeśli twoja strona została zdjęta pod zarzutem naruszenia praw autorskich jesteś winny dopóki nie udowodnisz swojej niewinności.*”

Za tym pseudoideowym bełkotem kryły się zgoła pragmatyczne cele. Ataki na instytucje rządowe i finansowe pozwalały na pozyskanie poufnych informacji, ale też numerów kart kredytowych, adresów mailowych czy numerów ubezpieczenia. Część skradzionych danych była publikowana, inne utajniano, traktując je jako tzw. kompromisy mające posłużyć do szantażu. Numery kart kredytowych wykorzystywano np. do dokonywania przelewów „darowizn” na rzecz różnych instytucji. Grupy Anonymous i LulzSec deklarowały również obronę twórcy WikiLeaks, Juliana Assange'a. To po jego aresztowaniu – w ramach odwetu - hakerzy zaatakowali m.in. Recording Industry Association of America oraz Motion Picture Association of America, - organizacje zajmujące się ochroną własności intelektualnej. Trudno byłoby wskazać związki tych instytucji z aresztowaniem Assange'a, wiadomo natomiast, że obie organizacje mocno wspierały ustawy SOPA (Stop Online Piracy Act). Nieoczekiwane „wypłynięcie” Assange'a w państwowej telewizji Russia Today – najbardziej antyzachodniej tubie propagandowej Kremla - może dziwić tylko tych, którzy w działalności WikiLeaks upatrywali przejaw wolności internetu. Kontrakt zawarty przez „bojownika o prawdę i wolność” nie jest niczym innym, jak formą wynagrodzenia za wieloletnie osłabianie systemu informatycznego USA i państw zachodnich, w tym, za ostatnie dzieło WikiLeaks: ujawnienie depesz dotyczących przebiegu tajnych negocjacji związanych z tworzeniem porozumienia ACTA, z których miałyby wynikać, że USA zależało na tym, aby porozumienie zostało podpisane jedynie przez zainteresowane państwa i nie było negocjowane na poziomie organizacji międzynarodowych. Słusznie też Assange za rzecz najgroźniejszą dla siebie uznaje ekstradycję do USA i jest dziś gotów uczynić wszystko, byle uniknąć pytań amerykańskich śledczych. Aleksander Lebediew pisząc na Twitterze: *„Wstyd, panie Assange! Trudno wyobrazić sobie smutniejszy koniec «człowieka walczącego o światowy ład»”* – wyraził zaledwie wycinkową ocenę tej postaci.

Sprawa Assange'a przypomina o jeszcze jednym aspekcie działań „bojowników wolności”, w tym o niezwykle realnej groźbie sterowania poprzez internet reakcjami tłumu i wpływania na bieg spraw politycznych. Warto tu przypomnieć o działalności rosyjskiego blogera-publicyście Eduarda Bagirowa, który w czerwcu 2011 roku został aresztowany w Mołdawii pod zarzutem prowadzenia agitacji internetowej i organizowania zamieszek w Kiszyniowie. Wybuchły one tuż po wyborach parlamentarnych z kwietnia 2009 r. zakończonych zwycięstwem partii komunistycznej. Kilkuniedniowe rozruchy nazwane *„twitterową rewolucją”* (manifestantów zwoływano na portalach społecznościowych) doprowadziły do śmierci trzech osób, wywołały falę aresztowań i represji. Choć o ich organizowanie oskarżono Rumunię, prezydent tego kraju zdecydowanie zaprzeczył udziałowi Bukaresztu i nazwał „twitterową rewolucję” prowokacją, mającą na celu likwidację opozycji i odgrodzenie Mołdawii od UE. Blogger Bagirow przebywał przez kilka miesięcy w więzieniu, lecz po przeniesieniu do aresztu domowego (co nastąpiło na skutek zabiegów rosyjskiego MSZ) natychmiast uciekł z Mołdawi i odnalazł się w Moskwie. Przed kilkoma dniami Rosja – przyjmując pozę obrońcy wolności słowa - odmówiła wydania Bagirowa ściganego listem gończym.

Gdy w sierpniu 2011 grupy Anti-Sec wydotowały kolejny, spektakularny „sukces” polegający na kradzieży danych osobowych 7000 osób, w tym oficerów policji i ich informatorów, na portalu webhosting.pl napisano: *„Wszyscy spodziewali się wcześniej czy później cyberwojny – jednak oponentem Zachodu miały być tu Chiny czy Rosja. Tymczasem wygląda nam na to, że mamy do czynienia z wojną domową, prowadzoną asymetrycznymi środkami, pomiędzy społecznością lewicowo nastawionych hakerów, a siłami prawa i porządku. Czy aresztowania – póki co jedyna broń, którą dysponuje władza – pomogą, czy też jesteśmy skazani na eskalację konfliktu?”*

Trzeba zatem zauważyć, że obecna eskalacja konfliktu oraz działania międzynarodowych grup hakerskich, występujących „w obronie wolności internetu” zbiegły się z wyborami parlamentarnymi w Rosji i odbywały w tym samym czasie, gdy reżim Putina blokował setki stron internetowych, blogi opozycji oraz sieci społecznościowe. W dniach 3-4 grudnia 2011 doszło w Rosji do bezprecedensowej fali ataków cybernetycznych inspirowanych przez rząd. Zablokowano najpopularniejszą platformą blogową LiveJournal, strony niezależnych gazet i portali, m.in. „Echa Moskwy”, „Głosu”, „Big City”, „The New Times”. Od Pawła Durowa, właściciela jednej z popularniejszych sieci społecznościowych VKontakte, FSB zażądało, by blokował opozycyjne grupy, a od innych internetowych providerów domagano się, by *„zmniejszyli anonimowość w sieci”*, nakłaniając użytkowników do podawania swoich danych.

Już w październiku 2011 Ministerstwo Sprawiedliwości Rosji ogłosiło przetarg na zakup internetowego systemu monitoringu, który pozwala na sporządzanie raportów o informacjach zamieszczanych w Internecie na temat prezydenta, premiera i ministrów rządu FR. Również Roskomnadzor - Rosyjska Federalna Służba Nadzoru Telekomunikacji ogłosiła przetarg na opracowanie monitoringu internetu *„pod kątem treści ekstremistycznych”*. Tuż po wyborach, sekretarz Rady Bezpieczeństwa FR Nikołaj Patruszew. zapowiedział *„rozsądne ograniczenia internetu ze względów bezpieczeństwa”* i powtórzył ostrzeżenie, że Skype, Gmail i Hotmail *„mogą zostać zakazane w Rosji”*. Podobnie prokurator generalny Jurij Czajka uznał, że nadzór nad sieciami społecznościowymi jest konieczny *„w interesie ochrony swobód obywatelskich”*. Nawet patriarchy Moskwy i Wszechrusi Cyryl dołączył do zgodnego chóru decydentów i stwierdził, że *„system kontroli państwa nad internetem powinien zostać usztywniony”*. W tym samym czasie na ulicach Moskwy przeciwko oszustwom wyborczym Kremla demonstrowały setki tysięcy osób. Wiele z nich zostało zatrzymanych i pobitych przez policję.

Otóż żadne z działań reżimu rosyjskiego, liczne przypadki cenzury czy kontrolowania społeczności internetowej nie spotkały się z reakcją grup hakerskich, walczących rzekomo „o wolność internetu”. Ten fakt powinien dobitnie uświadomić, że aktywność hakerów jest precyzyjnie ukierunkowana i dotyczy wyłącznie tych obszarów, gdzie nie zagraża to interesom Moskwy.

Gdy minister Ławrow odmówił podpisania w Wilnie „Deklaracji w sprawie podstawowych swobód internetowych” i uciekł ze szczytu OBWE – sprawę przemilczano i przykryto wrzaskiem na temat umów ACTA i SOPA. Propagandowa kombinacja pozwoliła wówczas na ukrycie intencji władz rosyjskich w kwestii ochrony własności intelektualnej. Zablokowanie umów i gra ministra Ławrowa na arenie międzynarodowej, umożliwią natomiast rosyjskim „siłowikom” dalsze czerpanie korzyści z

piractwa internetowego, zaś „obrońcom wolności” spod znaku Anti-sec ułatwią penetrację zasobów światowych instytucji i rządów. Jest zaś o co walczyć. Zdaniem Arsenija Prudnikowa, publicysty portalu Gazeta.ru, grupy rosyjskich hakerów – kontrolowane i inspirowane przez służby - zarabiają nawet 10 milionów dolarów tygodniowo, a ich działalność polega głównie na okradaniu kont oraz handlu pozyskanymi informacjami. Z oczywistych względów, Rosja ma prawo obawiać się zeznań „skruszonych hakerów” złożonych przed FBI lub przed amerykańskim sądem i chętnie wspiera te przedsięwzięcia, które służą legalizacji działań przestępczych. Gwałtowne uaktywnienie hakerów po zamknięciu serwerów Megaupload wyraźnie wskazuje na obszar zainteresowań tych grup.

19 stycznia 2012 rządowa rozgłośnia „Głosu Moskwy” informowała, że „SOPA traci poparcie w Kongresie USA”, a dwa dni później, gdy w USA zdecydowano o odłożeniu debat nad umowami, reżim Putina tryumfalnie ogłosił, iż „SOPA po cichu nie przejdzie”, zaś „masowe wystąpienia i protesty przeciwko ustawie nie były daremne”. Przywołano też natychmiast głosy „rosyjskich ekspertów”, którzy dowodzili, że „ustawy SOPA aktywnie preferują wielcy gracze amerykańskiego przemysłu filmowego i wytwórnie nagrań. Proponują oni blokowanie dostępu do każdej serwerowni, rozpowszechniającej produkcję nie mającą licencji, jeszcze przed podjęciem decyzji przez sąd. Przy tym nie bierze się pod uwagę tego, czy właściciel serwisu ma związek z nielegalnym rozpowszechnianiem treści, czy nie. „Utrudni to poważnie pracę providerów, wyszukiwarek i użytkowników, których biznes związany jest z internetem” – zauważał z troską niejaki Andriej Masałowicz, a inny „analityk internetowy” twierdził, iż „Wiele krajów od dawna już walczy z nieuczciwymi jednostkami rozpowszechniającymi treści, lecz autorzy SOPA tak gorliwie zabrali się do zapewniania obrony praw ich właścicieli, że wykroczeniem wobec prawa w ich ujęciu staje się także domowe oglądanie wideo, jeśli w charakterze tła wykorzystano w tym muzykę.”

Informując o protestach Polaków przeciwko podpisaniu umowy ACTA, „eksperti internetowi” Putina pouczali, iż „czasy się zmieniły i, mówiąc uczciwie, wszelkie próby zawrócenia nas środkami ustawodawczymi do odległej przeszłości, o 20-30 lat wstecz, nie doprowadzą do niczego dobrego” oraz proponowali „nowoczesne podejście do tematu” pisząc: „Podejmowanie prób regulacji za pomocą jakichś przestarzałych sposobów jest w zasadzie pozbawione perspektyw. O wiele owocniejsze były by próby regulowania właśnie nowych, wynikających w tej chwili stosunków wzajemnych za pomocą jakichś nowych sposobów. Wobec tego nie wynikałoby pytanie, ile pieniędzy tracimy wskutek piractwa, zadawano by natomiast inne pytanie: ile pieniędzy moglibyśmy zarobić na nim?”

Wolno oczywiście sądzić, że wybuch masowych protestów w sprawie regulacji dotyczących ochrony praw własności jest wynikiem spontanicznych reakcji lub dowodzi dojrzałości środowisk internetowych. Podobnie w działaniach grup hakerskich można zobaczyć przejaw „młodzieńczej fantazji” lub też troski o prawo do swobodnego wyrażania myśli. Nie sposób jednak nie dostrzec politycznego tła obecnych zdarzeń oraz – w kontekście realiów rosyjskich - zadziwiającej wybiórczości w działaniach „obrońców internetu”. Jeśli podejmiemy trud przedarcia się przez rozliczne zasłony medialne i pokonania utartych schematów myślowych, może się okazać, że prawda o świecie wolnego internetu jest bardziej złożona i ponura, a za żywiołowym wystąpieniami i akcjami „słusznego sprzeciwu” kryją się cisi „żołnierze informacji”.

sobota, 18 lutego 2012

## 672. BO NAJPIĘKNIEJ MILCZY TRUP...

Z przebiegu ostatniej rozprawy przeciwko Wojciechowi Sumlińskiemu i Aleksandrowi L., z dnia 30 stycznia 2012 roku jednoznacznie wynika, że oskarżony Aleksander L. zapowiedział, iż podczas kolejnego posiedzenia wyznaczonego na dzień 1 marca br. ujawni kulisy prowokacji dokonanej przez płk Leszka Tobiasza. W związku z tą zapowiedzią, sędzia Stanisław Zdun oczekiwał od oskarżonego i jego obrońcy ewentualnego wniosku o utajnienie rozprawy i przeprowadzenia jej w sali Sądu Najwyższego wyposażonej w odpowiednie urządzenia antypodsłuchowe.

30 stycznia br. sąd zdecydował także o wystosowaniu kolejnego wezwania do Leszka Tobiasza. Z przebiegu poprzednich rozpraw wiemy, że wysyłane dwukrotnie wezwania nie były odbierane przez adresata, a świadek ten nie składał jeszcze zeznań przed sądem.

Również Wojciech Sumliński deklarował, że będzie chciał zadać Tobiaszowi szereg pytań i wykaże, iż główny świadek prokuratury jest kłamcą, zaś sprawa oskarżenia została spreparowana przez ludzi służb specjalnych. W oświadczeniu opublikowanym na portalu wpolityce Sumliński informował:

*„Gdyby udało się przesłuchać płk. Tobiasza, gdybym zadał mu przygotowane przeze mnie pytania, to myślę, że nikt by... Zresztą tak powiedziałem podczas ostatniej rozprawy, że nie mogę się doczekać spotkania w sądzie z płk. Tobiaszem i tego momentu, w którym zadam mu te pytania i jestem ciekaw jego odpowiedzi na te pytania - to jest w aktach sprawy. I mówiłem o tym, że gdy padną te pytania, to wtedy każdy zobaczy, "jaki koń jest". Tak, jak udało się wykazać, że Lichodzki kłamał, tak samo bez problemu wykazałbym to odnośnie Tobiasza.”*

Sumliński zapowiadał także, że po zeznaniach pułkownika będzie chciał ewentualnie uzupełnić swoje zeznania oraz złożyć nowe wnioski dowodowe.

Dziś już wiemy, że śmierć głównego świadka przekreśliła te plany, a powstała obecnie nowa sytuacja procesowa utrudni oskarżonym prowadzenie skutecznej obrony.

Warto przypomnieć, że całość oskarżenia przeciwko Wojciechowi Sumlińskiemu o „płatną protekcję” oparto na doniesieniu złożonym przez byłego pułkownika WSW/WSI Leszka Tobiasza - żołnierza Oddziału 33. Zarządu III WSI. Tobiasz - absolwent moskiewskich kursów GRU, pracował w charakterze oficera operacyjnego ataszatu w Moskwie, w tym samym czasie, gdy na placówce tej przebywał Tomasz Turowski – późniejszy ambasador tytularny. W okresie PRL-u Tobiasz zajmował się prześladowaniem opozycji niepodległościowej, zaś w okresie rządów SLD - UP był odpowiedzialny za działania wobec hierarchów Kościoła katolickiego, a następnie - do chwili rozwiązania WSI - za inwigilację i pozyskiwanie dziennikarzy. W sprawie Tobiasza prokuratury wojskowe prowadziły od 2006 r. dwa śledztwa: z doniesienia podwładnych o fałszowanie dokumentów i z doniesienia Komisji Weryfikacyjnej WSI o złożenie nieprawdziwego oświadczenia weryfikacyjnego. W lipcu 2011 roku Leszek Tobiasz został prawomocnie skazany na pół roku więzienia w zawieszeniu, za przekroczenie uprawnień. Sądy uznały za przestępstwo wezwanie przezeń do WSI pewnego oficera – po to, by uniemożliwić mu udział w ważnym głosowaniu. Przeszłość Tobiasza nie przeszkaadzała prokuraturze traktować tego świadka jako w pełni wiarygodnego i na podstawie jego donosu przez wiele miesięcy podejmować działania wobec dziennikarza i członków Komisji Weryfikacyjnej WSI.

Proces Wojciecha Sumlińskiego oraz związana z nim sprawa afery marszałkowej - „matki” wszystkich późniejszych afer za czasów rządów PO-PSL, - jest zgodnie przemilczany przez ośrodki propagandy III RP. Chociaż na liście świadków znajdują się m.in. Bronisław Komorowski, szef ABW Krzysztof Bondaryk czy rzecznik rządu Paweł Graś, a także znani dziennikarze i wysocy rangą byli oficerowie WSI – media mainstreamowe nie informują Polaków o przebiegu tego ważnego procesu.

Przyczyna wydaje się prosta. Sprawa dotyczy bowiem kombinacji operacyjnej z udziałem ludzi WSW/WSI, szefostwa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego, rozgrywanej w latach 2007-2008. Celem kombinacji było uzyskanie dostępu do tajnego aneksu z Raportu z Weryfikacji WSI, a gdy okazało się to niemożliwe – podjęcie działań zmierzających do oskarżenia członków Komisji Weryfikacyjnej WSI oraz dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego. Chodziło przy tym o zdezawuowanie treści zawartych w aneksie oraz uprzedzenie ewentualnych zarzutów dotyczących powiązań polityków Platformy ze środowiskiem byłych WSI. Priorytetem kombinacji pozostawała osłona politycznego „patrona” wojskowych służb - Bronisława Komorowskiego, autora słów „*muszę zobaczyć aneks przed publikacją*”. Osobą odpowiedzialną do przeprowadzenia tej akcji wydawał się były szef komunistycznego kontrwywiadu wojskowego płk Aleksander L. - wieloletni znajomy Komorowskiego, działający również jako informator w środowisku dziennikarskim. L. łączyła znajomość z Wojciechem Sumlińskim, a poprzez dziennikarza liczone na dotarcie do Leszka Pietrzaka oraz do pozostałych członków Komisji Weryfikacyjnej WSI. Prawdopodobnie w grze uczestniczyli jeszcze inni oficerowie WSI, zajmując się osłoną działań Aleksandra L., zaś operacja zdobycia aneksu była prowadzona na długo przed wyborami parlamentarnymi 2007r.

To obecny prezydent spotkał się z oskarżonym Aleksandrem L i przystał na jego propozycję uzyskania nielegalnego dostępu do informacji stanowiących ścisłą tajemnicę państwową, a następnie umówił się z nim w kwestii dalszych kontaktów. W dniu 27.07.2008r., składając zeznania w Prokuraturze Krajowej w Warszawie w sprawie sygnatura akt PR-IV-X-Ds. 26/07 Bronisław Komorowski pod rygorem odpowiedzialności karnej zeznał: „*Ja wyraziłem wstępnie zainteresowanie jego propozycją. Umówiliśmy się, że on odezwie się, gdy będzie miał możliwość dotarcia do tych dokumentów*”.

Problem pojawił się w momencie, gdy okazało się, że nie ma szans na dotarcie do ludzi Komisji Weryfikacyjnej, a tym bardziej, że nie uda się uzyskać dostępu do aneksu. To wówczas nastąpiła zmiana kombinacji i został do niej włączony płk Leszek Tobiasz. Zajął się on uzyskaniem „materiałów dowodowych” obciążający Sumlińskiego i członków Komisji Weryfikacyjnej. Taka koncepcja zakładała również, że dobrowolną „ofiara” stanie się Aleksander L., z którym rozmowy Tobiasz. miał nagrywać. Działania te rozpoczęto w momencie, gdy pojawiły się publikacje medialne wskazujące na odpowiedzialność Komorowskiego w sprawie inwigilacji członków komisji sejmowej w roku 2000 oraz informacja o wezwaniu kandydata PO na marszałka Sejmu przez Komisję Weryfikacyjną. Niemalże znaczenie dla przyspieszenia kombinacji mógł mieć również artykuł Leszka Misiaka, w którym ujawniono fakt bliskiej znajomości Komorowskiego z płk Aleksandrem L.

Natomiast z zeznań płk Tobiasza wynikało, że na początku listopada 2007 r. doszło do jego spotkania z Bronisławem Komorowskim, Krzysztofem Bondarykiem, Grzegorzem Reszką (pełniącym wówczas obowiązki Szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego) oraz Pawłem Grasiem (ówczesnym zastępcą przewodniczącego sejmowej komisji ds. Służb Specjalnych). Na spotkaniu tym poczyniono ustalenia w zakresie działań dotyczących członków Komisji Weryfikacyjnej. Ustalenia te były następnie realizowane przy udziale płk Tobiasza - jako jedynego świadka w sprawie domniemanej korupcji. O tym spotkaniu Komorowski nie poinformował podczas przesłuchania przed prokuratorem, a w jego zeznaniach istnieją rozliczne luki i rozbieżności.

W efekcie ustaleń poczynionych w listopadzie 2007 roku, płk Tobiasz złożył zawiadomienie do prokuratury o podejrzeniu korupcji wokół Komisji Weryfikacyjnej, obciążając w nim Aleksandra L. i Wojciecha Sumlińskiego. Jednocześnie uruchomiono celową kampanię medialną, mającą na celu dezinformację społeczeństwa, w tym wytworzenie fałszywego przekonania jakoby doszło do „wycieku” aneksu, a sprawa miała podłoże korupcyjne. Momentem kulminacyjnym kombinacji był dzień 15 maja 2008 r. gdy ABW dokonała przeszukania w domach Wojciecha Sumlińskiego, Piotra Bączka i Leszka Pietrzaka, licząc na znalezienie jakiegokolwiek dowodu potwierdzającego z góry założoną tezę o wycieku aneksu. Aresztowanie Aleksandra L miało zaś uwiarygodnić twierdzenie, że oficer WSW/WSI współpracował z ludźmi Komisji. Podjęto również próbę „aresztu wydobywczego” wobec Wojciecha Sumlińskiego, licząc prawdopodobnie na zastraszenie dziennikarza i uzyskanie materiałów obciążających członków Komisji. Ponieważ nie doszło do aresztowania dziennikarza, a prezydent Lech Kaczyński ogłosił, iż nie opublikuje aneksu - zdecydowano o zakończeniu kombinacji.

W listopadzie 2008 roku, Antoni Macierewicz komentując zachowania Bronisława Komorowskiego, zauważył: „*Ostatnio kilkakrotnie widziałem marszałka w stanie silnego podenerwowania. Pierwszy raz, gdy pytano go o związaną z WSI spółkę „Pro civili”. Drugi raz niedawno, gdy pytano go o kontakty z Leszkiem Tobiaszem i Aleksandrem L.*”

Zdenerwowanie Komorowskiego wydaje się zrozumiałe, jeśli dostrzec liczne rozbieżności w zeznaniach byłego marszałka Sejmu z zeznaniami Tobiasza, a nawet z zeznaniami szefa ABW Krzysztofa Bondaryka. Dotyczą one dat oraz okoliczności, w jakich doszło do współpracy Tobiasza z ABW.

Z zeznań Bondaryka, ujawnionych przed kilkoma miesiącami na portalu niezależna.pl wynika, że Komorowski wezwał szefa ABW w dniu 23 listopada 2007 roku, a spotkanie z Tobiaszem odbyło się tego samego dnia na terenie Sejmu. Tobiasz – zdaniem Bondaryka - miał mieć przy sobie dowody na rzekomą korupcję w Komisji Weryfikacyjnej WSI. W tym samym dniu, Bondaryk swoim samochodem przewiózł Tobiasza do siedziby Agencji na Rakowiecką, zaprowadził do pokoju, po czym wezwał „funkcjonariusza pionu śledczego panią Fetke”. Tobiasz został przesłuchany i przyjęto od niego zawiadomienie o przestępstwie. Komorowski zaś zeznawał, iż jego pierwsze spotkanie z Tobiaszem miało miejsce 21 listopada 2007r., podkreślając: „*tej daty jestem pewien, w kalendarzu niestety nie zapisano dnia spotkania z Lichockim, ale mogło to być około dzień lub dwa przed rozmową z Tobiaszem.*” Dalej Komorowski oświadczył: „*Tobiasz chciał mi okazać zdobyte dowody w postaci nagrań i na kolejne spotkanie, 3 grudnia 2007 r. – przyniósł je. Widziałem kamerę, dyktafon, kasety video i kasety do dyktafonu.*” „*O ile pamiętam – oświadczył Komorowski prokuratorowi - następnego dnia przekazałem powyższą informację Ministrowi Koordynatorowi Pawłowi Grasiowi oraz szefowi SKW płk. Reszce. Minister Graś następnie powiedział mi, że jest to sprawa, którą powinno zająć się ABW z uwagi nie tylko na korupcję, ale również na zagrożenie państwa. Po kilku dniach przeprowadziłem rozmowę z szefem ABW panem Bondarykiem. Po pewnym czasie, myślę że po około dwóch tygodniach, Tobiasz stawił się w umówionym miejscu i czasie do dyspozycji ABW, która zajęła się tą sprawą.*”

Rozbieżności dotyczą także terminu i okoliczności poznania płk Tobiasza. Komorowski zeznał bowiem przed prokuratorem, iż to posłanka PO Jadwiga Zakrzewska przekazała mu informację, że chce się ze z nim spotkać pułkownik z WSI, „*który jest jej sąsiadem*”, podczas gdy Jadwiga Zakrzewska zaprzeczyła tej informacji. Komorowski w swoich złożonych w Prokuraturze Krajowej w Warszawie w sprawie sygnatura akt PR-IV-X-Ds.26/07 pod rygorem odpowiedzialności karnej zeznał także, że : „*nazwisko Wojciecha Sumlińskiego kojarzę jedynie z prasy. Nie znam go osobiście*”, podczas gdy w listopadzie 2008 roku Wojciech Sumliński składając wyjaśnienia przed sejmową komisją ds. służb specjalnych oświadczył, że spotykał się

wielokrotnie z Komorowskim w roku 2007, a tematem ich rozmów był przygotowywany dla programu „30 minut” w TVP Info materiał o Fundacji Pro Civili.

Nie powinno zatem dziwić, że Antoni Macierewicz wielokrotnie podkreślał, że jego zdaniem na ławie oskarżonych powinien zasiąść nie Wojciech Sumliński, a były oficer WSI płk Leszek Tobiasz oraz były marszałek Sejmu, Bronisław Komorowski. Wnioski w tej sprawie składane przez Macierewicza do prokuratury – zostały odrzucone. Nie może również dziwić, że prokuratura usilnie sprzeciwiała się wnioskowi Antoniego Macierewicza i Piotra Bączka o umożliwienie im uczestnictwa w procesie sądowym w charakterze oskarżycieli posiłkowych. Choć wniosek poparł oskarżony Wojciech Sumliński i jego obrońcy, prokurator wyraźnie się temu sprzeciwił.

30 stycznia br. podczas rozprawy przed sądem Wojciech Sumliński ponowił zatem wniosek o przeprowadzenie konfrontacji pomiędzy płk Leszkiem Tobiaszem, płk Aleksandrem L. oraz Bronisławem Komorowskim – w celu wyjaśnienia rozlicznych rozbieżności istniejących w zeznaniach tych osób.

Dziś już wiemy, że również ten wniosek nie zostanie uwzględniony, a śmierć głównego świadka oskarżenia zasadniczo zmieni obraz sprawy i utrudni ustalenie stanu faktycznego.

Jakkolwiek byśmy nie oceniali faktu śmierci płk Tobiasza, to - w kontekście tej sprawy - niełatwo zapomnieć o jednym z podstawowych przykazań tajnych służb, które mówi, że „nic nie jest tak piękne jak milczenie”. Trudno wówczas nie dostrzec, że najpiękniej milczy trup.

środa, 22 lutego 2012

### 673. HIPOTEZA CZY DEZINFORMACJA. RZECZ O GRANICACH

Wielokrotnie przypomniałem na tym blogu słowa doskonałego znawcy Rosji, Włodzimierza Bączkowskiego, który w szkicu „Uwagi o istocie siły rosyjskiej” z roku 1938 napisał: *„Głównym rodzajem broni rosyjskiej, decydującym o dotychczasowej trwałości Rosji, jej sile i ewentualnych przyszłych zwycięstwach, nie jest normalny w warunkach europejskich czynnik siły militarnej, lecz głęboka akcja polityczna, nacechowana treścią dywersyjną, rozkładową i propagandową.”*

To myśl warta refleksji, skoro po 70 latach nic nie straciła ze swojej aktualności i nadal zawiera głęboką prawdę o rosyjskim reżimie. Największą siłą sowieckiej doktryny oraz gwarancją powodzenia operacji tajnych służb, była zawsze doskonale prowadzona i funkcjonalna dezinformacja.

Gdy na początku maja 2010 roku, w nieco prowokacyjny sposób pytałem na blogu: czy Putin jest idiotą? – napisałem wówczas, że jeśli mamy przyjąć, iż 10 kwietnia doszło do tajnej operacji służb rosyjskich, trzeba też uznać, że mielibyśmy do czynienia z największą i najpoważniejszą tego typu operacją w historii służb specjalnych. Jej zakres nie da się porównać z żadną znaną ingerencją tajnych służb. Katastrofa w Gibraltarze, zabójstwo Kennedy'ego, zamach na Jana Pawła II czy „zamachy terrorystyczne” w Rosji, nie mogą być porównywalne z operacją, w której ginie urzędujący prezydent, grupa najwyższych rangą dowódców wojskowych oraz elita oficjeli, a ich śmierć znacząco zmienia obraz Europy i wpływa na szereg procesów politycznych.

Jest oczywiste, że działaniom tajnych służb musiałyby wówczas towarzyszyć nadzwyczajne środki zabezpieczające, adekwatne do wagi operacji, jaką przeprowadzono. Środki nie tylko techniczne, ale przede wszystkim maskujące zbrodnicze działania - podejmowane przed, w trakcie i długo po przeprowadzeniu zamachu. W działaniach strony rosyjskiej takie środki widoczne są przed 10 kwietnia (np. gra ambasadora Grinina wokół listu prezydenta Kaczyńskiego czy udaremnienie kontroli lotniska ) oraz już w chwilę po katastrofie, gdy do mediów zaczęły napływać fałszywe, spreparowane wiadomości. Dziś już wiemy, że ogólna skala dezinformacji jest porównywalna tylko do sowieckich matactw w sprawie Katynia i ta okoliczność zdaje się stanowić najmocniejszą przesłankę, by w tragedii smoleńskiej dostrzec znak rosyjskiego sprawstwa. To w tym obszarze mamy do czynienia z wręcz klasyczną *„głęboką akcją polityczną, nacechowaną treścią dywersyjną, rozkładową i propagandową.”*

Zatrzymanie w rękach Rosjan wszystkich dowodów rzeczowych i oparcie całej narracji na materiałach udostępnionych przez FR, umożliwiło nie tylko zachowanie pełnej kontroli nad śledztwem, ale przede wszystkim panowanie nad obszarem dezinformacji. Dlatego wszelkie analizy, spekulacje i hipotezy oparte w całości na źródłach rosyjskich można zaliczyć na poczet udanych kampanii dezinformacji. Każda kolejna i powielanie już istniejących, stanowiły rodzaj dezinformacyjnego „perpetuum mobile” – napędzając proces, u którego kresu zawsze był ślepy zaułek. Dlatego Rosjanie nie musieli obawiać się żadnej, najbardziej fantastycznej hipotezy - byle tylko nie przybliżała do prawdy.

W tekście z maja 2010 roku napisałem, że jeśli ktoś sądzi, iż płk Putin i podległe mu służby dokonały zamachu lub w jakimkolwiek inny sposób ingerowały w katastrofę z 10 kwietnia i pozostawiły przy tym widoczne ślady, które bystry umysł amatora - analityka przekuje na niepodważalne dowody - trzeba mu powiedzieć, że uważając Putina za idiotę, wykonuje dla niego doskonałą i pożądaną robotę.

Dzieje się tak nie dlatego, jakoby rosyjskie służby miały być wszechmocne i nieomyłne, ale z tej przyczyny, że nie rozumiejąc lub lekceważąc siłę dezinformacji – czynimy z niej broń najgroźniejszą, a nawet samobójczą, jak wówczas, gdy ofiara używa jej przeciwko sobie. Myślę, że ci, którzy wciąż dywagują o dezinformacji niespecjalnie zdają sobie sprawę, że nie polega ona na przekazie fałszywych wiadomości i zmyleniu nimi przeciwnika, ale na posłużeniu się nim samym do sprokrowania fałszu. Znajomość ludzkiej natury, a szczególnie jej słabości, stanowi o sile tej metody. Stosowana przez Rosję dezinformacja ma na celu zmuszenie przeciwnika, by to on sam stworzył fałszywą tezę – nawet w oparciu o prawdziwą informację, a uwierzywszy w nią dostosował wszystkie pozostałe przesłanki do własnych wyobrażeń. W tej metodzie nie trzeba okłamywać przeciwnika, ponieważ on sam wprowadza się w błąd i z każdym następnym krokiem pograża w niewiedzy. W rezultacie, nie tylko nie jest w stanie pokonać wroga, ale dostrzega go w zupełnie kim innym lub lokalizuje w całkowicie błędnym miejscu.

Jej skuteczność jest szczególnie widoczna w przypadku hipotez przyjętych a priori lub takich, które w obawie przed pułapką dezinformacji, traktują tragedię smoleńską jako akt „totalnej mistyfikacji”, podważając nie tylko jej okoliczności, ale również negując miejsce i czas zdarzenia. Hipotezy takie bazują na skądinąd słusznym założeniu, że służby rosyjskie kłamią zawsze i wszędzie, a skoro tak się dzieje, należy bezwzględnie odrzucać i podważać wszystko, co podaje nam aparat dezinformacji.

O jednej z tych hipotez, według której *„10 kwietnia w Smoleńsku doszło do totalnej mistyfikacji (na niewyobrażalną skalę), tzn. że wszystkie zdjęcia z miejsca katastrofy nie pokazują polskiego tupolewa, lecz rosyjską wydmuszkę, a prawdziwa katastrofa/zestrzelenie itd. samolotu z delegacją prezydencką zaszły gdzie indziej”* - tak pisał 12 maja 2010 roku pewien znany bloger: *„Gdyby spadł jakiś drugi tupolew, to cała akcja związana z katastrofą musiałaby być przeprowadzona na dwóch*

poziomach: zabezpieczenie pierwszej katastrofy (tajnej) i osłona drugiej (tej na pokaz). Pomijam już ilość ludzi, którzy musieliby być wtajemniczeni w taki plan i jego realizację (włącznie z eliminowaniem lub neutralizowaniem przypadkowych świadków), a którzy musieliby trzymać język za zębami (w Rosji oczywiście jest to do wyobrażenia, jeśli wczytamy się w książki znawców rosyjskiej rzeczywistości), ale taka operacja musiałaby być też zabezpieczona od strony „zewnątrznego wyglądu”. Musiano by zabezpieczyć przebieg takiej operacji nie tylko przed przypadkowymi świadkami, ale i przed przechwyceniem przez amerykańskie satelity szpiegowskie (wszak w pewnym momencie lotu pojawiałby się drugi tupolew – skądś startujący i lecący do Smoleńska, a polski tupolew musiałby być zepchnięty gdzieś indziej lub zestrzelony).”

To niezwykle trafne uwagi – bo nawet osoba średnio zorientowana w tajnych operacjach rozumie, że łatwiej jest kogoś „zlikwidować”, niż upozorować jego likwidację. Łatwiej też zatrzeć ślady zbrodni, niż je preparować. Podobnie, jak łatwiej powierzyć tajemnicę kilku osobom, niż angażować do niej tłumy i narażać się ryzyko wpadki. Jeśli zatem ktoś przyjmuje, że doszło do „totalnej mistyfikacji”, musiałby w pierwszej kolejności odpowiedzieć na pytanie: dlaczego służby zamachowca wybrały trudniejszy i bardziej skomplikowany sposób działania, jeśli ten sam cel mogły osiągnąć stosunkowo prostą i bezpośrednią metodą? Dopiero logiczna i wsparta o dowody odpowiedź na to pytanie, uprawniałaby do dalszych, choć wcale nie łatwiejszych poszukiwań.

Wskazuję na tę hipotezę, ponieważ na jej przykładzie można prześledzić skuteczność rosyjskiej dezinformacji i dostrzec sposób jej funkcjonowania. Odkąd bowiem pojawiła się teza o „maskirowce”, a jej zwolennicy przyjęli ją w formie dogmatu - wszystkie okoliczności zdarzenia z 10 kwietnia, rozliczne rozbieżności w zeznaniach świadków czy niezgodności w materiałach faktograficznych, nabrały cech poszlak świadczących o „wielkiej mistyfikacji”.

Niczym wzorzec za Sevre, hipoteza ta przykładana do każdej przesłanki, wskazywała na jej prawdziwość lub fałsz i bez względu na osobę obnażała prawdziwe intencje. Każdy zaś, kto jej przeczył lub wskazywał na inny przebieg zdarzeń, musiał być postrzegany jako nosiciel rosyjskiej dezinformacji i wróg prawdy.

Ten zadziwiający radykalizm zdawał się wynikać z zasady, której trudno odmówić słuszności: wróg posługuje się po mistrzowsku dezinformacją, ja zatem będę od niego mądrzejszy i zaprzeczę nawet temu, co wydaje się bezsporne lub zgodne z rozumem. Im więcej zaś pojawia się dowodów podważających moją hipotezę, tym mocniej dowodzą one sprawności dezinformacji.

Czy taka konstrukcja wymagała szczególnych działań agentury? Oczywiście nie i zapewne nie mają racji przeciwnicy hipotezy, oskarżając innych o agenturalne inklinacje.

Zbudowano ją bowiem na obserwacji zachowań użytkowników blogosfery i doskonałej znajomości ludzkiej natury. Musiała zakiełkować w środowisku ludzi inteligentnych i przekonanych o wartości swoich walorów poznawczych. Musiała wesprzeć się na autorytecie człowieka rozpoznawalnego, o dużych ambicjach i silnej osobowości. Musiała – wreszcie – znaleźć mocną reprezentację wśród osób zagubionych wobec tajemnicy Smoleńska i wzbudzić w nich przekonanie, że stali się posiadaczami „jedynej prawdy”. Ten elitarny lub wręcz sekciarski charakter hipotezy, miał z niej uczynić wiedzę niedostępną dla nosicieli rosyjskiej dezinformacji i odróżniać wyznawców „maskirowki” od pospolitych internautów, ekspertów czy naukowców.

Jeśli wymagała ewentualnej inspiracji, to tylko w tych obszarach, gdzie odwoływano się do czyichś ambicji, pychy lub poczucia wyższości. Było to szczególnie łatwe od czasu, gdy stworzono wizerunek wroga – dostrzegając go dokładnie tam, gdzie życzyliby sobie tego ukryci inspiratorzy. Po stworzeniu fałszywego wroga, działania inspiratorów ograniczają się do mnożenia zarzutów oraz dzielenia i konfliktowania ludzi wspólnie poszukujących prawdy.

Ten właśnie charakterystyczny rys pozwala zauważyć, że istnieje ścisła relacja między obecnymi działaniami, a metodą zastosowaną przed kilku laty dla dyskredytowania Raportu z Weryfikacji WSI. To bezbłędny azymut. Zwracałem na niego uwagę w tekście „METODA PROPAGANDOWEJ PREWENCJI” i trudno przypuszczać, by zwolennicy „totalnej mistyfikacji” nie dostrzegli tych związków. Epitety, ataki personalne i rozliczne, najbardziej plugawe insynuacje, mają sprawić, że dokument dotyczący tragedii smoleńskiej, opracowany pod kierunkiem Antoniego Macierewicza stanie się niewiarygodny, a jego treść zostanie odrzucona przez Polaków. Ta polityczna intencja staje się coraz wyraźniejsza i nic mocniej nie ujawnia kompromitującej wspólnoty celów.

Niezależnie, kto stoi za tą hipotezą, czyje ambicje ona karmi lub czyje urazy ma leczyć – to wspólne piętno ujawnia dziś rzecz jeszcze straszniejszą. Ci bowiem, którzy formułują rozmaite oskarżenia pod adresem ludzi pracujących z zespołem parlamentarnym, podważają czyjąś uczciwość lub drogę życiową - przyjmują postawę tropicieli bardziej gorliwych, niż byli nimi ludzie komunistycznej bezpieki i ich spadkobiercy w służbach III RP. Nawet tym „specjalistom” od śmierci cywilnej nie udało się znaleźć żadnych kompromatów, na podstawie których mogliby skompromitować Antoniego Macierewicza lub współpracujących z nim ludzi. Nie wynika to bynajmniej z nieudolności owych „specjalistów” lecz jest dowodem, że takie materiały nie istnieją. Gdyby było inaczej – dawno zostałyby ujawnione.

Rozgrywanie tej karty, nie ma zatem nic wspólnego z poszukiwaniem prawdy, tym bardziej - z intencją wyjaśnienia okoliczności tragedii smoleńskiej.

Nie można nikomu zabronić forsowania dowolnej hipotezy, bo każda z sensownych analiz przybliży nas do wspólnego celu. Dotarcie do niego jest wręcz obowiązkiem każdego z nas – według sił i zdolność. Można też nie lubić Antoniego Macierewicza, uważać, że zbłądził lub wykonuje dziś niepotrzebną robotę.

Tam jednak, gdzie pojawia się ów charakterystyczny rys i objawia znany od lat sposób argumentacji oraz skrywana za nim metoda ataku - nie ma miejsca dla ludzi uczciwych, zaś każdy, kto uprawia ten proceder musi mieć świadomość, czym głosem naprawdę przemawia.

piątek, 24 lutego 2012

## 674. BOJKOT- CZYLI JAK WYGRAĆ EURO DLA POLSKI

Wiele wskazuje, że organizacja europejskiego turnieju w piłce nożnej może stać się dla obecnego układu bolesnym gwoździem do trumny. By tak się jednak stało, trzeba, by środowiska opozycyjne wobec władzy okazały dość determinacji i odwagi.

Grupa nieudaczników spod znaku PO-PSL tak bowiem przygotowała Polskę do Euro2012, że tylko tuskowy „cud” mógłby ocalić ich od kompromitacji.

Przeplacone i niefunkcjonalne stadiony, brak autostrad, dworców i lotnisk, fatalnie przygotowana reprezentacja, postkomunistyczny, skorumpowany skansen PZPN-u, represje wobec kibiców piłkarskich – to tylko podstawowe owoce przygotowań do Euro.

Nawet polityczny kuglarz w roli premiera rządu, z podległym mu aparatem medialnej propagandy, nie uczyni z tej ruiny profesjonalnej imprezy sportowej.

Tylko w jednej dziedzinie grupa rządząca wykazała swoistą zapobiegliwość. Już w lutym 2011 roku powstały zespoły CBS ds. „walki z przestępczością pseudokibiców”, przygotowano szereg represyjnych przepisów, a od czasu ubiegłorocznej wizyty Tuska w Kijowie, zacieśnia się partnerska współpraca z ukraińskimi służbami, zarządzanymi przez weterana z KGB.

Dzięki ustawie o zapewnieniu bezpieczeństwa w związku z organizacją Turnieju Euro 2012, przemyciono zapis pozwalający Policji na „uzyskiwanie, gromadzenie, przetwarzanie, sprawdzanie i wykorzystywanie informacji w tym danych osobowych o osobach mogących stwarzać lub stwarzających zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego”. Choć dane te winny zostać zniszczone po zakończeniu turnieju, ustawa przewiduje, że jeśli okażą się przydatne dla Policji (to zaś będzie kwestią uznaniowości) mogą być w dalszym ciągu wykorzystywane. Ustawa pozwala również ogólnokrajowym związkom sportowym na gromadzenie i udostępnianie organizatorom meczów danych osobowych kibiców w tym: imienia i nazwiska, numeru PESEL, numeru dowodu tożsamości, wizerunku twarzy oraz „innych informacji”. Dzięki Euro 2012 służby specjalne będą miały okazję do sporządzenia ogromnej bazy danych o obywatelach, szczególnie tych, którzy z punktu widzenia obecnej władzy „stwarzają zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego”.

Organizacją turnieju uzasadniano również błyskawiczne uchwalenie ustawy o wymianie informacji z organami ścigania państw członkowskich Unii Europejskiej. Tytuł tego aktu prawnego nie ma nic wspólnego z jego rzeczywistą zawartością. Uchwalone przepisy rozciągają bowiem procedury wymiany informacji o polskich obywatelach na organizacje międzynarodowe oraz państwa nie będące członkami UE i pozwalają na całkowitą dowolność działań służb specjalnych. Na podstawie tej ustawy, wszystkie informacje zawarte w polskich bazach danych mogą być przekazywane do każdego państwa świata, bez czyjejkolwiek zgody i wiedzy. W praktyce oznacza to, że najbardziej poufne informacje o obywatelach polskich mogą bez przeszkód trafić do takich państw jak: Chiny, Kuba, Rosja, Wietnam czy Białoruś – wszystkie one bowiem są członkami międzynarodowej organizacji policyjnej INTERPOL lub należą do „państw trzecich”.

Ubiegłoroczna nowela ustawy o Policji pozwoliła zaś zatrudnić w roli „stróżów porządku” nowe zastępy źle wyszkolonych funkcjonariuszy, w tym osoby bez wykształcenia średniego, skazane za wszelkiego rodzaju wykroczenia lub czyny chuligańskie. Tuskowe neo-ZOMO w liczbie 30 tysięcy funkcjonariuszy, „sądy stadionowe”, zestawy „przeciw-uderzeniowe”, paralizatory, armatki i „środki ogłuszające”, specjalistyczne „kibitki” do przewozu kibiców, śmigłowce i psy służbowe - będą jedyną i autentyczną wizytówką obecnego rządu.

Nietrudno zrozumieć, że w zamysłach tej władzy organizacja turnieju Euro2012 ma przynieść propagandowe korzyści i zapewnić jej prestiż na arenie międzynarodowej. Oba cele wydają się realne, ponieważ zachodnia opinia publiczna czerpie wiedzę o naszym kraju głównie z ośrodków rządowej propagandy, zaś stan świadomości tzw. elit politycznych Zachodu czyni z nich grupę bezrozumnych euroidiotów. Za propagandowym sukcesem przemawia również gotowość owych elit do każdej formy wspierania najłabszego rządu III RP – pod warunkiem wszakże, że będzie to słabość coraz głębsza.

Cel propagandowy – jako jedyny dostępny dla obecnej władzy - jest zatem możliwy do osiągnięcia, pomimo istnienia setek niedociągnięć, zaniedbań i błędów organizacyjnych. Nie ulega wątpliwości, że media mainstreamowe będą tworzyły szczelny parasol ochronny nad organizatorami Euro, a rozgrywając ambicje społeczne i posługując się hasłami „jedności”, nie dopuszczą do ujawnienia rzeczywistej skali porażki. Do łask powrócą nawoływania do „postaw patriotycznych” i demagogiczne zapewnienia o „zdaniu egzaminu”, zaś ludzie, którzy dotąd okazywali wrogość wobec każdego przejawu polskości i nikczemnie walczyli z polskimi tradycjami, staną się nagle piewcami „więzi narodowych” i swoiście rozumianego patriotyzmu. Łatwość z jaką Polacy ulegają manipulacji sprawi, że miliony naszych rodaków zastąpią patriotyzm substytutem „piłkarskiego szaleństwa” lub sprowadzą ją do pijackich wrzasków podczas transmisji meczu.

Utrwalanie tego fałszywego wizerunku jest rzeczą szkodliwą dla Polski – zwiększa bowiem szanse wegetacji patologicznego układu i służy podtrzymywaniu groźnej fikcji, niszczącej od lat nasze życie publiczne.

Nie istnieją żadne, racjonalne przesłanki, by środowiska opozycyjne wobec tego rządu i zainteresowane jego upadkiem, wspierały propagandowy humbug – a tym samym - uwiarygodniały grupę skompromitowanych nieudaczników. Nie ma też najmniejszych powodów, by utożsamiać interes Polaków z celami grupy rządzącej lub łączyć sukces propagandowy Euro z korzyściami dla społeczeństwa. Myślenie w kategoriach My-Oni jest najbardziej właściwym i wspartym o realia sposobem postępowania tej grupy.

Jest to zatem ich impreza i tylko oni winni ponosić konsekwencje własnego nieróbstwa i głupoty. Zorganizowali ją ludzie uwikłani w rozliczne afery korupcyjne, kierujący się prywatą i pogardą dla dobra wspólnego. Zorganizował ją rząd odpowiedzialny za katastrofalny stan państwa, za rezygnację z suwerenności i godności Polski, zatruwający nasze życie publiczne nachalną retoryką kłamstwa i nienawiści.

Próby ukrycia rzeczywistości i zastąpienia jej prostackim, piłkarskim amokiem - nie leżą dziś w interesie środowisk opozycyjnych. Nie leżą w interesie tych wszystkich, którzy nie godzą się na dalsze niszczenie Polski i dostrzegają więcej, niż pokazuje się nam na „ołtarzach” ekranów telewizyjnych.

Jestem przekonany, że jedyną sensowną i wręcz naturalną postawą wobec tej propagandowej hucpy, jest jej całkowity bojkot – w każdej, dozwolonej prawem formie. Bojkot prowadzący do odrzucenia przekazu ośrodków propagandy i ostentacyjnej obojętności wobec wszystkiego co dotyczy Euro2012. Ta postawa nie wymaga politycznego uzasadnienia i nie musi określać naszych poglądów politycznych. Oznacza raczej mądrą rezygnację z iluzorycznej wizji „naszego państwa” i wynika z poczucia odpowiedzialności za szkodliwe, społeczne skutki tej imprezy.

Jeśli opozycja nie ulęknie się medialnych terrorystów i znajdzie dość odwagi, by przejść od słów do czynów – Euro stwarza wprost idealną okazję, by opinia światowa dowiedziała się prawdy o polskiej rzeczywistości i poznała nasze najgłębsze problemy. Ten czas trzeba wykorzystać dla informowania mediów światowych o sytuacji związanej ze śledztwem smoleńskim, do wykazania kłamstw moskiewsko-warszawskiej propagandy, do zwrócenia uwagi na liczne przypadki łamania i ograniczania praw obywatelskich. Stwarza on jedyną okazję, gdy otwarcie i bez załganych pośredników będziemy mogli pokazać światu prawdziwą twarz „liberalnych” przywódców i zwrócić uwagę na ich haniebne dokonania.

W czasie, gdy oczy milionów ludzi będą zwrócone na Polskę, należałoby oczekiwać twardych i jednoznacznych wystąpień środowisk opozycyjnych oraz organizowania konferencji prasowych i manifestacji, z jednym, fundamentalnym żądaniem - ustąpienia grupy rządzącej. Istnieje potrzeba, by media opozycyjne wobec władzy stały się wówczas miejscem informowania opinii światowej o tym, co faktycznie wydarzyło się w czasie rządów PO-PSL, by potrafiły pokazać tragiczny bilans tych lat i obraz III RP – odarty z propagandowej osłony.

Gdybyśmy potrafili mądrze wykorzystać te polskie „pięć minut” - istnieje szansa, że Donald Tusk i grupa jego kamratów rozegrają swój ostatni, przegrany mecz.

niedziela, 26 lutego 2012  
**675. STAN PODLEGŁOŚCI**

Śmierć płk. Leszka Tobiasza i kryjące się za nią okoliczności dotyczące afery marszałkowej powinny zwrócić uwagę na bezprecedensowy w demokratycznych krajach fakt, iż głową państwa jest dziś człowiek uwikłany w rozliczne kontakty z ludźmi wojskowej bezpieki i wysokimi oficerami „ludowego” wojska.

Zmarły przed kilkoma dniami główny świadek oskarżenia w procesie przeciwko Wojciechowi Sumlińskiemu należał z pewnością do ludzi, którzy posiadali istotną wiedzę o Bronisławie Komorowskim. To płk Leszek Tobiasz miał zgłosić się do Komorowskiego 21 listopada 2007 r. z propozycją przedstawienia dowodów na korupcyjną działalność Komisji Weryfikacyjnej i przez kolejne tygodnie wielokrotnie odwiedzał ówczesnego marszałka Sejmu. To ten człowiek był uczestnikiem tajnej narady z Bronisławem Komorowskim, Krzysztofem Bondarykiem, Grzegorzem Reszką i Pawłem Grasiem, podczas której poczyniono ustalenia w zakresie działań dotyczących członków Komisji Weryfikacyjnej. W następstwie tych ustaleń Tobiasz został przewieziony przez Bondaryka do siedziby ABW, gdzie złożył zawiadomienie o podejrzeniu rzekomej korupcji. Choć wobec Tobiasza toczyły się postępowania prokuratorskie, a w roku 2011 został skazany prawomocnym wyrokiem na pół roku więzienia w zawieszeniu – należał do osób obdarzonych szczególnym zaufaniem organów III RP.

Nagła śmierć głównego świadka oskarżenia uniemożliwiła realizację wniosku Wojciecha Sumlińskiego o przeprowadzenie konfrontacji pomiędzy płk. Tobiaszem, płk. Aleksandrem L. oraz Bronisławem Komorowskim – w celu wyjaśnienia rozlicznych rozbieżności istniejących w zeznaniach tych osób.

To wydarzenie nakazuje spojrzeć w stronę samego Bronisława Komorowskiego. Ludzie, których darzył zaufaniem, nie służyli bowiem w armii stojącej na straży polskich granic, a ich zadanie nie polegało na obronie naszej niepodległości. Służby wojskowe PRL nie miały zaś nic wspólnego z ich odpowiednikami w armiach wolnego świata.

Z instrukcji „o działalności kontrwywiadowczej w siłach zbrojnych PRL” wynika, iż podstawowe zadanie kontrwywiadu wojskowego polegało na „ochronie wojska przed oddziaływaniem sił antysocjalistycznych i ośrodków dywersji ideologicznej” oraz „wykrywaniu w wojsku przestępstw, zwłaszcza charakteru politycznego”, zaś tzw. wywiad wojskowy miał zajmować się „zdobywaniem, opracowywaniem i przekazywaniem kierownictwu Partii i Rządu, kierownictwu Ministerstwa Obrony Narodowej i siłom zbrojnym PRL materiałów i informacji wywiadowczych o potencjalnych przeciwnikach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i państw wspólnoty socjalistycznej.”

Stawomir Cenckiewicz, który przez lata studiował archiwa LWP, nie miał najmniejszych wątpliwości pisząc, że „armia PRL stała się głównym gwarantem wpływów i kontroli sowieckiej nad Polską”, zaś na zakończenie swojej fundamentalnej pracy „Długie ramię Moskwy” doszedł do jednoznacznej konkluzji: „Przez wiele lat byłem skłonny wierzyć tym wszystkim, którzy powtarzali, że wyjąwszy politruków z Głównego Zarządu Politycznego, większość oficerów LWP była polskimi patriotami. Badania nad wywiadem wojskowym PRL [...] nakazały negatywnie zweryfikować te zapewnienia. Analizując przez lata tysiące dokumentów, materiałów operacyjnych i akt personalnych oficerów, doszedłem do przekonania, że LWP było niemal w pełni zsovietyzowane. Ta książka jest ostatecznym pożegnaniem z mitem o „patriotach w mundurach” z LWP.”

Choć głos historyka dalece odbiega od oficjalnej propagandy III RP, nakazującej postrzegać w żołnierzach LWP „ludzi honoru” i przyrównywać tradycje tej armii z dziejami polskiego oręża - warto na związku Bronisława Komorowskiego patrzeć nie tylko w perspektywie historycznej, ale też poprzez obecną postawę lokatora Belwederu i jego stosunek do kremlowskiego reżimu. Tym bardziej, jeśli mamy świadomość, że dla Komorowskiego istnieje cienka granica, między dwiema skrajnymi postawami, a granicę tę wyznacza...przypadek.

Gdy na początku lat 90. ten nauczyciel historii z Niższego Seminarium Duchownego w Niepokalanowie i przewodniczący Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim, trafił nagle do ministerstwa obrony narodowej, kierował nim jeszcze gen. Florian Siwicki, dowódca 2 armii LWP podczas interwencji w Czechosłowacji, jeden z twórców stanu wojennego. Atutem Komorowskiego miał być fakt, że umiał rozmawiać z „czerwonymi” generałami i potrafił ułożyć sobie stosunki z Siwickim. Na czym polegała umiejętność nowego wiceministra możemy wnioskować z relacji samego Komorowskiego. Wspominał on, że Siwicki zagadnął go kiedyś: „A wie pan, że ja mogłem być teraz w Londynie, ale nie zdążyłem do armii Andersa”. „Wtedy zrozumiałem – mówił Komorowski – że życiem rządu przypadek. Przecież on przez to, że nie zdążył, został komunistą, a ja przez to, że urodziłem się odpowiednio późno – zostałem antykomunistą”.

Zgodnie z tą życiową filozofią, Bronisław Komorowski nie mógł w „przypadkowych komunistach” i oficerach LWP widzieć zbrodniarzy lub zdrajców – nawet, jeśli w 2006 roku Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu postawiła Siwickiego w stan oskarżenia za zbrodnie komunistyczne.

Negatywny stosunek do lustracji i dekomunizacji w wojsku, Komorowski manifestował od początku pracy w MON. Wtedy, gdy struktury postkomunistyczne były najsłabsze, a opinia publiczna pamiętała zbrodnie stanu wojennego, on chronił aparat postsowiecki, tłumacząc np., że wywiad wojskowy nie pracował na rzecz ZSRR, a zarzuty o patologii istniejących w WSI są „efektem inspiracji służb cywilnych”.

Pytany w roku 1992: „Na czym polegają patologiczne układy w służbach specjalnych MON?- Komorowski odpowiadał: - „Nie wiem. Nie podzielałem spiskowej teorii dziejów. Przez dwa lata pracy w MON nie zetknąłem się z sytuacjami, które mogłyby potwierdzić istnienie takich układów”. Było to zaledwie kilka miesięcy po sporządzeniu poufnego raportu tzw. komisji Okrzesika, w której opisano m.in. szereg nieprawidłowości i nadużyć finansowych w dawnym Szefostwie WSW; przedstawiono działania tej służby przeciwko opozycji politycznej, przypadki niszczenia akt, a przede wszystkim, potwierdzono fakt ścisłej współpracy oficerów WSW ze służbami sowieckiego okupanta.

Natomiast w roku 2005, gdy prasa szeroko rozpisywała się na temat działań WSI, Komorowski dywagował: „nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że niezwyfikowanie WSI to jeden z grzechów pierworodnych III RP. A to, że tyle się ostatnio mówi o wszelkich patologiiach w WSI..., cóż, jestem przekonany, że są to działania z inspiracji służb cywilnych. To efekt walki między tymi dwiema instytucjami - może z zewnątrz wcale tak niewyglądającej, ale w gruncie rzeczy zdrowej rywalizacji.”

Od początku swojej pracy w MON Komorowski musiał cieszyć się niezwykłym zaufaniem oficerów wojskowej bezpieki. Krzysztof Wyszkowski w piśmie procesowym złożonym w toku postępowania przed Sądem Okręgowym w Gdańsku, złożył wniosek o powołanie na świadka Bronisława Komorowskiego - „na okoliczność współpracy Lecha Wałęsy z SB”. W uzasadnieniu wniosku Wyszkowski napisał: „Jako wiceminister ON poinformował mnie, po pierwszej turze wyborów prezydenckich w r. 1990, że otrzymał z WSI szczegółowe informacje w sprawie zawartości tzw. czarnej teczki Tymińskiego, czyli dokumentów potwierdzających współpracę Lecha Wałęsy z SB.” Nowy wiceminister obrony był zatem dla ludzi

wojskowego kontrwywiadu człowiekiem godnym zaufania, skoro dzielono się z nim tak szczególną wiedzą. Jak wiemy, słynną „czarną teczkę” Tymińskiego z materiałami obciążającymi Wałęsę, miały przygotować służby wojskowe.

Było to zaufanie wzajemne, ponieważ w tym samym czasie Komorowski awansował na szefa kontrwywiadu płk Lucjana Jaworskiego, tropiącego w latach 80. „wrogo ojczyzny” spod znaku konspiracyjnych „Wiadomości”, „Tygodnika Wojennego”, czy „Robotnika”. Składając wyjaśnienia przed Komisją Weryfikacyjną płk Jaworski stwierdził, że „minister Komorowski zgodził się, abym mógł dobierać sobie ludzi do kontrwywiadu”. To wówczas pozytywną weryfikację przeszli: płk Aleksander L. (szef Zarządu I Szefostwa WSW) i ppłk Leszek Tobiasz, przyjęci przez Komorowskiego do kontrwywiadu. Ten drugi – przyjaciel płk Jaworskiego należał w latach 80. do prześladowców opozycji niepodległościowej, a po roku 1990 zajmował się penetracją Kościoła i środowiska dziennikarskiego. Z teczki Nadzoru Szczególnego Kryptonim „Anioł”, założonej 28 lutego 2002 roku w związku z pozyskiwaniem materiałów kompromitujących abp. Juliusza Paetza wynika, że oficerem odpowiedzialnym za tę robotę był Leszek Tobiasz.

Nie jest też prawdą, jak twierdził Komorowski, że w latach 90 sam usunął płk L. ze służby. Odejście szefa Zarządu I WSW nastąpiło w efekcie ujawnienia wniosków zawartych w „Raportie podkomisji nadzwyczajnej do zbadania działalności byłej WSW”, w której zwrócono uwagę na nieprawidłowości i przestępstwa, jakie miały miejsce w WSW.

O tym, że związki z L. przetrwały próbę czasu, może świadczyć wydarzenie opisane przed laty przez Leszka Misiaka. Przypomniał on, że gdy w roku 2004 syn Komorowskiego został potrącony przez samochód jednego z najbogatszych Polaków, o fakcie tym poinformował Misiaka właśnie płk. Aleksander L., przedstawiając się jako rzecznik i znajomy Komorowskiego. Do dziś nie wiemy: jakie związki łączyły Komorowskiego z głównym aktorem afery marszałkowej, podejrzewanym przez ABW o współpracę z rosyjskim wywiadem.

Kilka lat później, gdy Komorowski pełnił już funkcję ministra obrony narodowej, podejmowane przez niego decyzje świadczyły o szczególnym zaufaniu, jakim obdarzał ludzi wojskowej bezpieki. To on był wówczas protektorem dalszej kariery gen Bolesława Izydorczyka, kursanta GRU z 1989 roku i szefa WSI z lat 1992-94. W roku 2000 związki Izydorczyka ze służbami sowieckimi i rosyjskimi były przedmiotem zainteresowania Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego WSI, w ramach sprawy o krypt. „GWIAZDA” oraz postępowania sprawdzającego, w związku z ubieganiem się przez generała o wydanie poświadczenia bezpieczeństwa. Ustalono m.in., że latem 1992 r. Izydorczyk spotkał się w Zakopanem z rezydentem służb rosyjskich w okolicznościach „które jednoznacznie wskazywały na spotkanie wywiadowcze”. W liście do ministra Komorowskiego, ówczesny szef WSI Tadeusz Rusak pisał, że „analiza całego materiału [...] skłania nas do stwierdzenia, iż gen. dyw. Izydorczyk celowo może ukrywać fakty związane z okresem pobytu w Moskwie” i odmówił wydania certyfikatu. Musiał to jednak uczynić – jak sam stwierdził – „na skutek nacisków szefa MON ministra Bronisława Komorowskiego”. Dzięki Komorowskiemu Izydorczyk uzyskał certyfikat bezpieczeństwa NATO do dokumentów oznaczonych klauzulą „ściśle tajne” i mógł wyjechać do Brukseli, gdzie objął funkcję Dyrektora Partnership Coordination Cell (PCC) w Mons. Przebywał tam do 2003 r. mając dostęp do informacji stanowiących najwyższe tajemnice NATO. W tym samym czasie media ujawniły, że związany z Grzegorzem Żemkiem i aferą FOZZ płk Zenon Klamecki, zastępca szefa Zarządu III WSI, kontaktował się z autorami filmu „Dramat w trzech aktach” (o rzekomym udziale Jarosława i Lecha Kaczyńskich w aferze FOZZ). W obronie Klameckiego stanął natychmiast minister Komorowski, tłumacząc mediom, że Klamecki jest „restrukturyzowany”.

Okres ministrowania Komorowskiego w MON to czas, gdy w polskim sejmie grupa oficerów WSI stosując techniki operacyjne podsłuchiwała rozmowy posłów z sejmowej Komisji Obrony, którzy decydowali o losach trzech ogromnych przetargów: na zakup samolotu wielozadaniowego, transportera opancerzonego i przeciwpancernego pocisku kierowanego. To także czas przestępczej działalności fundacji „Pro Civili” zarządzanej przez ludzi WSI, stordedowania reformy szkolnictwa wojskowego, przeprowadzenia kombinacji operacyjnej przeciwko wiceministrowi Szeremietiewowi, gospodarczej „aktywności” oficerów WSI w Wojskowej Akademii Technicznej, działalności prywatnej Szkoły Wyższej Warszawskiej i Fundacji Rozwoju Edukacji i Techniki, które również okazały się biznesem kierowanym przez WSI, sprzedaży gruntów Wojskowego Instytutu Medycznego firmie Euro-Medical Lilianny Wejchert czy zakupu bez przetargu samolotów CASA, pozbawionych w Polsce centrum serwisowego.. To wówczas zabrakło pieniędzy na żołd dla żołnierzy, kolejka kadry oficerskiej czekającej na mieszkanie wzrosła do 17 tys. osób., a eksport uzbrojenia spadł do 20 mln dolarów rocznie. Ostatnia decyzja Komorowskiego na stanowisku ministra MON – podjęta miesiąc po atakach terrorystycznych na Nowy Jork i Waszyngton - dotyczyła zaś drastycznego obniżenia zarobków żołnierzy jednostki GROM. Na skutek tej decyzji, w lutym 2003 r. odeszło z GROM- u czterdziestu doskonałych wyszkolonych żołnierzy, czyli połowa składu jednostki.

Za wieloma z tych zdarzeń kryją się również nazwiska znajomych i współpracowników Bronisława Komorowskiego: gen. Adama Tylusa, gen. Bogusława Smólskiego, gen. Mariana Robelka, gen. Andrzeja Amelińczyka, płk. Henryka Demiańczuka, mjr. Smolińskiego czy gen. Pawła Nowaka.

Przed pięcioma laty rząd PiS podjął historyczną decyzję o likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, a Sejm zatwierdził prawo umożliwiające weryfikację oświadczeń żołnierzy tej służby oraz sporządzenie „Raportu o działaniach żołnierzy i pracowników WSI” opublikowanego następnie w Monitorze Polskim na mocy postanowienia Prezydenta RP z dnia 16 lutego 2007 r. W Raportcie, korzystającym z wagi dokumentu urzędowego zawarto szczegółowy opis setek patologii, jakie miały miejsce w WSI, na przestrzeni 15 lat istnienia tej formacji; licznych przypadków korupcji, nadużywania władzy, przestępstw gospodarczych i skarbowych. Dokument wymienia setki nazwisk żołnierzy, polityków, dziennikarzy i innych osób publicznych oraz wskazuje na stopień ich odpowiedzialności wobec prawa.

Nazwisko Bronisława Komorowskiego pojawia się na kartach Raportu ponad 60 razy i wymieniane jest w kontekście wielorakiej odpowiedzialności tego polityka. To dostateczny powód, by Komorowski stał się najzagorzalszym krytykiem procesu likwidacji WSI i na przestrzeni ostatnich lat w niewybrednych słowach atakował jego autorów, podważając polityczne znaczenie tego aktu. Nazwisko dzisiejszego prezydenta miało się również przewijać w niepublikowanym uzupełnieniu do Raportu. Tam też miały znaleźć się informacje kompromitujące wpływowych polityków Platformy Obywatelskiej. To z kolei wydaje się dostatecznym powodem dla rozpętania afery marszałkowej i poszukiwania sposobów na zdyskredytowanie Komisji Weryfikacyjnej.

Wizerunek Bronisława Komorowskiego, nakreślony w Raportcie z Weryfikacji WSI w niczym nie przypomina obrazu „spokojnego konserwatysty” i „męża stanu” – usilnie narzucanego przez media III RP. To wizerunek człowieka, który od początków swojej politycznej kariery wspierał ludzi z aparatu komunistycznych służb, generałów po moskiewskich uczelniach, żołnierzy wojskowej bezpieki prześladowanych polskie społeczeństwo, kursantów GRU oraz ludzi oskarżanych o korupcję czy współpracę z wrogimi Polsce służbami. Jako wiceminister i szef resortu obrony, Komorowski odpowiada nie tylko za afery z udziałem ludzi WSI, za nieudolność i brak profesjonalizmu tej służby, ale także za realizację polityki kadrowej, która pozwalała

na zachowanie w strukturach Wojska Polskiego dominacji wyższych oficerów LWP, ludzi o skostniałych, prosowieckich poglądach - wywodzących się z formacji, która w okresie PRL-u kontynuowała zbrodnicze tradycje Informacji Wojskowej. Antoni Macierewicz podsumował kiedyś postawę Komorowskiego słowami: „Marszałek Komorowski przez lata chronił ludzi z WSI i powinien za to ponieść odpowiedzialność.” Dziś ochrona ludzi WSI wykracza poza obszar politycznej i personalnej protekcji i dotyczy planów przeprowadzenia „systemowych reform” służb specjalnych. Koncepcje prezydenckiego BBN-u zmierzają wprost do odtworzenia stanu sprzed 2006 roku i mają cofnąć nas w epokę układu personalnego byłych WSI. To najgroźniejsza konsekwencja obecnej pozycji Komorowskiego i jego przeświadczenia o całkowitej bezkarności. Człowiek, który doskonale znał realia sowieckiego zniewolenia, były agent GRU Wiktor Suworow, na wieść o likwidacji WSI powiedział:

„Ludzie szkoleni w Moskwie nigdy nie przestaną służyć Moskwie. Niezależne od tego, czy na Kremlu będzie zasiadał car, Putin czy gensek, oni zawsze będą niewolnikami Moskwy. Zależność ta jest zaprogramowana w mózgach wszystkich, których Moskwa wykształciła. Oficerowie, którzy byli szkoleni przez sowieckie służby, nigdy nie powinni pracować w służbach niepodległej Polski. Oni nie są niepodlegli.”

wtorek, 28 lutego 2012

## 676. BRATERSTWO WYROSŁE Z KRWI

Wczorajszy wyrok Sądu Apelacyjnego w Warszawie w sprawie Tomasza Turowskiego, może stanowić jedno z najważniejszych wydarzeń przybliżających nas do oceny okoliczności związanych z tragedią smoleńską.

Orzeczenie S.A. zdaje się potwierdzać, że postać ambasadora tytularnego w Moskwie stanowi klucz do zrozumienia procesów zapoczątkowanych na długo przed dniem 10 kwietnia 2010 roku.

Tomaszowi Turowskiemu możemy przypisać rolę inicjatora i moderatora procesu „zbliżenia” polsko-rosyjskiego. Wynika to z jego aktywności w latach 2007-2010 i bliskich związków z moskiewską Akademią Ekonomii i Prawa (MAEiP). Tuż po zwycięstwie wyborczym Platformy Obywatelskiej, z inicjatywy MAEiP powołano do życia tzw. Klub Polski w Moskwie. Inicjatywie patronował rektor MAEiP Władimir Bujanow, który od lat próbował wiązać swoją placówkę z polskimi uczelniami. Tomasz Turowski - jako ambasador tytularny w Moskwie oraz doradca szkół wyższych, prowadził w tym czasie ożywioną działalność na rzecz integracji środowisk uniwersyteckich. Jego bliskie związki z MAEiP zaowocowały podpisaniem umów o współpracy z polskimi uczelniami, m.in. z Uniwersytetem Warszawskim. W marcu 2008 roku powstał Klub Rosyjski w Warszawie, założony pod patronatem byłego ambasadora PRL w Moskwie Stanisława Cioska, prezesa Stowarzyszenia "Polska-Wschód" (wcześniejsza nazwa: Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej) Stefana Nawrota oraz „przyjaciela uczelni” Tomasza Turowskiego.

Zwieńczeniem działalności ambasadora tytularnego były wydarzenia kończące rok 2010. Podczas wizyty w Polsce prezydenta Rosji Miedwiwediewa, Warszawę odwiedziła również delegacja MAEiP. Zapowiedziano podpisanie kolejnej umowy o współpracy, (tym razem z Wyższą Szkołą Menedżerską w Warszawie) zaś 6 grudnia w Pałacu Kultury i Nauki – w obecności Turowskiego - odbyło się wspólne posiedzenie „Klubu Rosyjskiego” w Warszawie i „Klubu Polskiego” w Moskwie. Oficjalny komunikat głosił, iż „w oparciu o zasady dobrego sąsiedztwa i pojednania, podpisano porozumienie w sprawie utworzenia na ich bazie, *"Polsko-Rosyjskiego Centrum" w Warszawie i "Polsko-Rosyjskiego Centrum" w Moskwie*”.

Obecna władza w błyskawicznym tempie przeformowała specjalną ustawę o powołaniu takiego Centrum, nadając mu uprawnienia instytucji rządowej odpowiedzialnej za zadekretowanie „przyjaźni polsko-rosyjskiej”. Cele działalności Centrum są niemal identyczne z treścią zarządzeń ministrów spraw wewnętrznych PRL z 1975 i 1989 roku, w sprawie ustalenia statutu TPPR. Choć projekt ustawy wpłynął do Sejmu w dniu 3 grudnia 2010 roku, to już 25 marca 2011 została ona uchwalona. Za przyjęciem był cały klub PO i PSL, przeciwko 138 posłów PiS-u. W kwietniu 2011 ustawę podpisał Bronisław Komorowski.

Nie ulega wątpliwości, że Tomasz Turowski był jednym z najaktywniejszych architektów tego procesu, a jego działalność przerwała dopiero publikacja Cezarego Gmyza na temat agenturalnej przeszłości ambasadora.

Moskiewska MAEiP – z którą łączyły Turowskiego bardzo bliskie związki, jest – nawet jak na warunki rosyjskie – bardzo szczególną uczelnią.

Pielęgnowuje się w niej „tradycje ZSRR”, „dzieła Wojny Ojczyźnianej” i wojny afgańskiej oraz pamięć weteranów Armii Czerwonej. W ramach Akademii działają m.in. kluby patriotyczne „Pamięć” oraz klub przyjaźni rosyjsko-wietnamskiej, a częstymi gośćmi uczelni są sowieccy generałowie i delegacje KC Komunistycznej Partii Wietnamu. W gronie wykładowców uczelni znajdziemy wielu pracowników rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, weteranów GRU i KGB oraz tak egzotyczne postaci, jak minister spraw zagranicznych rządu Republiki Beninu, czy ambasador nadzwyczajny i pełnomocny Republiki Socjalistycznej Wietnamu.

Podstawowe pytanie, jakie pojawia się przy okazji aktywności Turowskiego dotyczy ustalenia pozycji, z jakiej prowadził swoją szczególną działalność. Z oświadczenia MSZ, wydanego po ujawnieniu przeszłości Turowskiego wynika bowiem, że został on przywrócony do służby dyplomatycznej 14 lutego 2010 roku, po trzyletniej przerwie i natychmiast skierowany do Moskwy na stanowisko kierownika wydziału politycznego ambasady RP. W jakim charakterze występował zatem Tomasz Turowski w latach 2008-2010, działając jako „akuszer” polsko-rosyjskiego „pojednania”? Nie był wówczas urzędnikiem polskiego MSZ ani pracownikiem ambasady w Moskwie. Warto przypomnieć, że po powrocie do Polski w roku 2005, Turowski pracował w MSZ jako radca-minister w dyspozycji Biura Kadr i Szkolenia oraz radca-minister w Departamencie Strategii i Planowania Polityki Zagranicznej. Od lutego do maja 2007 roku pełnił funkcję ambasadora tytularnego w Departamencie Strategii i Planowania Polityki Zagranicznej. Z informacji przekazanych przez ministerstwo wynika, że, trzy miesiące po tym awansie, nastąpiło *"rozwiązanie stosunku pracy w MSZ"*.

Jeśli zatem wytłumaczyć jego wspólne wizyty w MAEiP z ambasadorem Bahrem czy rolę „eksperta ministerstwa” podczas uczelnianego wykładu z kwietnia 2009 roku? Kogo wówczas reprezentował Turowski i w jakim charakterze „zacieśniał” przyjaźń polsko-rosyjską?

Myślę, że również w tym zakresie wczorajsze orzeczenie Sądu Apelacyjnego przynosi odpowiedź.

Z doniesień prasowych wynika, że SA uwzględnił apelację pełnomocników Turowskiego, którzy wnosili o uchylenie wyroku Sądu Okręgowego w Warszawie, w którym uznano ambasadora tytularnego za „kłamcę lustracyjnego” i zakazano mu na 3 lata pełnienia funkcji publicznych. Zdaniem mediów - z tajnego uzasadnienia wyroku SA ujawniono tylko dwa zdania o tym, że *"sprawa w ogóle nie powinna trafić do sądu, a postępowanie lustracyjne nie powinno się odbyć"*.

Nieco więcej informacji można wyczytać z {również tajnego} uzasadnienia Sądu Okręgowego z 10.10.2011 r., w którym napisano: „Nie można wykluczyć, że zaszła sytuacja nielojalności państwa wobec swojego funkcjonariusza, który został postawiony w sytuacji bez wyjścia”.

W świetle powyższych stwierdzeń, uwolnienie Tomasza Turowskiego od zarzutu „kłamstwa lustracyjnego” może wskazywać, że ten był oficer Departamentu I SB MSW i wieloletni watykański „nielegal”, nadal jest funkcjonariuszem lub współpracownikiem w czynnej służbie i pracuje dla Agencji Wywiadu III RP. Gdyby tak było, Turowski winien złożyć do zbioru zastrzeżonego IPN tajną „Deklarację o pracy lub służbie w organach bezpieczeństwa państwa”, do której dostęp ma wyłącznie „osoba wyznaczona” przez szefa służby. Jeśli Turowski nie złożył takiej deklaracji lub nie trafiła ona do zbioru zastrzeżonego, IPN, działając na podstawie pozyskanych materiałów - miał prawo zakwestionować jego oświadczenie lustracyjne i wystąpić z wnioskiem do sądu. Jeśli deklaracja znajdowała się w zbiorze zastrzeżonym, a IPN o tym nie wiedział - doszło do dekonspiracji czynnego funkcjonariusza Agencji Wywiadu.

Przypomnę, że taką tezę postawiła przed kilkoma miesiącami „Gazeta Wyborcza”, sugerując, że Turowski był funkcjonariuszem lub współpracownikiem AW, a jego praca w MSZ (od 1993r) stanowiła „przykrycie” dla działalności wywiadowczej. Dowodem miał być również fakt, że Rosjanie już raz - w 1998 r. - podejrzewali Turowskiego o działalność agenturalną, a jego nazwisko znalazło się na liście 19 polskich dyplomatów „biorących udział w działalności wywiadowczej na terenie krajów WNP”.

Nietrudno zrozumieć, że wczorajsze orzeczenie Sądu Apelacyjnego może potwierdzać, że ambasador tytularny działał w III RP jako czynny oficer lub współpracownik Agencji Wywiadu.

Gdyby tak było, należałoby całkowicie zweryfikować ocenę aktywności Turowskiego w latach 2007-2010 oraz w zupełnie innym świetle spojrzeć na jego rolę w przygotowaniu wizyty Lecha Kaczyńskiego w Katyniu. Ponieważ trudno przypuszczać, by służby sowieckie, a później rosyjskie, nie znały pełnego dossier agenta „Orsoma” – jego nagłe skierowanie na moskiewską placówkę należałoby raczej oceniać, jako nawiązanie szczególnej formy współpracy między służbami III RP, a służbami Federacji Rosyjskiej. Wówczas pojawia się pytanie o rolę Agencji Wywiadu, a generalnie, tajnych służb III RP w całym, wielomiesięcznym procesie „zacieśniania” przyjaźni polsko-rosyjskiej oraz w przygotowaniach zmierzających do tragicznego lotu. Odpowiedź na pytanie: jaką misję wypełniał w tym okresie Tomasz Turowski - może przynieść zasadnicze rozstrzygnięcie również w kwestii odpowiedzialności za śmierć Prezydenta i polskiej elity.

Teza, iż ambasador Turowski był czynnym oficerem polskich służb musi prowadzić do wniosków, przy których błędą dotychczasowe ustalenia w sprawie tragedii smoleńskiej, zaś refleksja wynikająca z tej informacji otwiera nas na rzeczywistość, którą tylko niewielu z nas potrafiłoby podźwignąć...

Linki:

<http://www.rp.pl/artukul/580731.html>

[http://www.radiopomost.com/index.php?option=com\\_content&view=article&id=1580:turowski-szpieg-w-smolesku-przedtem-w-watykanie-i-paryu&catid=38:polska&Itemid=58](http://www.radiopomost.com/index.php?option=com_content&view=article&id=1580:turowski-szpieg-w-smolesku-przedtem-w-watykanie-i-paryu&catid=38:polska&Itemid=58)

<http://cogito.salon24.pl/283511,tomasz-turowski-architekt-przyjazni-z-moskwa>

<http://cogito.salon24.pl/268779,dyplomaci-z-departamentu-i-sb>

<http://cogito.salon24.pl/302631,przyjazn-z-mocy-ustawy>

<http://cogito.salon24.pl/319970,centrum-kata-i-ofiary>

<http://www.naszdziennik.pl/index.php?dat=20110601&typ=po&id=po22.txt>

<http://www.naszdziennik.pl/index.php?dat=20110603&typ=po&id=po05.txt>

<http://www.tvn24.pl/12691,1736332,...turowski-oczyszczony-do-msz-nie-wroci,wiadomosc.html>

Tomasz Turowski podczas wywiadu, jakiego udzielił w dniu 12 kwietnia 2010 roku rosyjskiemu radiu FINAM FM. Powiedział: „I Rosja, i Polska należą [...] do tej samej ogromnej judeo-chrześcijańskiej tradycji, a wielkie rzeczy w tej tradycji zawsze rodziły się we krwi. I jestem pewien, że z tej krwi wyrośnie to, na co my wszyscy czekamy - nowe, dobre stosunki pomiędzy Polską i Rosją”.

**MARZEC 2012.**

piątek, 2 marca 2012

**677. RECENZJE ROLEXA - CZYLI O SWOBODZIE KOMBINOWANIA**

Lektura tekstu Rolexa, w którym Autor przedstawia nam własną wizję zespołu parlamentarnego ds. zbadania przyczyn katastrofy smoleńskiej – musi prowadzić do smutnych refleksji. Nieczęsto bowiem zdarza mi się przeczytać tekst, w którym niewątpliwa inteligencja twórcy została użyta dla propagowania ocen tak dalekich od rzeczywistości. Słowo „użyta” nie oznacza oczywiście, że mamy do czynienia z treścią inspirowaną bądź pisaną „na zamówienie”. Chodzi raczej – by posłużyć się odwołaniem do literatury – o casus dobrego i „zaangażowanego” poety Broniewskiego, którego późne wiersze przypominają megalomanię agitki PKWN-u z wyborynym sonetem.

Smutkiem może też napelnić obserwacja, iż Autor rozprawiając ze swadą o najgłębszych przyczynach powołania zespołu nie zechciał zajrzeć do oficjalnych dokumentów tego gremium. Jak choćby do regulaminu, w którym szczegółowo wyjaśniono zadania stojące przed grupą posłów opozycji, a wśród nich „nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów z instytucjami odpowiedzialnymi za prowadzenie postępowań wyjaśniających” czy „przedstawienie opinii publicznej wyników prac zespołu”. Jasno też przedstawia się cel działania zespołu. Jest nim „koordynowanie działań obu izb parlamentu w ramach kompetencji określonych ustawą o wykonywaniu mandatu posła i senatora, zmierzających do uzyskania wyjaśnień przyczyn i okoliczności katastrofy Tu-154M w dniu 10 kwietnia 2010 roku, wspieranie wszelkich działań zmierzających do upamiętnienia ofiar i pomocy ich rodzinom, inicjowanie zmian prawnych zapobiegających podobnym tragediom”.

W miejsce analizy tych celów, bloger Rolex proponuje nam wykładnię daleką od nudnego brzmienia cytowanych dokumentów. Dowiemy się zatem, że „Zespół Parlamentarny stał się tą częścią reprezentacji, która z wypowiedzeniem sojuszu Ameryce się

nie zgadza, i który jest jedynym partnerem reprezentującym obóz atlantycki, niepodległościowy i pro-amerykański w Polsce, dodatkowo chcącym rozmawiać o interesie Polski z Ameryką” - co niekoniecznie musi być błędne, za to umieszcza zadania zespołu w takim obszarze, że tylko śmiała refleksja geopolityczna może nas uratować od poczucia beznadziei. Autor nie unika konsekwencji i podaje nam odważną diagnozę: „Rola Zespołu Parlamentarnego ds Wyjaśnienia Przyczyn katastrofy w zakresie wyjaśniania przyczyn jest pochodną tych wszystkich celów zarysowanych powyżej. Przyczyny katastrofy smoleńskiej można wyjaśnić jutro, jeśli taka będzie wola polityczna tych, którzy te przyczyny znają, i to jest możliwe, ale tylko wtedy, gdy w Polsce zmieni się ustrój polityczny, a PRL, przebity osinowym kołkiem, odejdzie w niebyt.”

Rozprawivszy się zatem z mirażami celów doczesnych i wskazawszy realne rokowania zespołu, Rolex tłumaczy nam cierpliwie, że ze względu na swój status bycia częścią parlamentarną reprezentacji, a więc częścią legalnego systemu władzy, zespół „nie mógł zrobić niczego innego, jak zająć się badaniem tych właśnie (urzędowe dokumenty, opinie i analizy wytworzone i wparte autorytetem suwerennych państw) dowodów”.

Dowiemy się wówczas, że „falsyfikacja raportu Millera, ze względu na zawarte w nim oczywiste przekłamania, przeinaczenia i błędy jest łatwa”, a jeśli trwa tak długo, to dlatego, że „wymaga przeprowadzenia żmudnych i długotrwałych obliczeń zakończonych pewnym wynikiem”. Wprawdzie uzasadnienie to wydaje się przeczyć tezie o „łatwości” – uwierzmy jednak, że „raport Millera zostanie zdruzgotany jako przykład ordynarnego oszustwa, copy-paste wzornika prosto z Moskwy”.

Nasza radość – po dotarciu do tej prawdy - będzie jednak przedwczesna. Kilka zdań dalej, Rolex próbuje nam przypomnieć, że w ostatecznym rozrachunku, praca zespołu i tak nie będzie miała większego znaczenia. Przyczyna wydaje się prosta: „Końce w wodę. Żadna legalna instytucja państwowa Federacji Rosyjskiej nie podpisała się pod tym śmiesznym buble” – zatem ustalenia zespołu w niczym nie zaskodzą „neutralnej” pozycji reżimu Putina, zaś Antoni Macierewicz już dziś zdaje się przypominać nieszczęsnego Don Kichota kierującego ostrze krytyki w stronę nieaktualnych zagrożeń.

Dowiemy się także, że przecież ludzie rozsądni dawno rozstali się kłamstwami raportu Millera i „na tym etapie prawda jest taka, że dla większości (tej zainteresowanej w ogóle sprawą) opinii publicznej raport Millera jest martwy, do tego obciachowy, i passe (a to wbrew pozorom ważne).

Pociesza nas jednak Rolex, że „obok falsyfikacji raportu Millera Zespół dokonuje również wysłuchań, które są potem nagłaśniane medialnie” lecz gdy ze słabnącą nadzieją próbujemy uchwycić się tego wątku i dostrzec sens takich poczynań, wstrzymuje nas odważna konstatacja, że treści tych wysłuchań zespół i tak nie może nagłośnić „bo prokuratura z miejsca wszczęłaby śledztwo”. A skoro tak rzeczy się mają, wniosek wydaje się oczywisty i Rolex nie uchyla się od jego sformułowania:

„Zespół nie zna przebiegu postępowania prokuratorskiego, o ile prokuratura nie uzna za stosowne coś publicznie ogłosić. [...] Nie zna również treści złożonych w prokuraturze zeznań”.

Logiczna konstrukcja takiego wywodu, musi prowadzić do równie racjonalnych wniosków. Otrzymujemy je w szczególnej formie ostrzeżenia - ze strony człowieka, który z troską pochyla się nad naszą ułomnością i chce nas przestrzec przed knowaniami złych ludzi. Trafnie zatem dostrzega Rolex, że przed ogłoszeniem końcowego raportu prac zespołu, „możemy spodziewać się „narracji” osłabiających jego wydźwięk”.

Wyjaśniam nam również, że narracja ta będzie ukierunkowana dwutorowo: po pierwsze na „pobudzenie emocji kanalizujących krytykę tego raportu tak, żeby wychodziła ona nie od brzoza-pancernych, ale od swoich”, po wtóre: „na napompowaniu oczekiwań, sugerowaniu, że prace Zespołu przebiegają w ścisłym porozumieniu i przy przepływie informacji z prokuratur (tak nie jest), w związku z tym raport przyniesie ostateczne, niepodważalne i oparte na badaniach dowodów materialnych ustalenia”.

Wprawdzie już wcześniejsze demaskacje realnych możliwości zespołu winny nas pozbawić złudzeń i zapobiec „pompowaniu oczekiwań” – to przecież z wdzięcznością przyjmujemy ostrzeżenie, że nadmierne nadzieje związane z publikacją raportu, a w szczególności oczekiwanie, że przyniesie on „ostateczne ustalenia”, mogą pochodzić wyłącznie od złego ducha i wrogów Antoniego Macierewicza, a zatem powinny wzbudzić naszą najwyższą czujność. Nim bezrozumny czytelnik dorwie się do raportu zespołu smoleńskiego i pograży w jego niepewnych odmętach, bloger Rolex udziela nam drogocennej rady: „Trzeba odczekać, a potem zabrać się za spokojne analizowanie jego zawartości, pamiętając o ograniczeniach jakim podlega.”

Na poparcie tych ostrzeżeń podsuwa nam argument oparty na wybitnej wiedzy psychologicznej oraz znajomości działań agenty i mechanizmów dezinformacji: „Ci, którzy dzisiaj Was przekonują o przetomowym dla całego śledztwa znaczeniu raportu, o zawartych w nim niepodważalnych tezach, już za dwa miesiące będą łać łyż krokodyle, że tak mało udało się osiągnąć. Nie dajcie się na to nabrać. Największym osiągnięciem raportu będzie dalszy krok w stronę lub ostateczne zdezawuowanie bubla Millera. Tylko tyle i AŻ TYLE.”

Gdy zatem wdzięczny czytelnik dotrze do tej wyśmienitej konkluzji, musi trwożliwie zapytać: co dalej, jak i gdzie szukać prawdy o Smoleńsku? Wie już przecież, że tak naprawdę „zdezawuowanie bubla Millera” to rzecz niewielkiej wagi, bo ani nie zaskodzi interesom Rosji ani nie przekona „większości zainteresowanej sprawą”. Wartość „aż tyle” ujawni się zaś dopiero, gdy pojawi się sprzyjająca sytuacja międzynarodowa, „zmieni się ustrój polityczny, a PRL, przebity osinowym kołkiem, odejdzie w niebyt”.

Trzeba przyznać, że poczciwy bloger Rolex nie pozostawia nas w rozpacz i nie skazuje na niepewny rezultat prac zespołu smoleńskiego. To niewątpliwie największa zasługa tych pracowitych recenzji. Z poprzedniego panegiriku pamiętamy przecież o istnieniu dzieła, które „traktuje o tragedii smoleńskiej i zajmuje się krytyczną analizą źródeł: zeznań świadków zdarzenia (wypowiadających się poza reżimem kpk bądź jego rosyjskim odpowiednikiem), analizą dostępnych publicznie materiałów audio i wideo, informacji medialnych, uporządkowaniem tych relacji i umieszczeniem ich na osi czasu, oraz próbą rekonstrukcji faktycznego przebiegu wypadków 10 kwietnia 2010 roku”. Wiemy także, że dzieło to „spełnia wszelkie wymogi pracy naukowej” i „stanowi faktycznie fachową, krytyczną analizę źródeł”.

Jakże znaczący kontrast rysuje się w wyobraźni czytelnika i jakim szczęściem musi napępniać go podpowiedź Rolexa! Z jednej strony, ma przecież świadomość, że zespół parlamentarny podlega ograniczeniom politycznymi, zajmuje się zaledwie „martwym” raportem Millera, zaś jego końcowy raport będzie zbiorem okrojonych i ocenianych przez prokuraturę hipotez - z drugiej zaś - otwiera się przed nim perspektywa obcowania z niezwykłym dziełem naukowym, opartym na „analizie źródeł” i (o czym też Rolex zapewnia) akademickiej rzetelności. Co więcej - po jeden stronie, czytelnik dostrzega grupę postów uwikłanych w polityczne projekty i zależności – na drugiej zaś – widzi bezinteresownych, apolitycznych blogerów, którzy pod kierunkiem wybitnego umysłu podążają czystą drogą poznania.

Głupcem byłby ten, kto stojąc w obliczu takiej alternatywy nie dostrzegł szansy i nie dokonał mądrego wyboru. .

Nietrudno zrozumieć, że Autor tych „obywatelskich recenzji” nie mógł czekać do czasu opublikowania raportu z prac zespołu. Wówczas byłyby one mocno spóźnione, a nieświadomi odbiorcy raportu zostaliby narażeni na błędną interpretację i nieprawomyślne konkluzje.

Wracając z „czerwonego księżycza” do naszej przasnej rzeczywistości, pora zauważyć, że ostatnie dni przyniosły nam sporo blogerskich publikacji związanych z istnieniem rzekomego konfliktu między zwolennikami teorii „maskirowki”, a zespołem parlamentarnym PiS.. Rzekomego, ponieważ taki problem nie ma prawa w ogóle zaistnieć, zaś wszelkie porównywanie i zestawianie prac zespołu z jakąkolwiek formą „śledztw blogerskich” jest kompletnym idiotyzmem – dowodzący co najwyżej niezrozumienia procesu dochodzenia do prawdy lub dylematów ludzi o wyrosniętych ponad miarę ambicjach.

Lektura dzieła FYM-a, czytanie uczonych recenzji czy miłych wywiadów – mogą być ciekawym zajęciem na długie (jeszcze) wieczory, zaś udział w blogerskich pyskówkach zawsze będzie alternatywą dla poważnych dyskusji. Warto jednak pamiętać, że nadchodzi czas wiosny, dni stają się coraz dłuższe, a w perspektywie najbliższych miesięcy czeka nas publikacja dokumentu opartego na rzetelnej wiedzy i doświadczeniu.

Myszę, że straciliśmy dość czasu na zajmowanie się fantastyką i analizą czyichś aspiracji. Poświęcanie go więcej, byłoby niebezpieczne i prowadziło do odwrócenia uwagi od rzeczy prawdziwie istotnych. Ujemnym i najbardziej szkodliwym skutkiem domniemanego konfliktu są bowiem głębokie podziały wśród użytkowników blogosfery oraz wywołany nimi stan chaosu, oddalający nas od wspólnego celu. Nie można go przedłużać.

Na tym etapie sprawy, temat jest dla mnie zakończony, a nawet ośmielam się prosić, by taką decyzję przemyśleli wszyscy, którzy myślą podobnie.

Panu Rolexowi i wtórującym jego „recenzjom” zwolennikom teorii „maskirowki” proponuję natomiast przyjęcie rozsądnej, bo zgodnej z ich poglądami postawy. Pozwólcie Państwo, by zespół parlamentarny działał jak dotychczas: badał oficjalne dokumenty, sporządzał analizy i żmudne obliczenia, angażował ekspertów i przesłuchiwał świadków – jednym słowem, by nadal kompromitował się „dezawuowaniem buba Millera” i „pompowaniem” oczekiwań gawiedzi. Pozwólcie również, by pozostał politycznym bytem in spe – o którego znaczeniu zadecydują dopiero przyszłe i niepewne zdarzenia, a głównie polityka „amerykańskiego sojusznika”.

Przyjęcie takiej postawy pozwoli Państwu nie tylko na zachowanie spokoju ducha i koncentracji, ale uczyni zbędnym dramatyczny apel Rolexa: „*a nam pozwólcie szukać, myśleć i kombinować dalej.*” Kombinujcie zatem - jeśli nawet w zakresie tego ostatniego zamysłu napotkacie na moją kontrę.

Linki do tekstów:

<http://hekatonchejres.salon24.pl/395324,walking-on-the-moon>

<http://hekatonchejres.salon24.pl/395879,zespol-dwa-lata-po-katastrofie>

piątek, 9 marca 2012

## 678. AZERSKI ŚLAD - O TAJNEJ WIZYCIE BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO

Gdyby priorytety polskiej polityki zagranicznej oceniać na podstawie kontaktów utrzymywanych przez Bronisława Komorowskiego, należałoby uznać, że jednym z najważniejszych partnerów III RP jest Republika Azerbejdżanu. Powinno jedynie dziwić, że opinia publiczna nie została poinformowana o niedawnej wizycie Komorowskiego w tym kraju.

*„Szanowny Władimirze Władimirowiczu*

*Proszę przyjąć moje szczerze gratulacje z okazji wyboru na prezydenta Federacji Rosyjskiej.*

*Twoje zwycięstwo w wyborach świadczy o wysokim zaufaniu Rosjan do Ciebie i Twojego programu stabilności politycznej i społecznej, zapewnienia wzrostu gospodarczego, rozwoju instytucji demokratycznych, wzmocnienia legalności i porządku publicznego, ochrony duchowych i moralnych norm w życiu społecznym kraju. Dzisiaj przyjaźń i dobre relacje oparte na sąsiedztwie i wielowiekowych dobrych tradycjach między naszymi krajami rozwijają się wszechstronnie i dynamicznie.”*

Ten fragment depechy gratulacyjnej prezydenta Azerbejdżanu İlhama Alijewa z 5 marca br. dobrze oddaje obecny stan stosunków tej byłej republiki sowieckiej z jej wielkim sąsiadem. Pozwala również dostrzec, że Alijewa i Komorowskiego łączy reakcja na „zwycięstwo” Putina i farsę rosyjskich wyborów.

Komunikat służb prasowych prezydenta Azerbejdżanu dotyczący rozmowy telefonicznej Alijewa z Putinem z dnia 5 marca zawierał informację, iż „*strony wyraziły zadowolenie z pomyślnego rozwoju stosunków między Republiką Azerbejdżanu a Federacją Rosyjską w różnych dziedzinach i wyraziły nadzieję, że te związki będą się nadal wzmacniać.*”

Komorowski rozmawiał telefonicznie z Putinem dwa dni później, a z oficjalnego komunikatu dowiemy się, że „*Prezydent podkreślił, że Polska i Rosja w ostatnich latach potrafiły nawiązać dialog, który służy rozwiązywaniu spraw trudnych i budowaniu współpracy dwustronnej. Prezydent wyraził przekonanie, że współpraca i dialog będą trwałym elementem w tworzeniu partnerskich relacji Federacji Rosyjskiej z Unią Europejską.*”

Warto przypomnieć, że media rosyjskie szczególnie mocno nagłaśniały wypowiedź przewodniczącego Centralnej Komisji Wyborczej Azerbejdżanu – obserwatora rosyjskich wyborów prezydenckich, który zapewniał, że były one uczciwe i demokratyczne, a „*rosyjska Centralna Komisja Wyborcza zrobiła wszystko, aby zapewnić przejrzystość głosowania tak, aby ludzie mogli swobodnie wyrażać swoją wolę.*” Azerbejdżan – który w 2008 roku zorganizował wybory prezydenckie uznane przez opinie światową za niezgodne z międzynarodowymi standardami - jest pionierem w zakresie rozwiązań służących inwigilacji osób odwiedzających lokale wyborcze. Chodzi o instalowanie w nich kamer internetowych. Ta „*nowoczesna metoda demokracji*” została po raz pierwszy zastosowana w tegorocznych wyborach w Rosji.

Bronisław Komorowski przebywał z oficjalną wizytą w Azerbejdżanie w dniach 25-26 lipca 2011 roku, podczas podróży po krajach Kaukazu Południowego. Już wówczas trudno było odgadnąć cel tej dwudniowej wizyty. Wiemy, że podpisano umowę o współpracy w dziedzinie weterynarii oraz zrezygnowano z wiz w przypadku gdy któryś z obywateli Azerbejdżanu lub Polski

posiada paszport dyplomatyczny. Z wypowiedzi Komorowskiego, iż „projekt ropociągu Odessa-Brody-Gdańsk jest nadal aktualny, a Polska podtrzymuje swoje daleko idące zainteresowanie budową systemów przesyłowych, które by pomagały w rozwiązaniu problemów energetycznych Polski, ale przede wszystkim byłyby ważnymi rozwiązaniami dla całej UE” - można przypuszczać, że chodziło głównie o rozmowy dotyczące współpracy energetycznej.

Kalendarz dalszych kontaktów może wskazywać, że satrapa Azerbejdżanu jest obecnie jednym z najważniejszych partnerów Komorowskiego, zaś III RP łączy szczególnie bliskie związki z tym państwem.

We wrześniu Alijew został zaproszony na szczyt Partnerstwa Wschodniego w Warszawie, gdzie spotkał się z Komorowskim. Do kolejnego spotkania prezydentów doszło podczas forum ekonomicznego w Davos, na początku stycznia 2012 roku. Z wypowiedzi Olgierda Dziekońskiego, ministra w Kancelarii Prezydenta wiemy, że zadeklarowano wówczas, iż Polska i Azerbejdżan chcą zaangażować się w przedłużenie rurociągu Odessa-Brody. Dziekoński stwierdził również, że „prócz deklaracji politycznych, w tej kwestii ważny jest rachunek ekonomiczny. Jeżeli nie będzie firm, które zechcą tę ropę kupić i koncernów zainteresowanych dostarczaniem surowca, to ten projekt zostanie piękną ideą polityczną. My chcemy, by piękne idee przekształcały się w rzeczywistość”

9 lutego br. szef BBN Stanisław Koziej gościł u siebie ambasadora Republiki Azerbejdżanu w RP Hasana Hasanowa, a spotkanie zostało poświęcone „określeniu obszarów współpracy dwustronnej BBN z instytucjami partnerskimi w Azerbejdżanie” oraz „ożywieniu dialogu Warszawy i Baku w sferze bezpieczeństwa”.

O kolejnym spotkaniu Komorowskiego z Alijewem nie dowiemy się z oficjalnych komunikatów prasowych. Nie informują o nim żadne media III RP.

Doszło do niego 6 marca br., gdy Komorowski udawał się z wizytą do Afganistanu. Podczas międzylądowania w Baku spotkał się z Alijewem, zaś krótki komunikat służb prasowych prezydenta Azerbejdżanu głosi, że „obie strony wyraziły zadowolenie z pomyślnego rozwoju stosunków dwustronnych w różnych dziedzinach, w tym politycznej, gospodarczej, energetycznej itp. oraz nadzieję, że związki te nadal będą się rozwijać.”

Informacji o spotkaniu próżno natomiast szukać na stronie internetowej Bronisława Komorowskiego. Podobnie, jak w przypadku wcześniejszych międzylądowań lokatora Belwederu: w Jekaterynburgu i Irkucku (podczas lotu do Chin) czy w Armenii (w trakcie powrotu z Afganistanu w roku 2010), gdy polska opinia publiczna nie była informowana o spotkaniach Komorowskiego z ludźmi płk Putina.

Jedyna wzmianka o lądowaniu w Baku pochodzi z tygodnika BBN (nr 75, 1-7 marca 2012 r) i ogranicza się do lakonicznego stwierdzenia: „6 marca 2012 r. prezydent RP Bronisław Komorowski udał się z wizytą do Afganistanu. Podczas międzylądowania w Azerbejdżanie Bronisław Komorowski spotkał się z prezydentem İlhamem Alijewem, z którym omówił m.in. współpracę obydwu krajów, w tym perspektywy współdziałania w dziedzinie energetyki.”

Trudno przypuszczać, by Komorowski i Alijew spotkali się po raz kolejny tylko po to, by „wyrazić zadowolenie” lub „omówić perspektywy współpracy”. Jeśli w istocie chodzi o „współdziałania w dziedzinie energetyki”, jej zakres może dotyczyć planów azerskiego koncernu Socar - choć niekoniecznie związanych z interesami energetycznymi państwa polskiego.

Nasilenie kontaktów Komorowskiego i Alijewa zdaje się mieć przyczyny głębsze niż wynika to z brzmienia dyplomatycznych formułek. Wprawdzie za wcześniej dziś na budowanie twardych hipotez, myślę jednak, że wyjazd do Afganistanu mógł stanowić zaledwie pretekst do dużo ważniejszego spotkania w Baku. Wymowa spotkania mogła być tym większa, że odbyło się ono dwa dni po wyborach prezydenckich w Rosji, a obaj prezydenci należą do żarliwych zwolenników zbliżenia z reżimem Putina.

Trudno natomiast wskazać racjonalny powód nagłej wizyty Komorowskiego w polskim kontyngencie. Po spotkaniu z żołnierzami, Komorowski poinformował: „Cel tej wizyty jest oczywisty. Zbliża się szczyt NATO w Chicago. Chcemy tam potwierdzić wolę wykonania strategii zakończenia misji w Afganistanie. Trzeba także zapoznać się z opinią Afgańczyków i dowódców operacji NATO”. Warto jednak pamiętać, że natowski szczyt ma odbyć się dopiero pod koniec maja br., zaś sami Afgańczycy nie wykazywali szczególnego zainteresowania wizytą polskiego gościa. Media afgańskie nie poświęciły jej większej uwagi, zaś relacji ze spotkania Komorowskiego z prezydentem Hamidem Karzajem nie sposób w ogóle dostrzec wśród doniesień służb prasowych afgańskiego prezydenta.

W demokracji III RP istnieją niewielkie szanse, by którykolwiek pracownik mediów miał odwagę zapytać Komorowskiego o spotkanie z Alijewem lub dociekać przyczyn zatajenia niedawnej wizyty w Azerbejdżanie. Tym bardziej, jeśli sprawa dotyczy naszej przyszłości i bezpieczeństwa. Wydaje się więc, że jesteśmy zdani na własne domysły i szczątkowe informacje. Być może najbliższe miesiące przyniosą odpowiedź na niektóre z pytań.

Warto na koniec przypomnieć kilka prawd o azerskim reżimie i jego przywódcy. Są to rzeczy tym ważniejsze, że mogą zawierać podpowiedź w kwestii kontaktów Komorowskiego z Alijewem.

Elmar Chakhtakhtinski - przewodniczący Azerbajdżani-Americans for Democracy (AZAD), amerykańskiej organizacji, która jest rzecznikiem wsparcia USA dla demokracji w Azerbejdżanie, tak napisał przed rokiem o swoim kraju:

*„Jest to państwo, w którym prorządowe bojówki są wysyłane wraz z policją do rozpędzania wieców opozycyjnych, blogerzy są ofiarami brutalnych ataków ubranych po cywilnemu "sportowców" a potem wrzucani do więzienia, dziennikarze są zabijani lub trzymani za kratkami wbrew decyzji Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, a zachodnim stacjom radiowym odmawia się lokalnych częstotliwości. [...]Reżim ten uważa stosunki ze Stanami Zjednoczonymi i innymi potężnymi demokracjami jako jedynie taktykę dla ochrony swoich własnych, bardzo partykularnych interesów. Nie ma ani woli ani chęci do reform, gdyż uważa wprowadzenie nawet podstawowych swobód politycznych za zagrożenie dla swojej władzy. Dlatego też chętnie zbacza ku Rosji kiedy ma nieporozumienia ze swoimi zachodnimi partnerami. [...]Wszystkie duże gałęzie przemysłu są monopolami ściśle kontrolowanymi przez krąg rządzących oligarchów, nie pozostawiając żadnego realnego miejsca dla innych przedsiębiorstw. Spadek cen ropy naftowej albo jakaś inna zapaść finansowa mogłyby łatwo doprowadzić do krwawych zamieszek z nieprzewidywalnymi konsekwencjami. [...]*

*Zamiast daremnych, krótkowzrocznych wysiłków zmierzających do zadowolenia rządzącej Azerbejdżanem dynastii zachodnia polityka powinna koncentrować się na wspieraniu tych sił wewnątrz Azerbejdżanu, które promują wspólne wartości demokracji i swobód jednostki.”*

niedziela, 11 marca 2012

**679. CZAS NIEODWRACALNEJ RADOŚCI**

Nie ma w Europie większego demokracjotwórcy niż Władimir Władimirowicz Putin. Zrozumie to każdy, kto poznał wyborcze deklaracje pułkownika KGB i ma wiedzę o dokonaniach jego poprzedników: od Iwana Groźnego i carycy Katarzyny, po Józefa Wisarionowicza. Z tej perspektywy, wizja 12 – letnich rządów Putina, oznacza dla Rosjan i „bliskiej zagranicy” świetlaną przyszłość.

*„W Rosji mają działać instytucje bezpośredniej demokracji i kontroli społecznej. Udział obywateli w zarządzaniu krajem będzie się rozszerzać. Miejscowe referenda, masowe badania opinii publicznej, w tym także za pomocą Internetu, powinny stać się sposobem na zapewnienie ciągłej łączności między władzą a społeczeństwem”* – zapowiedział Putin na spotkaniu z członkami Ogólnorosyjskiego Frontu Narodowego. Zgodnie z tą deklaracją, Rosja odmówiła podpisania deklaracji OBWE o wolności słowa w internecie, wprowadziła monitoring sieci społecznościowych i blokady portali, zaś FSB nagrywa i rozpowszechnia rozmowy telefoniczne polityków opozycji.

Znany też opinię kremlowskiego demokracjotwórcy na temat norm współżycia z innymi narodami. Zechciał ją wyrazić w artykule „Rosja w zmieniającym się świecie”, opublikowanym w „Moskowskije Nowosti”. Zdaniem Putina: *„Jednym z najważniejszych postulatów są niepodważalne gwarancje bezpieczeństwa dla wszystkich państw, niedopuszczalność użycia siły oraz bezwarunkowy szacunek dla podstawowych zasad prawa międzynarodowego. Ignorowanie ich prowadzi do destabilizacji stosunków międzynarodowych.”*

Nie ulega wątpliwości, że człowiek, na którego rozkaz zgładzono 250 tysięcy Czeczenów, w tym ponad 45 tysięcy dzieci, odpowiedzialny za mordy etniczne, bandycki atak na Gruzję oraz aneksję Abchazji i Osetii – doskonale rozumie, na czym polega „szacunek dla zasad prawa międzynarodowego”.

Gdy władca Rosji zapewnia, że *„w sposób uczciwy i otwarty broniliśmy swoich interesów, uczestniczyliśmy w budowie bardziej sprawiedliwego systemu politycznego oraz gospodarczego w ładzie światowym”* i deklaruje: *„będziemy to robić również w przyszłości, by wszyscy partnerzy zagraniczni zdali sobie sprawę, że Rosja jest krajem demokratycznym, a także niezawodnym i przewidywalnym partnerem”* – my - doświadczeni Katyniem i Smoleńskiem, możemy jedynie własną historią potwierdzić siłę rosyjskiej demokracji.

*„Będziemy niszczyć powiązania między sądami i służbami ochrony porządku publicznego oraz wykluczać możliwości samowoli służb ochrony porządku publicznego. W tym celu z ustawodawstwa karnego, z tak zwanych artykułów ekonomicznych, zostaną wyeliminowane wszystkie haczyki, które pozwalają przekształcić spór gospodarczy w sprawę karną jednego z uczestników”* – obiecał niedawno Putin. 13 lat łagru dla Chodorkowskiego, zamordowanie Markielowa i Baburowej czy zabójstwo w więziennej celi Siergieja Magnickiego dowodzi, że znany demokracjotwórca nie rzuca słów na wiatr.

Ledwie Putin oświadczył, że wie, iż opozycja planuje fałszerstwa wyborcze i wezwał konkurentów, by *„nie wychodzić poza ramy przestrzeni prawnej”* oraz nie stosowali środków *„nie do zaakceptowania przez społeczeństwo demokratyczne”* - brytyjski „Sky News” poinformował że *„tysiącom urzędników rosyjskich obiecano nagrody pieniężne w zamian za sfalszowanie głosów na korzyść Putina”*. Nie umilkły echa wypowiedzi o wzroście zagrożenia terrorystycznego i planowanym zamachu na atrapę, a rosyjscy opozycjoniści zaczęli się już zastawiać, kiedy szef rządu wykorzysta „atmosferę terroru” i zacznie likwidować swoich przeciwników. Gdy na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi, władca Kremla uznał, że *„nasilenie nastrojów opozycyjnych i akcje protestacyjne są zdrową oznaką rosyjskiej demokracji”* – dwa dni później spalowano tysiące manifestantów na Placu Puszkina, a ponad 100 z nich trafiło za kratki.

Nie przypadkiem - ta zdumiewająca zgodność słów i czynów przypomina nam taktykę działania grupy rządzącej. I nie tylko poprzez wspólnotę haseł: „polityki miłości”, „zgoda buduje” czy „Putin kocha wszystkich”. Nawet nie powodu pogrzebania w smoleńskim lesie *„kości niezgody w relacjach Warszawy i Moskwy”*, fascynacji „strategią kułaka” czy tworzeniem instytucji rządowych dla zdekretowania *„pojednania polsko-rosyjskiego”*.

*„Rób co innego, niż mówisz”* - jest bowiem podstawowym przykazaniem dla ludzi wyzbytych zasad, dla władzy wspartej na kłamstwie, dla mniejszych i większych zamordystów. Zgodnie z nią, retorykę „miłości” wspiera się kampanią nienawiści, zapowiedź „standardów” toruje drogę aferzystom, zaś postulat „zaufania” prowadzi do kontroli społeczeństwa i samowoli esbeckiej kamaryli.

W logice działań podjętych przez grupę rządzącą po 2007 roku bez trudu można znaleźć źródła rosyjskich inspiracji – nawet - jeśli wymóg zachowania fasadowej demokracji wymuszała nieznaczna modyfikacja metod. Nie powinno zatem dziwić, że reżim najwięksijszego demokracjotwórcy - odpowiedzialny za ludobójstwo, mord polityczne, akty cenzury i prześladowania opozycji, bazujący na oligarchii i mafijnym sterowaniu gospodarką - dostrzega właśnie w „partii liberałów” stosownego partnera i na ludziach z tego środowiska opiera swoją dominację w „priwisłinskim kraju”. Sformułowaną w starożytności zasadę prawa przyrody, zgodnie z którą podobne dąży do podobnego, należy stosować również w polityce, o czym wielu obserwatorów życia publicznego zdaje się zapominać.

Już dojście Platformy do władzy zostało powitane na Kremlu ze zrozumiałą radością. Rządowe „Izwestia” donosiły z tryumfem o porażce braci Kaczyńskich tytułując artykuł: *„Blizniec-krig nie udalsja”*, co miało stanowić przeróbkę wojskowego terminu „blitz-krig” w neologizm „blizniec-krig” -czyli *„wojnę prowadzoną przez bliźniaków”*. Po pobycie Tuska w Moskwie w roku 2008, ptk Putin zapewniał, że *„problemy z Polską dadzą się rozwiązać dzięki Tuskiowi”*, zaś wizyta na Westerplatte została skomentowana przez agencję Interfax słowami: *„Miejmy nadzieję, że w Polsce wejdzie w życie nowe pokolenie, które nie ma uprzedzeń. Ono zrozumie, że Polska musi szukać przyjaciół nie tylko w Ameryce, ale także w Rosji”*.

Kremlowski festiwal poparcia dla PO mogliśmy obserwować w trakcie wyborów prezydenckich w 2010 roku. Rosyjskie media rządowe orzekły wówczas, że *„Komorowski nie musi nawet robić kampanii. I wygra.”*, zaś „Izwestia” zachwalała: *„liberal Komorowski ma image elastycznego i pragmatycznego polityka”*.

*„Z Polską, gdzie prezydentem jest pan Komorowski, a rządem kieruje pan Donald Tusk, będzie się nam udawać, jak sądzę, znajdować punkty styczne i porozumienie znacznie bardziej konsekwentnie i konstruktywnie niż działo się to dotychczas w warunkach stałego współzawodnictwa prezydenta i rządu”* – podsumował wygraną polityka PO szef komisji spraw zagranicznych Dumy Konstantin Kosaczow, zaś organ Gazpromu „Izwestija” mógł już tryumfalnie ogłosić: *„Wybranie na prezydenta pragmatyka Komorowskiego ustawiło wszystko na swoje miejsca. Ideologicznie emocjonalna przesada epoki Kaczyńskiego dobiegła końca.”*

Nie mam wątpliwości, że perspektywa długiej dekady rządów Putina musi radować warszawskich epigonów i skłaniać ich do jeszcze gorliwszego praktykowania zasad demokracji. Dał temu wyraz lokator Belwederu, gdy przed miesiącem ogłosił, że *„Polska liczy na ponowną intensyfikację dialogu z Rosją po wiosennych wyborach prezydenckich w tym kraju.”* Zdaniem Komorowskiego *„Polska uruchomiła swój własny reset w stosunkach z Rosją, ale jego dynamika dzisiaj nie odpowiada naszym oczekiwaniom”*. Należy zatem przypuszczać, że dopiero prezydentura Putina przyspieszy proces „pojednania” polsko – rosyjskiego i ukoi integracyjne dążenia członków „partii rosyjskiej”. Ludzie ci znajdują dziś silnego i naturalnego sojusznika w

putinowskiej Rosji i choć wizja rządów kremłowskiego satrapy wzbudza coraz wyraźniejszy opór wśród społeczności światowych - takich głosów nie usłyszymy ze strony zakładników kłamstwa smoleńskiego.

Powrót Putina pozwoli natomiast na wzmocnienie środowiska Bronisława Komorowskiego i sprawi, że Pałac Prezydencki znacznie pełni rolę głównego ośrodka władzy.

Miesiąc po tragedii smoleńskiej w organie putinowskiej „Naszej Rosji” napisano: *„Moskwa powinna teraz maksymalnie wykorzystać czas, który ma do dyspozycji, by sprawić, aby korzystne zmiany w stosunkach z Warszawą stały się nieodwracalne”*.

Recydywa rządów Putina czyni tę groźbę całkowicie realną.

piątek, 16 marca 2012

## 680. ROSYJSKIE NARRACJE WIKILEAKS

Nie ma wątpliwości, że Rosjanie z uwagą śledzą postępy prac parlamentarnego zespołu PiS ds. zbadania przyczyn tragedii smoleńskiej. To ich media nadają główny ton narracji polskojęzycznych przekąźników oraz udzielają podpowiedzi rzecznikom kłamstwa smoleńskiego. Już opublikowana przez zespół Biała Księga, w której zawarto 19 wniosków dotyczących kwestii związanych z przygotowaniem do obchodów uroczystości katyńskich oraz organizacją i przebiegiem lotu do Smoleńska – wywołała gwałtowne reakcje rosyjskich ośrodków propagandy.

Gdy Władimir Mamontow redaktor organu Gazpromu, „Izwestii” określił publikację Białej Księgi jako *„taniec na grobach”* i uznał, że jest to *„najczystszej wody brudna polityka”* – dopiero wówczas komentatorzy polskojęzycznych mediów oraz ludzie z grupy rządzącej wyrazili swoje opinie. Ponieważ rosyjskie „czynniki oficjalne” odmówiły komentowania dowodów zawartych w Księdze, identycznie postąpili „polscy przyjaciele” uchylając się od rzeczowych komentarzy, a poprzestając na knajackich złośliwościach i twierdzeniach o *„fobiach i frustracjach Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza”*.

Już wówczas rozpoczęto kampanię „propagandowej prewencji”, której celem miało stać się zdyskredytowanie też końcowego raportu zespołu smoleńskiego oraz atakowanie Antoniego Macierewicza i osób współpracujących z zespołem smoleńskim. Jako wzorcowym argument tej kampanii można wskazać opinię anonimowego autora ze stowarzyszenia SOWA, zrzeszającego byłych oficerów WSI, który tuż po publikacji Białej Księgi napisał:

*„Mamy kolejny Raport Macierewicza”, tym razem na temat katastrofy smoleńskiej. Wierny harcownik Kaczyńskiego ponownie wkroczył do akcji i przy pomocy sprawdzonych, skutecznych metod sączy do głów Polaków to, co stanowi istotę bytu politycznego PIS-u, jad nienawiści zakamuflowany miłością do ojczyzny. [...] Szokuje wszystkich prawdą objawioną, prezentując mieszankę faktów i mitów i wyciągając z tej papki niewiarygodne wnioski, zawsze jednak służące konkretnemu celowi. Tym razem ma udowodnić, że katastrofa była zamachem i do tego z dużym prawdopodobieństwem udziału ekipy rządzącej.”*

Nietrudno dostrzec, że motywy zawarte w tej opinii zostały następnie utrwalone w wielu wypowiedziach i publikacjach, a po poddaniu pewnym modyfikacjom znalazły miejsce w narracji niektórych osób zaangażowanych w tzw. śledztwa blogerskie bądź forsowanie tezy o „maskirowce”.

Działania w ramach „propagandowej prewencji” wymagają jednak znacznie szerszego zasięgu i dotarcia z rosyjskim przekazem do światowej opinii publicznej. Tam bowiem, w najbliższym czasie może rozgrywać się walka z kłamstwem smoleńskim.

Perspektywa zorganizowania przez zespół parlamentarny konferencji w Brukseli oraz zapowiedź udziału ekspertów zespołu w międzynarodowej konferencji "Earth and Space 2012" w Pasadenie, gdzie jeden dzień ma zostać poświęcony sprawie katastrofy smoleńskiej, nie mogły ująć uwadze służb płk Putina. Z programu konferencji wiadomo, że w dniu 17 kwietnia przewidziano specjalną sesję plenarną, podczas której głównym mówcą będzie prof. Wiesław Binienda – wykładowca Uniwersytetu w Akron, ekspert zespołu parlamentarnego. Antoni Macierewicz w wywiadzie z grudnia 2011 roku wyraźnie sygnalizował, że ludzie współpracujący z zespołem stali się obiektem zainteresowania i nacisków służb rosyjskich. Padły tam słowa: *„Oni (tego) doświadczyli i jeszcze raz powtarzam, nie są to naciski medialne, a sprawa jest naprawdę poważna. Zobaczymy jak dalek to się potoczy, będzie musiało to pociągnąć za sobą kontratak, co jest oczywiste. Mogę jeszcze dodać, że służby rosyjskie są wyraźnie poruszone tą konferencją i reagują.”*

Należało się zatem spodziewać, że tuż przed konferencją w Pasadenie zostaną podjęte wielowątkowe działania dezinformacyjne służące m.in. utrwaleniu rosyjskiej wersji wydarzeń.

Jako wręcz klasyczny przykład takich działań, należałoby wskazać publikację portalu WikiLeaks, na którym ujawniono służbowe e-maile pracowników Stratforu, prywatnej organizacji wywiadowczej. Wśród ujawnionych dokumentów znalazła się wiadomość z 22 kwietnia 2010 r., w której wiceprezydent Statforu Fred Burton cytuje opinie Siergieja Tretiakowa - byłego agenta KGB, a potem Służby Wywiadu Zagranicznego, który w 2000 roku podjął współpracę z Amerykanami.

Z treści e-maila wyraźnie wynika, że zdaniem byłego agenta KGB: *„intencją Rosjan nie było zabicie Kaczyńskiego”, a „zmuszenie go do lądowania w Mińsku”,* po to, by udaremnić polskiej delegacji udział w uroczystościach katyńskich. Rosjanie mieli *„celowo odmawiać prawa do lądowania wiedząc, że polski prezydent będzie chciał zmusić pilota”*. Plan się nie powiódł, bo *„zamiast tego piloci próbowali lądować i rozbili samolot”*.

W przypadku tak zbudowanej wiadomości mamy do czynienia z powtórzeniem wszystkich, podstawowych tez rosyjskiej wersji zdarzeń: o naciskach wywieranych na pilotów, o winie prezydenta, o podejściu do lądowania zakończonym katastrofą. Bez problemów dostrzeżemy, że akcję medialną przeprowadzono według podstawowych zasad dezinformacji.

Rolę wykonawcy powierzono portalowi założonemu przez putinowskiego pupila Juliana Assange’a, który po kilkuletnim procesie „legendowania” i uzyskaniu wśród społeczności międzynarodowej opinii „bojownika o prawdę i wolność”, mógł już bezpiecznie osiąść w państwowej telewizji Russia Today – najbardziej antyzachodniej tubie propagandowej Kremla. Wieloletnia misja Assange’a, polegająca głównie na osłabianiu i dezintegracji systemów informatycznych USA i państw NATO, została nagrodzona rolą prokremłowskiego komentatora, przypominającą - nie przypadkiem - zadanie agenta wpływu. Ujawniona przez brytyjski tygodnik „New Statesman” informacja, iż bliski współpracownik Assange’a, Israel Shamir zawoził na Białoruś kopie jeszcze niepublikowanych depesz Departamentu Stanu na temat Białorusi, na podstawie których reżim Łukaszenki oskarżał następnie działaczy opozycji, że są finansowani przez USA – doskonale oddaje prawdziwy charakter misji Assange’a i rolę, jaką ten człowiek i jego portal wykonują w ramach rosyjskiej strategii.

Należy przypuszczać, że nawet taka wiadomość pozostanie bez wpływu na zaufanie, jakim wśród ogłupionych społeczności Zachodu cieszy się WikiLeaks. Opublikowanie w tym miejscu i w tym momencie rzekomych „rewelacji” Siergieja Trietiakowa, których w żaden sposób nie można obecnie zweryfikować - mogło być zatem doskonałym posunięciem rosyjskich decydentów.

Temat został natychmiast podchwyczony przez sprawdzone przekąźniki i poddany dalszym próbom uwiarygodnienia. W tym celu należało zbudować narrację, jakoby opinie Trietiakowa na temat okoliczności tragedii były niezwykle cenne i okryte głęboką tajemnicą, za której ujawnienie został on zgładzony przez służby rosyjskie. To już wyższy stopień dezinformacji, mającej na celu wzmocnienie przekazu zawartego w korespondencji Statforu i przekonanie odbiorców, że mają do czynienia z wiadomością szczególnej wagi.

Dla stworzenia takiej legendy wykorzystano znany z lewackich poglądów włoski tygodnik L'Espresso - zaś rolę wykonawcy powierzono przyjaciółce Assange'a, autorce książki-panegiriku na jego cześć - dziennikarce Stefanii Maurizi. Jej artykuł z 8 marca br. zatytułowany „Polska masakra. Cień Putina” zawiera przede wszystkim powtórzenie głównych tez rosyjskiego kłamstwa o naciskach i winie pilotów. Następnie autorka sugeruje, że nagła śmierć Siergieja Trietiakowa może mieć związek z tragedią smoleńską i wiedzą, jaką ten funkcjonariusz KGB i SVR posiadał na temat działań służb płk Putina w dniu 10 kwietnia.

Przekaz płynący z takich publikacji ma sprawić, że ich odbiorca będzie przekonany, iż w relacji Trietiakowa otrzymuje informację tak tajną i prawdziwą, że jej autor stracił życie w powodu swojej szczególnej wiedzy. Bo skoro służby rosyjskie posunęły się do „likwidacji” Trietiakowa – czy można wątpić w prawdziwość jego słów, iż „*intencją Rosjan nie było zabicie Kaczyńskiego a „piloci próbowali lądować i rozbili samolot”*”

Kreatorzy tej kampanii słusznie założyli, że wezmą w niej czynny udział polscy blogerzy oraz dziennikarze, występując w użytecznej roli rezonatorów.

Piętrowa konstrukcja dezinformacji, dobór wykonawców i przekąźników, pozwala dopatrywać się w tych „rewelacjach” celowej akcji służb rosyjskich mającej za cel wzmocnienie kłamstwa smoleńskiego oraz wyprzedzenie negatywnych następstw międzynarodowych konferencji z udziałem ekspertów zespołu parlamentarnego. Przekaz zawarty w publikacjach WikiLeaks ma utwierdzić opinię publiczną, że 10 kwietnia doszło do przypadkowej katastrofy, gdy wbrew intencjom Rosjan polscy piloci naciskani przez polskiego prezydenta podjęli nieudaną próbę lądowania.

Można się spodziewać, że w najbliższym czasie będziemy świadkami kilku innych operacji medialnych podjętych w ramach „propagandowej prewencji

wtorek, 20 marca 2012

## 681. CZY TRZEBA BYŁO MOCNIEJSZYCH SŁÓW?

W tym samym czasie, gdy władze Federacji Rosyjskiej niszczyły dowody zbrodni smoleńskiej i obarczyły winą pilotów i polskiego prezydenta, gdy reżim Putina w odpowiedzi na skargę rodzin katyńskich skierowaną do Trybunału w Strasburgu stwierdził, że „*nie ma dowodu na to, iż Polaków zamordowano. [...]nie udało się potwierdzić okoliczności schwytania polskich oficerów, charakteru postawionych im zarzutów i tego, czy je udowodniono*” - prymas Polski w homilii wygłoszonej w archikatedrze warszawskiej podczas żałobnej Mszy św. 17 kwietnia 2010 roku głosił:

*„Dramat, który rozegrał się na rosyjskiej ziemi – jak nigdy dotąd – połączył Polaków i Rosjan. Zbrodnia na polskich oficerach, dokonana w 1940 roku przez stalinowskich oprawców, przemilczana i systemowo zakłamywana, dzieliła Polaków i Rosjan przez dziesiątki lat. [...] Przyjmujemy z wdzięcznością wszystkie oznaki szczerego współczucia i międzyludzkiej solidarności. Odczytujemy je jako znak nadziei po latach rozdzielania, i szansę na zbliżenie i pojednanie naszych narodów, dla dobra Polski, Rosji, Europy i świata. [...] Obecnie, w tych tragicznych dniach doświadczamy, że przelana przed 70 laty krew potrafi łączyć zarówno polityków, jak i zwykłych szarych ludzi..”*

Pięć dni wcześniej, agent komunistycznych służb, ambasador tytularny w Moskwie, Tomasz Turowski udzielając wywiadu rosyjskiemu radiu FINAM FM. oznajmił: „*I Rosja, i Polska należą [...] do tej samej ogromnej judeo-chrześcijańskiej tradycji, a wielkie rzeczy w tej tradycji zawsze rodziły się we krwi. I jestem pewien, że z tej krwi wyrosnie to, na co my wszyscy czekamy - nowe, dobre stosunki pomiędzy Polską i Rosją*”.

Głębia tej ekumenicznej myśli staje się przerażająco jasna, gdy dostrzeżemy, że dwanaście dni po tragedii podobne słowa powtórzył sekretarz Konferencji Episkopatu Polski. bp Stanisław Budzik: „*Mam nadzieję, że wspólne przeżywanie katastrofy, jaka wydarzyła się pod Smoleńskiem będzie nowym otwarciem, kamieniem milowym na drodze porozumienia i pojednania polsko-rosyjskiego*”. Bp. Budzik przypomniał również, że hierarchowie polskiego Kościoła „*zinterpretowali tragiczne wydarzenia pod Smoleńskiem jako okazję do pogłębienia dialogu polsko-rosyjskiego*” oraz powołał się na słowa abp Michalika, który w homilii wygłoszonej na Placu Piłsudskiego uznał, że „*życzliwość i wrażliwość rosyjskiego ludu znalazły od zawsze, ale w Smoleńsku we wzruszający sposób współbrzmiała z nią serdeczność i pomoc najwyższych przywódców Rosji, oni tam pierwsi pospieszili z pomocą. Dziękujemy także za wielką życzliwość i pomoc, o której słyszymy, rodzinom zmarłych okazywaną w Moskwie.*”

Trzeba przypomnieć, że był to czas, gdy Rosjanie – wbrew wcześniejszym ustaleniom - otwarcie zawłaszczali miejsce kaźni polskich oficerów w Katyniu, budując na terenie Zespołu Memorialnego Cerkiew Zmartwychwstania Chrystusa. Bez przeprowadzenia ekshumacji, na ziemi, w której spoczywają szczątki ofiar sowieckiego ludobójstwa postawiono prócz cerkwi dzwonnicy, klasy do zajęć z młodzieżą, plebanii oraz budynek administracyjny. Inicjatorem budowy był zwierzchnik Cerkwi, patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl, a kompleks sfinansował koncern Rosnieft, zarządzany wtedy przez oficera KGB Igora Sieczina. Fundament cerkwi został poświęcony 7 kwietnia 2010 w obecności polskiego premiera i bp. Tadeusza Pikusa.

W tym czasie trwały już, prowadzone od wielu miesięcy, rozmowy Episkopatu z rosyjską Cerkwią „*na temat pojednania polsko-rosyjskiego*”, zaś podczas wizyty metropolity Hilariona w czerwcu 2010 dyskutowano o projekcie wspólnego dokumentu w tej sprawie.

Gdy w grudniu 2010 roku Warszawę odwiedził Dimitrij Miedwiediew, biskup Pikus, członek Zespołu Konferencji Episkopatu Polski do rozmów z Rosyjskim Kościołem Prawosławnym uznał, że „*ta wizyta może wpłynąć na zbliżenie narodów, na rozwój wymiany gospodarczej i kulturalnej oraz ożywienie wszelkiego rodzaju relacji między obu społecznościami*”.

Idea „pojednania” znalazła zresztą wymiar bardzo konkretny, bo kilka miesięcy później rządowa instytucja służąca zadekretowaniu „przyjaźni” polsko-rosyjskiej - Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia – otrzymała wygodną

siedzibę w warszawskim biurowcu Centrum Jasna. Właścicielem tego luksusowego budynku jest Centrum Jasna sp. z o.o. - założona przez Archidiecezję Warszawską. We władzach spółki zasiadają ksiądz prałat Marian Raciński, ekonom Archidiecezji Warszawskiej oraz salezjanin ks. Kazimierz Olędzki.

W pamiętnym sierpniu 2010 roku, gdy na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie ludzie broniący krzyża byli bici i atakowani przez sferę degeneratów, a znak chrześcijaństwa stał się przedmiotem drwin barbarzyńskiej zgrai, usłyszeliśmy wypowiedź rzecznika Episkopatu Polski ks. Józefa Klocha:

*„To nie jest spór religijny, tylko polityczny. To nie księża powinni prowadzić dialog z obrońcami krzyża. Mamy krzyż jako zakładnika, który jest niemyym świadkiem tego, co się przed nim dzieje. Jeśli spojrzymy na znajdujące się tam kartki, to nie ma tam wątków religijnych, jest Katyń, jest tło polityczne. Nie traktujemy Kościoła, jako strażaka tylko dlatego, że ktoś się bawił zapalkami i powstał pożar. To spór polityczny”.*

Zaledwie miesiąc wcześniej, biskupi wystosowali niespotykane w historii polskiego Kościoła homagium, gratulując wyboru na urząd Prezydenta RP człowiekowi, który nienawiścią i fałszem uitorował sobie drogę do najwyższej godności w państwie.

*„Niech dobry Bóg daje Panu Prezydentowi potrzebne siły i konieczne łaski dla owocnego wypełnienia tego szaczonego zadania. Polecamy Bogu osobę Pana Prezydenta, Jego Rodzinę i wszystkich współpracowników, życząc obfitości Bożych darów na lata szczególnej odpowiedzialności za Ojczyznę i wszystkich jej obywateli.”* – napisano w liście Konferencji Episkopatu Polski z 5 lipca 2010 roku.

Całkowicie inny przekaz Episkopat skierował wówczas do wiernych na Krakowskim Przedmieściu. W oświadczeniu Prezydium Konferencji Episkopatu Polski i Arcybiskupa Metropolity Warszawskiego z 12.08.2010 można przeczytać:

*„W wyniku nieprzemyślanych wypowiedzi i politycznie motywowanych działań, miejsce zadumy i jedności Polaków stało się terenem gorszących manifestacji, wywołujących niepokój w całym kraju i zdumienie międzynarodowej opinii publicznej. [...] Apelujemy do polityków, aby krzyż przestał być traktowany jako narzędzie w sporze politycznym. Krzyż nie może być „zakładnikiem” w słusznej sprawie upamiętnienia miejsca modlitwy Polaków oraz wszystkich ofiar smoleńskiej katastrofy. [...] Modląc się pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu zwracamy uwagę, że w zaistniałej sytuacji stają się, mimo swej najlepszej woli, politycznym punktem przetargowym stron konfliktu.”*

Podobną ocenę przedstawił Donald Tusk w wypowiedzi z 18 sierpnia, uznając, że *„ten osobliwy Hyde Park nie jest dla miasta szczególnie groźny. [...]nie widzę powodu, żeby stwierdzić, że dzieją się tam rzeczy straszliwe. Owszem, dla niektórych osobliwe, ale emocje dotyczą głównie polityków, którzy chcą za pomocą krzyża prowadzić politykę.”*

Kiedy w październiku 2010 roku, Jarosław Kaczyński przypomniał, że po objęciu najwyższego urzędu w państwie, Komorowski rozpętał antykościelną kampanię, której elementem była m.in. sprawa krzyża przed Pałacem Prezydenckim, jedyną reakcją hierarchów na te słowa była wypowiedź metropolity lubelskiego, który uznał opinię prezesa PiS za „niesprawiedliwą” i „niedopuszczalną” i pouczył, że *„Ewangelia nie pozwala by oceniać wiarę swojego brata. Kościół takich klasyfikacji nie prowadzi, bo pozorni wrogowie okazywali się apostołami, a nieraz największą szkodę wyrządzili ci, którzy podawali się za obrońców”.*

*„Kościół nie potrzebuje takich obrońców”* - oznajmił też metropolita, dodając, że *„żadnego obywatela nie wolno oceniać w sposób, jaki to uczynił Kaczyński”.*

Dowiedzieliśmy się wówczas, że współpraca rządu i Kościoła układa się znakomicie, zaś obecnej sytuacji Kościoła w Polsce nie wolno porównywać do metod władzy z czasów księdza Jerzego Popiełuszki: *„ Nie wolno stawiać bolesnych zjawisk dzisiejszego dnia na tym samym poziomie. Bo w obecnych realiach nie ma walki między Kościołem a rządem. Są różnice stanowisk, jak przy pewnych trudnych kwestiach etycznych związanych np. z in vitro, ale jest współpraca, zatroskanie, jest szczerść, jest wzajemna autonomia, co jawi się jako warunek konieczny istnienia każdego społeczeństwa opartego na zasadach demokracji”.*

W okresie poprzedzającym pierwszą rocznicę tragedii smoleńskiej, Polacy otrzymali ze strony prymasa Józefa Kowalczyka przypomnienie, że *„Rocznica katastrofy smoleńskiej powinna być przeżywana poprzez uczciwą, szczerą modlitwę. Nie zgadzam się na żadne upolitycznienie tego wydarzenia”.* „W Polsce – pouczył abp. Kowalczyk - szacunek dla zmarłych był ogromny. Na śmierci brata, siostry czy ojca nie możemy zbijać pseudokapitału politycznego, bo to jest pogarda dla zmarłych, dla wartości ich życia i dla ich pracy, którą wnieśli dla naszego wspólnego dobra”.

W dokumencie Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski wydanym przed pierwszą rocznicą tragedii mogliśmy natomiast przeczytać:

*„[...] cmentarz nie może stać się naszą świątynią, ani naszym domem. Nie pomożemy zmarłym zatrzymując się w nieskończoność przy grobie. Nie odnajdziemy tam naszych bliskich, ponieważ oni przeszli już do wieczności i odtąd miejscem spotkania z nimi jest wiara i ufna modlitwa, a także podjęcie ideałów ich życia. [...] Zamiast więc rozpaczać nad tym, że nie da się cofnąć czasu, ani unieważnić dokonanego zła i jego skutków, trzeba raczej z całą żarliwością zwrócić się ku Bożemu miłosierdziu. Wtedy to cześć dla naszych zmarłych nie będzie tylko i wyłącznie powierzchownym kultem w postaci pomników, tablic, lampek i kwiatów oraz też żalu.”*

Zastanawiam się dziś – jak bardzo pomylił się arcybiskup lubelski mówiąc, iż *„Kościół nie potrzebuje takich obrońców”* i jak dalece mylili się polscy hierarchowie pokładając zaufanie w intencjach obecnej władzy, a nawet współdziałając z nią w dziele ukrycia prawdy o tragedii smoleńskiej i sfalszowania naszych relacji z reżimem ludobójcy. Nie ma i nie będzie innych obrońców Kościoła prócz *„fanatycznej sekty broniącej krzyża”* i ludzi *„zadymionych PiS-em”.*

Można byłoby zapytać: co wydarzyło się obecnie, że tak widoczna linia porozumienia rządu i hierarchów została mocno zachwiana, że biskupi mówią otwarcie o „wojnie z Kościołem” i nie krytykują polityka, który utożsamia atak na Kościół z atakiem na Polskę?

Jakie wartości i normy chrześcijańskie zostały podeptane, że prymas Polski przypomina publicznie: *„Jak Kościół był potrzebny, to się pchali, wchodzili do zakrytych, prosili o pomoc”* i nie przestrzega nas byśmy nie stali się *„punktem przetargowym stron konfliktu”?*

Skoro do niedawna istniała w relacjach z władzą *„wzajemna autonomia”* i opierały się one *„na zasadach demokracji”* – czym wyjaśnić słowa abp. Głódzia o *„zmasowanym ataku na Kościół, który tchnie PRL, jakimś szukaniem wroga ludu”?*

Przez ostatnie dwa lata czekałem na mocny głos hierarchów w sprawie tragedii smoleńskiej. Tak mocny, by obudził sumienia Polaków i strząsał skorupę zaprzaństwa i strachu. Potrzebowaliśmy takiego głosu, nie dla populistycznych „racji politycznych”, ale z powodu naszej samotności. Z szacunku dla życia i prawdy. By przetrwać. Po to także, by tajemnica zagłady polskiej elity nie dołączyła do upiornego depozytu zbrodni, w którym III RP skrywa już prawdę o śmierci księdza Jerzego i zabójstwach niepokornych kapłanów.

Zamiast mocnego głosu, przez dwa lata słyszeliśmy nieczysty falset o „kamieniu milowym na drodze pojednania polsko-rosyjskiego”, o „sporze politycznym wokół krzyża” i szkodach „wyrządzanych przez tych którzy podawali się za obrońców Kościoła”. Poznaliśmy „nowy Dekalog” i etykę chrześcijańską - sprowadzone do roli użytecznego narzędzia.

Ta niepojęta słabość hierarchów, zaniechania w piętnowaniu łgarstw i pazerności władzy, przyzwolenie na tryumf pogardy i nienawiści – musiały doprowadzić do uderzenia w Kościół.

Nie można pobłażać bestii i być zdziwionym, że zaatakowała.

Przypomniałem kiedyś fragment kazania księdza Józefa Wójcika podczas uroczystości pogrzebowych śp. Przemysława Gosiewskiego, gdy ten, prześladowany przez komunę kapłan zacytował słowa Jana Pawła II, wypowiedziane w Kielcach 3 czerwca 1991. Mocne, bodaj najmocniejsze słowa, jakie usłyszeliśmy z ust naszego Papieża:

*„Może dlatego mówię tak, jak mówię, ponieważ to jest moja matka, ta Ziemia! To jest moja matka, ta Ojczyzna! To są moi bracia i siostry! I zrozumcie, wy wszyscy, którzy lekkomyślnie podchodzicie do tych spraw, zrozumcie, że te sprawy nie mogą mnie nie obchodzić, nie mogą mnie nie boleć! Was też powinny boleć! Łatwo jest zniszczyć, trudniej odbudować. Zbyt długo niszczone! Trzeba intensywnie odbudowywać! Nie można dalej lekkomyślnie niszczyć!”*

Po przypomnieniu słów Jana Pawła II, ksiądz Wójcik powiedział:

*„Te słowa musiały tu paść, bo niestety nie przejęliśmy się wtedy tymi słowami Ojca Świętego, nie bolało nas to, że niektóre rzeczy w Polsce, że Polska idzie w złym kierunku. Nie bolało nas to, że pana Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, pana profesora Lecha Kaczyńskiego tak znieważano i obrażano, tak ukrywano tę prawdę o jego wielkości, jego wartości, jak ukrywano prawdę o Katyniu. Nie bolało nas to, że Polsce podcina się korzenie tożsamości, nie bolało nas to, że podcina się Polsce korzenie na których stała od tysiąca lat. Wierna krzyżowi.*

*I widocznie słabe były te słowa naszego ukochanego Ojca Świętego. Trzeba było jeszcze mocniejszych słów. I one przyszły. One przyszły spod Smoleńska, kiedy naród zawołał „O Boże, co się stało”. A stało się i wtedy żeśmy zabołeli, wtedy ból doszedł aż do kości szpiku i zrozumieliśmy, że te ofiary przemawiają, te ofiary potrzęsają nasze sumienia, te ofiary pokazują nam prawdę o nas, prawdę o Polsce!”.*

piątek, 23 marca 2012

## 682. CZAS SŁUŻBY PROPAGANDOWEJ

Historia sporu sądowego grupy International Trading and Investments Holding S.A. Luxemburg (ITI) z Antonim Macierewiczem sięga 2007 roku, gdy do warszawskiego sądu rejonowego wpłynął akt oskarżenia przeciwko ówczesnemu szefowi Służby Kontrwywiadu Wojskowego. W wydanym wówczas komunikacie ITI napisano: "Media to sektor zaufania publicznego, gdzie niezależność, wiarygodność i wolność wypowiedzi są podstawą naszej działalności, a rozpowszechniane bez skrupułów oskarżenia pomówienia właśnie w te zasady godzą". W tym samym czasie z prywatnymi pozwami wystąpili także założyciele grupy - Jan Wejchert i Mariusz Walter.

Reakcję koncernu medialnego wywołał wywiad Antoniego Macierewicza udzielony „Rzeczpospolitej” w lutym 2007, w którym padły m.in. słowa: "Raport ujawnia nowe fakty i zeznania, które opisują mechanizm powstawania koncernu medialnego ITI, pokazują, jak był w to zaangażowany Zarząd II Sztabu Generalnego, czyli wywiad komunistyczny". Szef SKW powoływał się przy tym na fragment zeznań Grzegorza Żemka złożonych pod przysięgą przed Sądem Okręgowym w Warszawie, sygn. akt VIIIK37/98 podczas procesu FOZZ, w których można przeczytać: „Ja dostałem od służb specjalnych wojskowych zadanie po konsultacjach z Pospieszyskim aby znaleźć za granicą firmę, która mogłaby pełnić rolę „konia trojańskiego”, to znaczy która mogłaby służyć do wprowadzenia agentów na obszar na Zachodzie, w dziedzinie mediów. Był to rok 1987. Jediną firmą zagraniczną w dziedzinie mediów, którą znałem była firma należąca do Jana Wejherta, ulokowana w Irlandii [...] Firma ta nazywała się Cantal, a później zmieniono jej nazwę na I.T.I. Ta firma finansowała się z kredytów banku handlowego International w Luksemburgu. Zapytałem służb wojskowych czy mogę podjąć kontakt z Wejhertem. Otrzymałem wówczas informację, że on już współpracuje ze służbami wojskowymi, więc będzie to proste.”

Protokół zeznań Żemka został zamieszczony w Raporcie z Weryfikacji WSI, jako aneks nr.9. W Raporcie możemy przeczytać, że wywiad wojskowy PRL " podejmował też wysiłki powołania firmy telewizyjnej. Pierwotnie zamierzonym celem tych działań miało być ułatwienie plasowania agentury na zachodzie. Tak tłumaczył swoje działanie Grzegorz Żemek, który na zlecenie wywiadu miał podjąć w tej sprawie rozmowy z firmą ITI i reprezentującymi ją Janem Wejchertem i Mariuszem Walterem.”

Liczne procesy sądowe wytoczone przez grupę ITI i jej założycieli, kończyły się wygraną Antoniego Macierewicza. W uzasadnieniu wyroku z czerwca 2010 roku Sąd Rejonowy dla Warszawy - Woli IV Wydział Karny w procesie z oskarżenia prywatnego stwierdził, iż Macierewicz udzielając wywiadu prasowego pozostawał w dalszym ciągu osobą sprawującą funkcje publiczną - Przewodniczącą Komisji Weryfikacyjnej : „Bez względu na sposób i miejsce prezentacji opinii publicznej dokumentu urzędowego, jakim pozostawał Raport, w dalszym ciągu pozostaje on dokumentem wydanym na podstawie obowiązującego prawa zaś osoba przedstawiająca ten dokument nie może być sprawcą przestępstwa z art. 212 kk w ramach prezentowanej treści o ile nie wykracza w swej wypowiedzi poza ramy prezentowanego aktu.” – podkreślił sąd. Z kolei Sąd Okręgowy w Warszawie, XXV Wydział Cywilny w sprawie z powództwa Mariusza Waltera w roku 2008 uznał: „Sąd stoi na stanowisku, że Raport jest dokumentem szczególnej rangi. Sporządzony przez ustawowo do tego powołany organ jakim jest Przewodniczący Komisji Weryfikacyjnej i przez niego podpisany.[...] Nie można więc mówić o bezprawnym naruszeniu dóbr osobistych skoro pozwany wykonywał prawo. Sporządzenie i publikacja Raportu była działaniem na podstawie ustawy a więc wyłączającym bezprawność”.

Całkowicie odmienną stanowisko zaprezentował natomiast rząd Donalda Tuska, zwiernając już w maju 2008 roku sądową ugodę z Janem Wejchertem i Mariuszem Walterem w sprawie o ochronę dóbr osobistych. W przeprosinach opublikowanych w prasie oraz w Dzienniku Urzędowym MON napisano, iż „Minister Obrony Narodowej [...] przeprasza Pana Jana Wejcherta, Mariusza Waltera i Grupę ITI za naruszenie ich dóbr osobistych poprzez zamieszczenie w Raporcie Przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej [...] nieuprawnionych, krzywdzących i podważających wiarygodność biznesową informacji o tym, iż Pan Jan Wejchert, Mariusz Walter i Grupa ITI, współpracowali z wojskowymi służbami specjalnymi PRL i brali udział w plasowaniu agentury wywiadu wojskowego PRL w krajach zachodniej Europy oraz w finansowaniu takiej agentury. Minister Obrony Narodowej wyraża głębokie ubolewanie z powodu zaistniałej sytuacji”. Do dziś nie wiadomo, na podstawie jakich faktów, resort obrony III RP uznał, iż informacje zamieszczone w Raporcie są „nieuprawnione, krzywdzące i podważające wiarygodność”.

Gdy Antoni Macierewicz nazwał przeprosiny MON "znową i działaniem na szkodę Skarbu Państwa" i powiedział o „wielkich firmach, które wykorzystują państwowe pieniądze”, TVN skierował do sądu kolejny pozew, ponownie domagając się przeprosin i wpłaty 100 tysięcy złotych. W styczniu 2010 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie odrzucił również to roszczenie, a w ustnym uzasadnieniu stwierdził, że nie dopatrywał się naruszenia dóbr osobistych powoda, zaś „wytaczanie procesów za słowa wyrwane z kontekstu całej wypowiedzi. Sąd uważa za działania podważające wiarygodność firmy, która to czyni.” Podobnie Sąd Najwyższy rozpatrując skargę kasacyjną TVN uznał, że poseł swoimi wypowiedziami nie naruszył dóbr osobistych powoda.

Kuriozalne orzeczenie zapadło natomiast we wrześniu 2011 roku, gdy Sąd Apelacyjny w Warszawie rozpatrując (po raz kolejny) pozew ITI za słowa Macierewicza z 2007 r. o związkach tej spółki z wojskowymi służbami i finansowaniu jej ze środków FOZZ orzekł, iż: „pozwany nie wykazał prawdziwości swych słów, a z odpowiedzialności nie zwalnia go fakt, że powoływał się na raport o WSI, bo daleko wykroczył poza niego”. Sędzia Małgorzata Kuracka uznała, że wprawdzie raport o WSI to dokument urzędowy, ale słowa o ITI "nie mają przymiotu zaświadczonego". Jej zdaniem "Raport zawiera pomieszczenie części zaświadczonej z uzasadniającą. Skoro tak, to sformułowanie to nie korzysta z domniemania prawdziwości, a pozwany powinien był wykazać jego prawdziwość".

Już przed czterema laty „Gazeta Polska” w artykule „Jak SB pomagała przyszlęmu właścicielowi TVN” informowała, że Jan Wejchert dzięki interwencji SB i urzędników rządu PRL mógł wyjeżdżać zagranicę już od lat 70., zaś kilka miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego, „ze względów operacyjnych” otrzymał paszport wielokrotny, ważny na wszystkie kraje świata. Wejchert pytany w roku 2008 przez pełnomocnika Antoniego Macierewicza, czy był współpracownikiem służb specjalnych PRL, oświadczył, że nie widzi powodów, żeby na to pytanie odpowiadać.

O roli drugiego z założycieli ITI, Mariusza Waltera można natomiast wnioskować na podstawie szczególnej rekomendacji Jerzego Urbana. Rzecznik komunistycznego rządu był autorem listu skierowanego do Czesława Kiszcza w dniu 22.02.1983 roku, w którym padła propozycja utworzenia oddzielnego pionu „służby propagandowej” kierowanej przez MSW. Na „głównego konsultanta” takiej służby, Urban wskazywał Mariusza Waltera – określając go jako „wielki talent i wulkan energii. Oczywiście członek PZPR, ale raczej profesjonalista niż polityk”. W liście do Kiszcza, Urban pisał:

„Dopóki w kraju toczy się będzie walka polityczna, MSW będzie planować i realizować przedsięwzięcia o największym znaczeniu z punktu widzenia jej przebiegu. Niezbędny jest, więc poważny, instytucjonalny instrument umożliwiający lepsze wykorzystanie propagandowe tych operacji, bezpośrednie oddziaływanie na społeczeństwo w pożądanym kierunku. (...)

Służba propagandowa MSW powinna mieć możliwość dawania do TV, radia i prasy gotowych programów do druku, albo też dostarczania TV, radia i prasie półproduktów, którym ostateczny kształt nadadzą redakcje TV, radia i prasy.(...) Służba propagandowa MSW winna działać w oparciu o zasadę, że wszystko można i trzeba rejestrować i dokumentować, a dopiero kwestia czy, kiedy i jak wykorzystać to do publikacji musi być przedmiotem politycznej decyzji odpowiedniego szczebla.(...) Trudno jednak znaleźć dobrych dziennikarzy, którzy zdecydują się przejść do MSW. Nie mniej mam pewne propozycje, które jak uważam, warto przynajmniej rozważyć”.

Na stanowisko „głównego konsultanta, jakiegoś szefa propagowania, szefa realizacji programów radiowo-tv - jednym słowem na kierownika pionu propagandy, lecz główną siłą koncepcyjno – fachową” Urban proponował Mariusza Waltera, twierdząc, iż „w tej chwili Walter jest do wzięcia i wkrótce będzie za późno, bo ma otrzymać wysokie stanowisko w TV, jak mu się tam oczyści przedpole. (...) Gdyby udało się pociągnąć Waltera, on zaproponuje dużo młodych, zdolnych ludzi.”

Do zadań nowej „służby propagandowej” miało m.in. należeć „programowanie i realizacja ‘czarnej propagandy’ oraz „inspirowanie przecieków i inne operacje oddziałujące na zachodnią propagandę”.

Propozycja Urbana została została odrzucona, choć Kiszcza uznał ją za interesującą i zasługującą na poważne potraktowanie. Resort jednak obawiał się dopuścić cywili do swoich tajemnic i miał inne plany dotyczące wzmocnienia roli Biura Studiów MSW, specjalnej jednostki SB utworzonej do walki z „Solidarnością”.

Rok później, Mariusz Walter razem z Janem Wejchertem założyli spółkę holding ITI. Początkowo spółka zajmowała się produkcją chipsów i ulepszczy do chleba oraz prowadzeniem sieci sprzedaży sprzętu RTV. Wkrótce firma otrzymała koncesję od władz PRL na sprowadzanie sprzętu elektronicznego z zagranicy i rozprowadzanie kaset wideo. W 1997 r. powstała telewizja TVN.

Wydział przydziałny gabinetu ministra Kiszcza w odpowiedzi udzielonej Urbanowi, napisał m.in.: „Bazując na osiągniętych doświadczeniach, rozwijając bardziej inicjatywy można osiągnąć cele zakładane w koncepcji tow. Urbana bez sięgania do form konwencjonalnych, bez powoływania instytucji specjalnej z całym warsztatowym zapleczem nadzwyczaj kosztownym w fazie organizacji i eksploatacji”.

poniedziałek, 26 marca 2012

### **683. NOWE ROZDANIE - STARA INSCENIZACJA**

W maju 2010 roku, Bronisław Komorowski odnosząc się wizerunku publicznego swojego przyjaciela i „alter ego” Janusza Palikota powiedział: „*Ludzie o ostrym języku, o ostrym stylu uprawiania polityki, najlepiej wyrażają różne wątpliwości, różne zagrożenia i poglądy. To już jest kwestia taktyki politycznej.*”

W tej ocenie zawiera się niezwykle dogodny mechanizm działań prowadzonych w ramach strategii nożyczek – ulubionej formy sprawowania władzy przez grupę rządzącą. Pozwala ona na symulowanie rzekomych rozbieżności politycznych, generowanie konfliktów i pozorowanie walki dobra ze złem. Dzięki niej społeczeństwo otrzymuje teatr pluralizmu i substytut demokracji, zaś końcowy efekt jest zawsze korzystny dla interesów decydentów.

Mając w rękę wszystkie najważniejsze narzędzia władzy, grupa rządząca nie może forsować obrazu monolitu i jednomyślności. O wiele korzystniejsze jest stworzenie mitu o kilku niezależnych, a czasem skonfliktowanych środowiskach oraz generowanie rzekomych sporów. Pozwala to również na zbudowanie fałszywej opozycji i zastąpienie nią autentycznych przeciwników politycznych.

Utworzenie partii Palikota było zatem klasycznym posunięciem w ramach tej strategii i pozwoliło scedować na tego polityka wszystkie działania i poglądy, których oficjalnie nie mógł wyrażać Bronisław Komorowski. Jego przyjaciel zebrał ponadto „skrajne skrzydła” tzw. formacji lewicowych oraz różnego rodzaju przedstawicieli środowisk patologicznych.

Spółczesność dostało erzac polaryzacji sceny politycznej i wizję „nowej” (nieobciążonej bagażem Platformy) partii. To zaś, czego nie mógł głośno powiedzieć lokator Belwederu lub premier rządu - otwarcie głosił ich kamrat. Skuteczność tej metody poznaliśmy podczas najazdów hord barbarzyńców na Krakowskim Przedmieściu i eskalacji ataków na ludzi broniących krzyża.

Dowodem efektywności był przede wszystkim wynik wyborów parlamentarnych i wprowadzenie egzotycznej formacji Palikota do parlamentu.

Otwierało to przed grupą rządzącą ogromne pole prowadzenia gier i kombinacji politycznych, bez narażania się na utratę władzy lub zdarzenia nieprzewidywalne.

W najbliższej przyszłości czeka nas zapewne inscenizacja związana ze zmianą koalicjanta i propagandowym zabiegiem poprawy wizerunku grupy rządzącej. Choć jej scenariusz jest niezwykle prosty, a nawet prymitywny to dzięki niskiej świadomości politycznej Polaków oraz wsparciu ze strony ośrodków propagandy wydaje się całkowicie realny.

By osiągnąć cele tej kombinacji, przez ostatnie miesiące usilnie uwiarygodniano Palikota, przedstawiając go jako rzekomą opozycję parlamentarną. W powiązaniu z równie fałszywym mitem o frondzie „schetynistów” i konfliktach na linii prezydent-premier – stwarzało to dogodne warunki do zainicjowania obecnej rozgrywki. Również dlatego, że w fałszywą narrację włączono PiS i środowiska autentycznej opozycji. Głoszone przezeń wizje przedterminowych wyborów i upadku rządu Tuska, doskonale wpisywały się w plany inscenizacji.

Do działań tych wykorzystano także Komorowskiego, który w niedawnym wywiadzie dla RMF FM zapewniał Polaków, że jego przyjaciel Palikot *„to jest opozycja, to jest licząca się część opozycji. To jest nowe zjawisko na polskiej scenie politycznej”* i przedstawiał go jako polityka *„zdradzającego postawy propaństwowe”* i *„skłonnego podejmować ryzyko z tytułu przeprowadzenia reform koniecznych dla Polski”*.

Na bazie rzekomego sporu o reformę emerytalną zbudowano zatem przekaz o „kryzysie koalicji” i wewnętrznych tarcjach w PO. Ośrodki propagandy nagłaśniają zaś groźbę „zerwania koalicji” i wieszczą rychłe wybory parlamentarne. Stworzą one warunki do dokonania kolejnej rozszady w granicach grupy rządzącej, pozwolą zatuszować błędy i wpadki Tuska i wywołają symulowany efekt pluralizmu i demokracji.

Niewykluczone zatem, że do takich wyborów dojdzie - nawet jeśli bezpieczniejszą formą przeprowadzenia zmian byłyby ustalenia dokonane wewnątrz parlamentu. Doświadczenia ubiegłoroczne dowodzą jednak, że wybory nie stanowią żadnego zagrożenia dla grupy rządzącej, a ich wynik jest doskonale moderowany przez tzw. sondaże i zabiegi ośrodków propagandy.

Zastąpienie mocno „sfatygowanego” koalicjanta, nowym nabytkiem wydaje się nietrudne i pożyteczne, nie tylko ze względów wizerunkowych. Powrót Palikota do „macierzy” wiąże się z włączeniem do establishmentu III RP ludzi „lewicy” oraz szeregu środowisk o specyficznych poglądach i proweniencji. W antypaństwowych i antypolskich planach mogą one odegrać istotną rolę i być wykorzystane również do dalszej marginalizacji Kościoła. Takie rozwiązanie ogranicza - co prawda - możliwości prowadzenia gier „na opozycję”, ale daje szansę na powolne wygaszanie „projektu PO” i budowanie w jego miejsce kolejnej mutacji reprezentującej interesy grup zarządzających III RP. Dla samego Palikota stwarza zaś doskonale miejsce startowe na stanowisko prezydenta.

Nie można też wykluczyć, że w ramach obecnej rozgrywki istnieje zamiysł utworzenia tzw. rządu fachowców, do którego swój akces zgłosiłaby pewna grupa posłów opozycji. Taki rząd, działając pod szyldem walki z zagrożeniami ekonomicznymi mógłby powstać przy wsparciu PiS-u i funkcjonować jako nowa hybryda układu. Na początku marca wspominał o tym rzecznik PiS Adam Hofman: *„Gdyby koalicja się nie dogadała, byłibyśmy gotowi na konstruktywne wotum nieufności, rząd fachowców, być może rozmowy z Pawlakiem. Koalicja z rządem fachowców, byleby powstrzymać sięganie do kieszeni Polaków jest lepsza niż to co jest”*. Zadziwiająca „koncyliacyjność” niektórych polityków opozycji oraz umizgi i zapewnienia Gowina o „wzmacnianiu prawicowego skrzydła PO” mogą świadczyć, że takie scenariusze są również brane pod uwagę.

Skuteczne przeprowadzenie inscenizacji z wymianą koalicjanta bądź stworzeniem „rządu fachowców” pozostanie oczywiście bez wpływu na stan państwa i poprawę realnej sytuacji Polaków. Nie rozwiąże to żadnych problemów i nie uleczy patologii III RP. Tego rodzaju zabiegi reanimacyjne mogą natomiast odsunąć groźbę upadku grupy rządzącej i na długi czas zapewnią ochronę jej interesów.

środa, 28 marca 2012

#### **684. CZY ZASŁUGUJEMY NA TAKĄ JEDNOŚĆ ?**

W opublikowanym przed dwoma laty liście otwartym dotyczącym polityki zagranicznej, Jarosław Kaczyński przypomniał fundamentalną zasadę: *„by polityka była skuteczna musi być najpierw moralnie słuszna”*. O potrzebie stosowania tej zasady miało nam również przypomnieć hasło wyborcze PiS –u. Słowa: *„Polacy zasługują na więcej”* – zapowiadały, że tym „więcej” stanie się zgodna z elementarną etyką korelacja słów i czynów. Były to słowa na miarę naszych oczekiwań, ale równie wysokie standardy wyznaczały ludziom partii opozycyjnej.

Nie można więc nie zapytać: jak oceniać stwierdzenia, które pojawiły się wczoraj na blogu Jarosława Kaczyńskiego? Jakim zasadom przypisać zdumiewającą konfrontację partii Marka Jurka z ludźmi, którzy do niedawna jeszcze stanowili trzon PiS-u? Konfrontację tym bardziej osobliwą, że za jej zwycięzcę mamy uznać człowieka, który w polityce kieruje się zasadą moralnego relatywizmu i do niedawna jeszcze odrzucał możliwość współpracy z PiS-em.

Jarosław Kaczyński napisał: *„Formacja Marka Jurka to formacja pewnej, już nie sięgając głębiej, a tylko do życiorysu przywódcy, 35-letniej tradycji działania z pozycji, nazwijmy to, radykalnego konserwatyzmu. To jest pozycja, która w naszym przekonaniu mieściłaby się w naszej partii, ale jest tam też mocna tendencja do politycznej samodzielności. Uznaliśmy, że ten dorobek i ta pewna odrębność jeśli chodzi o poglądy są przesłanką, którą możemy przyjąć do wiadomości i stąd tego rodzaju porozumienie jest możliwe.”*

Gdybym miał serio traktować tę rekomendację, musiałbym uznać, że prezes PiS oczekuje od nas głębokiej amnezji i napisał swoje wyjaśnienia tylko po to, by niestosownością porównania pogrzyżć niedawnych kolegów partyjnych z Solidarnej Polski.

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że niezależnie od definicji, jaką Jarosław Kaczyński przykłada do określenia „radykalny konserwatyzm” oraz rodzaju „odrębności” umożliwiających porozumienie z Markiem Jurkiem – nie wolno nam zapominać o postawie tego polityka po tragedii smoleńskiej ani tracić z oczu zasad politycznej „samodzielności”, jakim hołduje założyciel Prawicy Rzeczpospolitej.

Postawę pana Jurka mogliśmy poznać tuż po 10 kwietnia 2010 roku, gdy na blogu polityka pojawiały się teksty z deklaracjami, iż nie zamierza rezygnować z kandydowania w wyborach prezydenckich. W tym najboleśniejszym dla Polaków okresie, ów „konserwatysta” za najważniejszą sprawę uznał informowanie rodaków o przebiegu swojej kampanii wyborczej, nie zapominając przy tym pochwalić prezydenta Rosji za słowa: *„przywódcy sowieccy dopuścili się zbrodni na polskich oficerach w Katyniu, podobnie jak zbrodni na narodzie rosyjskim”*. Pięć dni po tragedii smoleńskiej dla Marka Jurka była to *„najważniejsza rosyjska oficjalna deklaracja historyczna od kilkunastu lat i krok w stronę desowietyzacji stosunków polsko-rosyjskich”*.

„Polityczna samodzielność” nakazała następnie owemu „antykomuniście” tworzyć wspólne „sztaby” ze środowiskiem byłych oficerów LWP i komitetem wyborczym „Nowego Ekranu” - skąd bezustannie trwały ataki na PiS i Jarosława Kaczyńskiego. 22 września 2011 r w siedzibie NE doszło do spotkania przedstawicieli „organizacji społecznych i politycznych o szerokim spektrum programowym”. Prawica Rzeczypospolitej Marka Jurka zawarła wówczas porozumienie m.in. z :Komitetem Wyborczym Marka Króla, Komitetem OLW Nowy Ekran, Samoobroną Rzeczypospolitej Polskiej, Unią Polityki Realnej oraz Stowarzyszeniem Pro Milito – organizacją założoną przed pięcioma laty przez gen. Tadeusza Wileckiego i gen. Marka Dukaczewskiego – ostatniego szefa WSI.

Grono to spotkało się, by „doprowadzić do wyborów opartych o nie uprzywilejowujące partie Okrągłego Stołu nowe prawo wyborcze”. Powołany wówczas „sztab” uznał, że „system wyborczy w Polsce jest obciążony grzechem pierworodnym kontraktowych wyborów do Sejmu w 1989 r. Siły Okrągłego Stołu zagwarantowały sobie faktyczny monopol w polskiej polityce poprzez wadliwe prawo wyborcze, czerpanie funduszy publicznych na własne potrzeby oraz kontrolę mediów zwłaszcza publicznych. Stanowi to naruszenia wolności wyboru i fundamentalnych zasad demokracji.”

Wypowiedzi Marka Jurka z tego okresu wskazują na szczególny rodzaj „konciliacyjności” prawicowego polityka:

„Problem Jarosława Kaczyńskiego polega na tym, że nie potrafi wziąć odpowiedzialności za własne decyzje. Tak było nie tylko z pracami konstytucyjnymi przed czterema laty. Tak było z ubiegłoroczną kampanią prezydencką. I tak jest ciągle.” – uznał Jurek pod koniec września 2011 roku i doszedł do wniosku: „Te wybory przekonały mnie ostatecznie, że porozumienie z partią Jarosława Kaczyńskiego nie jest możliwe, bo – nie tylko dla lidera, ale nawet dla zwolenników tej partii – jedność to po prostu polityka jej lidera”.

Kilka dni później w wywiadzie dla Frondy, Jurek powtórzył: „Porażka w zbieraniu podpisów i słaby wynik wyborczy zmuszają nas do opracowania porządnego planu akcji na najbliższe trzy lata. Muszę otwarcie przyznać, że wybory każą nam definitywnie się pożegnać się z nadzieją – sformułowaną przeze mnie po powołaniu Prawicy Rzeczypospolitej – że po czasie bezwarunkowego poparcia opinii katolickiej dla PiS przyjedzie czas warunkowej współpracy. Niestety, doświadczenie pokazuje, że PiS-owi można się podporządkować (co z radością albo z oporami zrobiło wiele środowisk prawicowych i katolickich) albo można się z PiS-em konfrontować, jednak partnerska współpraca z partią Jarosława Kaczyńskiego nie jest możliwa. Po wielu próbach porozumienia (również po tej ostatniej) czas to spokojnie stwierdzić.”

Warto pamiętać o tych słowach, by docenić trwałość poglądów pana Jurka i jego konsekwentną postawę.

Nie wszyscy jednak zasługiwali na tak ostrą ocenę. Prócz wyborczego porozumienia ze środowiskiem służb wojskowych, pan Jurek dostrzegał również możliwość współpracy z politykami PJN- u, których Jarosław Kaczyński uznał wczoraj za „całkowicie skompromitowanych, nie tylko z punktu widzenia partii, ale także z punktu widzenia polskiej demokracji i kryteriów moralnych.”

Warto tę opinię skonfrontować ze słowami Marka Jurka, który pod koniec października 2011 stwierdził: „Deklaracja PJN o potrzebie współpracy i porozumienia to znak, że Polska Jest Najważniejsza jest trwałą formacją, a nie tylko jednorazowym projektem wyborczym. [...] Dobrze, że koledzy z PJN już dziś myślą o pracach konsolidacyjnych. Będę zachęcał Prawicę Rzeczypospolitej i naszych kolegów, którzy w ramach Zespołu Polityczno-Programowego pracują nad nową strategią naszej partii, do podjęcia poważnych rozmów (a lepiej prac programowo-politycznych) – oczywiście jeżeli będziemy mieli nastawionych na to samo partnerów..”

Nie ma potrzeby dręczyć czytelników innymi przykładami „konserwatyzmu” pana Jurka. W politycznym krajobrazie III RP jest to postać marginalna, jakkolwiek poziomem koniunkturalizmu i hipokryzji wzbudzająca we mnie najgorsze odczucia. Pojawiają się one zawsze, gdy obyczajową ortodoksją próbuje się kamuflować egotyzm i polityczną tandetę.

Bez wątpienia partia opozycyjna ma prawo podejmować współpracę z kim zechce, a jej prezes może nawet uznać „dorobek” kanapowej formacji za znaczący. Nim tego rodzaju decyzje ocenią wyborcy warto byłoby jednak zapytać: jaką normą moralną oceniać działania Marka Jurka i jakim regułą przypisać jego polityczną „skuteczność”? Co nowego wnosi do polskiej prawicy polityk, który dla doraźnych korzyści skłonny jest zawierać sojusz z każdym środowiskiem?

Sądzę, że mamy prawo oczekiwać, by politycy opozycji serio traktowali własne słowa. Ta gwarancja jest nam potrzebna, by miarą zasad moralnych odróżnić politykę od demagogicznej kazuistyki. To zaledwie minimum - jeśli słowa „Polacy zasługują na więcej” mają oznaczać szacunek dla wyborców i nieść zapowiedź nowych relacji. Tego „więcej” powinniśmy oczekiwać od PiS-u - szczególnie gdy rzecz dotyczy naszej przyszłości i działań jednoczących prawicę.

czwartek, 29 marca 2012

## **685. DŁUGI MARSZ CZY KRÓTKI BIEG ?**

Coraz częściej w publikacjach medialnych oraz w wypowiedziach postów PiS-u pojawia się sugestia, że czas rządów Donalda Tuska dobiega końca, a w najbliższej perspektywie powinniśmy spodziewać się przyspieszonych wyborów parlamentarnych lub rychłego upadku grupy rządzącej.

Tymczasem w ostatnich miesiącach nie mieliśmy do czynienia z żadnym wydarzeniem, które można byłoby uznać za zwiastun takiego scenariusza. Nie ma przełomu w oficjalnym śledztwie smoleńskim; nikt z przedstawicieli władzy nie został oskarżony w sprawach setek afer tandemu PO-PSL; nie doszło do zmian w funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości; nie istnieje kontrola władzy wykonawczej ze strony instytucji państwa; kwitnie propaganda sukcesu i szkalowanie opozycji zaś media nadal roztaczają nad rządzącymi parasol ochronny; ukrywane są informacje o stanie finansów państwa; obowiązuje zмова milczenia w sprawach bezpieczeństwa i działań służb specjalnych. Nie można uznać, by grupa rządząca utraciła kontrolę nad jakimkolwiek obszarem życia publicznego lub poniosła zauważalne straty.

Jeśli więc podstawą budowania optymistycznych scenariuszy są doniesienia medialne – mają one tyle wspólnego z prawdą, ile media III RP z rzetelnym dziennikarstwem. To jednak dzięki nim obowiązują fałszywe wyobrażenia na temat „walk frakcyjnych” w PO, frondzie „schetynistów” czy narastaniu konfliktu na linii prezydent-premier. Nagłaśniając rzekome kontrowersje i spory medialni kreatorzy doskonale rozgrywiają klasyczną „strategię nożyczek”, której istota polega właśnie na symulowaniu rozbieżności, generowaniu sztucznych konfliktów i pozorowanej walce dobra ze złem. Końcowy efekt tej strategii jest zawsze korzystny dla interesów grupy rządzącej, zaś społeczeństwo otrzymuje teatr politycznego pluralizmu i substytut demokracji.

Powinno dziwić, że ci sami politycy i publicyści, którzy zarzucają głównym mediom nierzetelność i służbę interesom władzy – w tym zakresie dają wiarę opisom nieistniejących mechanizmów. Są to dziś mity tak mocno utrwalone, że ich wyznawcy

ignorują wiedzę o prawdziwej roli Pałacu Prezydenckiego, wierzą w „gorszych” i „lepszych” polityków PO, a nawet nie dostrzegają tak znamiennej, lecz niezgodnej z teorią konfliktu postawy Bronisława Komorowskiego w sprawie systemu emerytalnego.

Nawróżnie niepewnym wskaźnikiem są sondaże i badania opinii publicznej, które w realiach III RP spełniają funkcję kreatora nastrojów społecznych lub są przekąźnikiem intencji wpływowych środowisk. Rzekomy spadek poparcia dla PO, może więc oznaczać tylko tyle, że partia władzy otrzymuje właśnie sygnał dyscyplinujący, zaś poprawa notowań będzie zwykłym wyrazem zlecenia propagandowego.

Istnieją co najmniej cztery przesłanki nakazujące z rezerwą traktować nazbyt optymistyczne scenariusze.

W pierwszej kolejności są to wyniki wyborów prezydenckich i parlamentarnych. Stanowią one najmocniejszy dowód, że lata rządów obecnego układu oraz finał w postaci tragedii smoleńskiej pozostały bez większego wpływu na postawy milionów naszych rodaków. Można wprawdzie wskazywać na patologie i skażone źródła takich wyborów – nie sposób jednak zaprzeczyć, że ta władza nadal znajduje silne poparcie, a poziom świadomości politycznej polskiego społeczeństwa jest zatrważający.

Drugą przesłanką jest obecność głównego atrybutu tej władzy, jakim są ośrodki propagandy, zwane mediami. To one i zatrudnieni w nich mali demiurdzy, sprawują faktyczny rząd dusz nad Polakami. Ich potencjał oraz możliwości wpływu na opinie społeczeństwa pozostają nienaruszone – tym bardziej, że w czasie ostatnich pięciu lat opozycja nie podjęła nawet próby podważenia tego monopolu. Dlatego niemal każda konfrontacja z metodami propagandystów i aparatem dezinformacji musi kończyć się klęską.

Trzecim powodem, dla którego warto zachować dystans wobec scenariusza przyspieszonych wyborów, jest bez wątpienia sprawa tragedii smoleńskiej. Rola zakładników kłamstwa smoleńskiego oraz perspektywa odpowiedzialności politycznej i karnej za śmierć 96 Polaków – to dostateczne przesłanki, by uznać, że grupa rządząca nigdy nie odda władzy dobrowolnie. Ma tego świadomość Jarosław Kaczyński, gdy w trakcie niedawnego spotkania z mieszkańcami Lublina powiedział: „*Trzeba wykorzystywać te możliwości, które ciągle mamy - bo uważamy, żeby nie było tak jak w Rosji, że zaczną nam zabierać - czyli prawo do demonstracji, prawo do petycji, prawo do żądania referendum i cisnąć, cisnąć tą władzę, bo ona sama się nie rozwiąże.*”

Skoro zatem wiemy, że Tusk i spółka nie mogą – bez narażenia się na akt oskarżenia – oddać rządów w drodze przemian demokratycznych, pojawia się pytanie: jak miałyby dojść do przyspieszonych wyborów i dobrowolnej rezygnacji z władzy? „Ciśnienie” nie wydaje się środkiem dostatecznym, ponieważ aparat państwa przy użyciu dezinformacji, cenzury oraz medialnych gier operacyjnych zapewnia sobie wpływ na kształtowanie poglądów Polaków i jest w stanie zneutralizować każdy przejaw niezadowolenia społecznego. Gdyby i to okazało się nieskuteczne, władza sięgnie po środki represyjne. Przykładem działania tego systemu są fałszerstwa w sprawie tragedii smoleńskiej czy wyciszenie horrendalnych afer koalicji PO-PSL. Tu także ma rację Jarosław Kaczyński, gdy podczas demonstracji w dniu 14 marca stwierdził: „*Póki tutaj jest ten premier, i jego kompania, to towarzystwo z boiska i ci co nie grają, póty prawdy się nie dowiemy*”.

Dlatego wiarę w mechanizmy nacisku społecznego lub w zasady demokracji parlamentarnej - trzeba uznać za szkodliwą mrzonkę.

Prorokowanie rychłego końca tego rządu mogłoby okazać się zasadne tylko wówczas, gdyby doszło do zakulisowych ustaleń między głównymi graczami sceny politycznej lub część polityków opozycji planowała udział w inscenizacji związanej ze zmianą ekipy. Kontrolowany proces zastąpienia Tuska postacią mniej skompromitowaną czy nawet utworzenie egzotycznej koalicji, otworzyłby drogę do swoistego consensusu, w którym ceną politycznej abolicji byłby rząd złożony z „fachowców”. Gdyby takie scenariusze były poważnie rozważane, ich twórcy musieli by pamiętać, że „okrągłe stoły” stanowią stylistyczny przeżytek, a zabawy z politycznymi hybrydami kończą się przykrym efektem bastardyzacji.

Czwartą przesłanką, którą warto uwzględnić na tle obecnej sytuacji międzynarodowej jest prezydentura Władymira Putina i perspektywa kolejnej dekady rządów kremlowskich „siłowników”. Dla III RP przynosi ona zapowiedź pogłębiania procesu „integracji” i „pojednania” oraz wytyczenia nowych zadań w roli rosyjskiego konia trojańskiego. Ich realizacja będzie możliwa tylko wtedy, gdy w „przywisliskim kraju” władza będzie należała do „przyjaciół Moskwy”. Obalenie tej władzy, a - w konsekwencji - ujawnienie przyczyn tragedii smoleńskiej, mogłoby zagrozić globalnym interesom Putina i pokrzyżować rosyjskie plany ekspansji na Europę. W warunkach III RP ta przesłanka prowadzi również do wzmocnienia wpływowości środowisk skupionych wokół Pałacu Prezydenckiego i uczynienia z niego głównego ośrodka władzy. To zaś oznacza, że cały obszar bezpieczeństwa narodowego oraz „zmiany systemowe” w funkcjonowaniu służb specjalnych i resortów siłowych zostaną podporządkowane planom opracowanym w prezydenckim BBN-ie.

Ignorowanie takich faktów bądź próba zastąpienia ich projekcją życzeń, muszą doprowadzić do błędnych konkluzji w ocenie sytuacji. Autorzy pozytywnych scenariuszy niespecjalnie ukrywają, że wsłuchują się głównie w doniesienia medialne, wypowiedzi polityków PO lub reakcje koncesjonowanej opozycji, spod znaku Palikota i SLD. Popołniają tym samym kardynalny błąd, poddając bezkrytycznej analizie głosy swoich przeciwników i środowisk, które mają oczywisty interes w fałszowaniu polskiej rzeczywistości. Prognozy te opierają się na infantylnej wierze w istnienie takich mechanizmów demokracji, które pozwalają obalać złe i nieudolne rządy przy pomocy karty wyborczej. Niejako w oderwaniu od wyników ubiegłorocznych wyborów odwołują się do mitycznej „mądrości społeczeństwa”, wierząc w jego dojrzałość i zdolność do samodzielnego decydowania o swoim losie.

Wprawdzie chciałbym podzielać podobne opinie i życzyć sobie jak najszybszego upadku rządów PO-PSL, nie sposób jednak przystać na miłe sercu scenariusze za cenę rozminięcia z realiami.

Nietrudno przewidzieć, że najbliższe miesiące zweryfikują optymistyczne rachuby i rozstrzygną polityczne kalkulacje. Być może ich autorzy wolą liczyć na amnezję Polaków, ale taka postawa oznacza prostą drogę do utraty elektoratu i wzrost poczucia zniechęcenia wśród milionów zwolenników opozycji. Co powiedzieć tym ludziom, gdy minie czas Euro, a kolejne miesiące nie przyniosą oczekiwanych rozstrzygnięć? Jakich argumentów użyć, jeśli okopana w wąskim szańcu opozycja dotrwa do następnych wyborów, lecz i one niczego nie zmienią? Wiara w optymizm – jak pisał Mackiewicz – nie zastąpi nam Polski.

Jestem przekonany, że ludzie wspierający PiS zasługują na dużo więcej niż wynika to z mglistych obietnic czy demagogicznych zapowiedzi. Są w stanie wesprzeć każdą formę aktywności opozycji, jeśli jest sensowna i skuteczna. Potrafią wiele zrozumieć i mają dość siły, by wytrwać w długim marszu. Mogą też znosić kolejne porażki - byle wiedzieli, że na końcu tej drogi jest wolna Polska.

niedziela, 8 kwietnia 2012

## 686. SA PRZED NAMI WSZYSTKIE MOŻLIWOŚCI...

*Valde mane* odprawiliśmy rezurekcję w naszej kapliczce: bez procesji, natomiast z Jutrzną śpiewaną i *Te Deum*. I te święta spędziliśmy wspólnie: i w kaplicy, i przy stole, i w czasie popołudniowych "posiedzeń". Było wiele śpiewu i radości na piętrze, głęboka cisza i powaga na parterze i na drugim piętrze. Ludzie, których pozbawiono radości religijnych, siedzą jak ptaki z podwiązanyimi skrzydłami. Żal nam tych ludzi. Zaryzykowałem powiedzieć dziś zastępcy, który mnie odwiedził: "Życzę Panu wiele pogody i radości". - Odpowiedział szeptem: "Dziękuję". Na dole, schodząc na ogród, powiedziałem "starszemu panu": "Daj Boże, zdrowie". - Usłyszałem też odpowiedź: "Dziękuję". Zatrzymaliśmy się nieco przy stoliku dyżurnego. Zachęcaliśmy go, aby bronił się przed smutkiem, bo nie wypada zwycięzcom, aby mieli takie miny pogrzebowe. Zresztą, na świecie wszystko zmartwychwstaje. Trzeba zachować wolę życia. Uśmiechnął się z aptekarską ostrożnością.

Moi towarzysze doli są pełni pogody i wesela. Słyszę ich śpiewne głosy. Siostra kręci się po korytarzu i nuci sobie, *O Filii et filiae, Rex caelestis, Rex gloriae, ex morte resurrexit hodie, Alleluja*. - A ksiądz zadowolony, że już jest "w domu", a nie w klinice, podejmuje coraz to nową pieśń Zmartwychwstania. Gdy Chrystus zmartwychwstał, objawił tyle możliwości przed ludźmi, że już jest nam wszystko jedno, w jakiej obecnie jesteśmy sytuacji. Wiemy, że są przed nami wszystkie możliwości. A kto "wszystko może w Tym, który umacnia", nie pamięta o tym, co jest dziś.

10.IV.1955, niedziela. Stefan Kardynał Wyszyński - "Zapiski więzienne"

.....

**Wszystkim Państwu**, którzy odwiedzacie mój blog, życzę prawdziwej radości, pogody ducha i wszelkich łask płynących z przeżywania Świąt Zmartwychwstania Pańskiego.

Odkąd w nasze dzieje wkroczył Bóg – wiemy, że nie wolno nam zatrzymywać się przy Wielkim Piątku. Smutek tego dnia zostawmy „zwycięzcom”. *Przed nami są wszystkie możliwości* – tak nieograniczone, że symbol hańby i poniżenia zamieniły w znak nadziei, odwagi i braterstwa.

Odkąd „wszystko zmartwychwstaje” życzę Państwu, by - za słowami Prymasa Tysiąclecia - było „nam wszystko jedno” i żadne z życiowych doświadczeń nie pokonały radości i nadziei Zmartwychwstania.

sobota, 14 kwietnia 2012

## 687. NAS TO NIE DOTYCZY

- Dlaczego miałyby mnie poruszać jakkolwiek haniebne słowa Donalda Tuska skoro wiem, że wypowiada je tchórz uciekający w panice przed odpowiedzialnością?

- Czemu miałbym przywiązywać wagę do wypowiedzi Bronisława Komorowskiego, jeśli człowiek ten dał dowody podległości interesom Kremla, a swoją pozycję zbudował na fałszu i nienawiści?

- Czy powinienem reagować na brednie wypisywane przez ciemniaków mieniących się dziennikarzami, gdy wiem, że ich „poglądy” mają wartość judaszowych pensji i niewolniczych kredytów?

- Czym usprawiedliwię komentowanie doniesień ośrodków propagandy - jeśli uważam, że wykonują one tę samą robotę, jaką wypełniały w czasach komuny?

- Co miałoby mnie skłonić do reagowania na nienawistny bełkot platformianych „bloggerów” skoro jestem świadomy, że prym wśród nich wiodą funkcjonariusze medialni, a od pozostałych oddziela mnie nieprzekraczalna przepaść aksjologiczna?

- W imię jakich racji miałbym uczestniczyć w zbiorowym akcie amoku i podążać za każdym ochłapem podsuwany przez małych demiurgów, jeśli mam pewność, że są to tematy służące fałszowaniu prawdy?

Te pytania powinien sobie zadać każdy, kto stając do konfrontacji z obecną rzeczywistością chciałby zachować godność i trzeźwość umysłu. Dziś zależą one od tego - czy przyjmiemy świadomość głębokiego podziału na My i Oni - potrzebnego dla wyznaczenia granic prawdy i uporządkowania świata wartości.

Bo jeśli w takich sytuacjach nie potrafimy przezwyciężyć „pokusy polemiki” ani dostrzec z kim naprawdę mamy do czynienia – jaki sens mają nasze zasady i na czym opiera się stałość naszych ocen? Czy po to by je wyznawać – musimy wciąż szukać potwierdzenia w sporze z Obcymi i obdarzać ich choćby cieniem honoru ?

Po co deklarować przywiązanie do patriotyzmu i śnić o wolnej Polsce - jeśli nie ma się dość siły, by w całości odrzucić narrację Obcych, a ich samych nazwać po imieniu? W jak gęstych oparach absurdu i głębokiej schizofrenii muszą tkwić ci, którzy krzycząc o zbrodni smoleńskiej traktują jej sprawców i medialnych mataczy niczym ludzi godnych uwagi i polemiki?

„*To co nas podzieliło – to się już nie skleci*” – napisał poeta po 10 kwietnia - bo tylko poeci mają dziś odwagę głosić kolczaste prawdy. Ta zaś – o dychotomii My i Oni – jest prawdą wyklętą nawet przez najbardziej patriotyczne środowiska i wywołuje sprzeciw wśród najzagorzalszych krytyków obecnego układu. Uciekają przed nią za zasłonę taniej demagogii i pseudopolitycznego bełkotu.

Ten sam poeta przypomniał rzecz jeszcze straszniejszą: „*Mickiewicz tłumaczy nam wyraźnie, że istnieją dwie Polski. Jest Polska rosyjskich kolaborantów, tych, którzy występują w „Salonie warszawskim” z III części „Dziadów”, i jest Polska tych Polaków, którzy chcą pozostać wierni swoim narodowym obowiązkom*”. A jakby tego było mało, poeta dodał:

„*Nawet nazywać ich nie warto – w ogóle nie warto się nimi zajmować, najlepiej jest uznać, że ich nie ma. Trzeba wychodzić, kiedy wchodzi, odwracać się, kiedy do nas podchodzi. Polska należy do nas, a oni niech sobie gadają w swoich postkolonialnych telewizjach, co chcą, niech sobie piszą w swoich postkolonialnych gazetach, co im się podoba. Nas to nie dotyczy.*”

Jak zatem zrozumieć, że nawet ci, którzy uznali poetę za Człowieka Roku – nie mają dość odwagi by powiedzieć głośno: „*nas to nie dotyczy*” i odwrócić się tyłem od „*salonu warszawskiego*”? Czy powielając bełkot propagandystów i dając postulek wrzaskom kanałii wierzą, że zasłużą na miano „konstruktywnej opozycji” lub wytargują mniej bolesną agonię? Jakiej nagrody spodziewają się od tych, którzy darzą ich nienawiścią i pogardą i w imię jakiej prawdy mówią nam o „mechanizmach demokracji” - jeśli za przeciwnika mają zdziczałą watahę drwiącą ze śmierci Polaków? Dziś już nie da się usprawiedliwić takich postaw, a kto by mówił o „potrzebie dialogu” i „strategii perswazji” – jest w najlepszym wypadku wierutnym głupcem, który niczego nie pojął ze smoleńskiego memento.

czwartek, 19 kwietnia 2012

#### **688. UCIECZKI I DYMISJE. O NOWYM ROZDANIU**

W czasach PRL-u, istniała dość niezawodna metoda pozyskiwania informacji o wewnętrznych konfliktach w środowisku komunistycznych kacyków. Pozwalała ona również na ocenę prawdziwego stanu gospodarki, a nawet wskazywała na źródła potencjalnych kryzysów. Wystarczyło z uwagą śledzić, w jakiej kolejności „Trybuna Ludu” wymieniała skład Biura Politycznego i kogo umieszczała na głównych zdjęciach oraz obserwować kolejne rozszady i dymisje partyjnych towarzyszy. Zgodnie z tą wskazówką, przejście kacyka z „odcinka budowlanego” na „spożywczy” oznaczało zwykle zbliżającą się falę kryzysu, zaś „planowe odwołanie” zapowiadało akt niełaski albo tuszowania grubej afery.

Również w tej dziedzinie III RP nie odstaje od swego pierwowzoru i więcej dziś dowiemy się o stanie państwa z tego rodzaju przesłanek, niż z oficjalnych przekazów ośrodków propagandy.

Od kilku miesięcy można zatem obserwować zadziwiającą falę dymisji najwyższych funkcjonariuszy policji i służb specjalnych. Zapoczątkował ją kpt. Piotr Durbajło, wiceszef Departamentu Bezpieczeństwa Teleinformatycznego ABW, odwołany ze stanowiska w grudniu ubiegłego roku. Dywagowano wówczas, że odejście Durbajły ma związek z korupcją przy przetargach informatycznych w MSWiA.

Kilka dni później – na wniosek szefa MSW, Jacka Cichockiego - odwołano ze stanowiska wiceministra Adama Rapackiego, odpowiedzialnego za nadzór nad Policją, Strażą Graniczną i BOR-em. Rapacki pełnił też funkcję przewodniczącego Komitetu ds. Bezpieczeństwa Turnieju EURO 2012.

Kolejna dymisja dotknęła komendanta głównego policji Andrzeja Matejuka. Na początku stycznia br. zastąpił go Marek Działoszyński, komendant wojewódzkiej policji z Łodzi. Pierwsza decyzja nowego komendanta dotyczyła natomiast odwołania szefa Biura Łączności i Informatyki Komendy Głównej Policji.

W tym samym czasie, rezygnacje ze służby złożyli komendant stołecznej policji nadinsp. Adam Mularz oraz komendant mazowieckiej policji nadinsp. Ryszard Szkotnicki. Na początku lutego ze służby odszedł komendant dolnośląskiej policji Zbigniew Maciejewski oraz ośmiu naczelników wydziałów. Dymisję złożył również komendant miejski policji we Wrocławiu Mirosław Potocki. Na „wcześniejszą emeryturę” miał udać się także naczelnik sztabu KWP Jacek Mazur, który w dolnośląskiej policji był odpowiedzialny za przygotowanie i zabezpieczenie turnieju EURO 2012.

Do dymisji, zmian personalnych i rozszad doszło również w komendach policji w Krakowie, Łodzi, Gdańsku, Olsztynie, Białymstoku, Lublinie i Katowicach, a w miastach tych rozpisano konkursy na stanowiska szefów komend.

Na początku kwietnia dymisję złożył zaś zastępca szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego płk Paweł Białek. Z informacji nieoficjalnych wynika, że z Agencji ma odejść jeszcze jeden zastępca Bondaryka – płk Jacek Mąka, który miałby zostać oficerem łącznikowym w Waszyngtonie.

Przed kilkoma dniami ze stanowiska komendanta głównego Straży Granicznej został natomiast odwołany gen Leszek Elas.

W większości przypadków, oficjalne wyjaśnienia towarzyszące dymisjom były na tyle ogólnikowe i schematyczne, że nie zasługiwały na wiarygodność. Do zdarzeń tych przykładano zatem różne miary, tłumacząc je np. rosnącą pozycją szefa MSW Jacka Cichockiego, który miałby kompletować zespół ludzi dyspozycyjnych, walką z rzekomą „frakcją schetynistów” lub problemami z organizacją turnieju EURO.

Tymczasem łatwo zauważyć, że w interpretacji tych dymisji nie da się zastosować jednego, niezawodnego klucza, zaś prawidłowa analiza zdarzeń nastrocza niemałe problemy. Ocenianie ich z perspektywy bredni o „pozbywaniu się ludzi Schetyny” jest również fascynujące, jak opowieści o demokracji III RP.

Sądzę, że warto na te wydarzenia spojrzeć nieco głębiej niż sugerują to ośrodki propagandy.

Z jednej strony możemy zatem mieć do czynienia z klasyczną taktyką ucieczki z tonącej tratwy – jaką z pewnością okaże się organizacja Euro2012, z drugiej – powodem dymisji i rozszad mogą być planowane zmiany systemowe w całej strukturze służb specjalnych. Nie można też wykluczać, że za niektórymi odwołaniami kryją się sprawy „ukręconych” afer lub intencja pozbycia się ludzi niezbyt skompromitowanych. Tak wyraźna i narastająca tendencja świadczy również, że mamy do czynienia z „nowym rozdaniami”, co – z kolei - oznacza, że w obszarze gry interesów i podziału ról czekają nas mocne przetasowania.

Dlatego, jeśli nawet w odejściu Adama Rapackiego czy dymisji Andrzeja Matejuka można upatrywać decyzji wyprzedzających, świadczących o tym, że rasowi „gliniarze” zdali sobie sprawę z nadchodzącej katastrofy EURO i chcą jak najszybciej opuścić tonący pokład, to podobna interpretacja w przypadku Pawła Białka czy Jacka Mąki byłaby już mocno wątpliwa.

Sytuacja w ABW może być natomiast rodzajem „papierka lakmusowego”, na podstawie którego wolno przewidywać głębokie zmiany w strukturach służb. Przypomnę, że w czasie pierwszych dwóch miesięcy 2012 roku z Agencji odeszło 200 funkcjonariuszy, podczas gdy w całym zeszłym roku służbę opuściło 160 osób.

Szczególnie dymisja wiceszefa ABW Jacka Mąki powinna prowokować do pytań, a jej rzeczywiste przyczyny mogłyby nam wiele powiedzieć o sytuacji w tuskowym niby – państwie. Dotychczas bowiem była to postać „niezatapialna”, której do dymisji nie skłoniły ani sprawa nabytego nielegalnie mieszkania służbowego, o czym w swoim liście otwartym pisał Wojciech Sumliński ani sprawa podsłuchów dziennikarzy Cezarego Gmyza, Leszka Misiaka i Bogdana Rymanowskiego w związku ze śledztwem prowadzonym przeciwko Sumlińskiemu. Stenogramy z podsłuchów zostały następnie wykorzystane przez Jacka Mąkę w prywatnym procesie, który wytoczył „Rzeczpospolitej”. Wówczas Donald Tusk nie znalazł podstaw do zdymisjonowania Mąki, bo – jak stwierdził – „nie otrzymał takiego wniosku ze strony szefów ABW”.

Obaj oficerowie – Białek i Mąka – utracili swoje stanowiska w okresie rządów PiS-u i zostali przyjęci ponownie, gdy do władzy doszła obecna koalicja. Obaj są także członkami Rady Konsultacyjnej Centralnego Ośrodka Szkolenia ABW, w której zasiada również były kierownik w KC PZPR Andrzej Barcikowski.

O szczególnych cechach płk Białka możemy natomiast wnioskować z relacji dotyczącej czystek w czasie rządów tzw. lewicy, w roku 2001. Autorzy publikacji z tamtego okresu zwracali uwagę, że „podczas czystek najbardziej zasłużyli się, dyrektorzy

Zarządu IIA – mjr Nosek oraz jego zastępca kpt. Paweł Białek. Obaj pozbawieni talentów i osiągnięć, przez ostatnie lata znajdowali się pod parasolem ochronnym swego patrona, który ściągnął ich do Warszawy z delegatury w Krakowie.[...]Brak sukcesów nadrobili gorliwością w dyskredytowaniu kolegów – szefów delegatur. Swoją bezradność i brak kompetencji, przejawiające się nieobecnością w działaniach delegatur, „sprzedali” Siemiątkowskiemu jako niezdyscyplinowane szefów delegatur. Ta dzielna postawa uratowała ich przed utratą stanowisk na jesieni 2001 roku.”

Po roku 2007, Białek zajmował się w ABW przestępczością ekonomiczną, m.in. nadzorując od dwóch lat śledztwo w sprawie procederu reaktywacji przedwojennych polskich przedsiębiorstw na podstawie akcji kolekcjonerskich oraz związanych z tym poważnych oszustw na szkodę Skarbu Państwa W publikacji „Forbesa” (nr 09/2011) zawarto informacje wskazujące na zadziwiająco nieudolność ABW w zakresie czynności procesowych, w tym na fakt zwolnienia osób podejrzanych o dokonanie oszustw za kaucją wynoszącą zaledwie kilkanaście tysięcy złotych. W sprawie tej poseł Zbigniew Kozak z PiS złożył niedawno interpelację, pytając Donalda Tuska o śledztwo nadzorowane przez płk Białka.

Wydaje się jednak, że istotnym „kluczem” do oceny obu dymisji jest osoba szefa ABW Krzysztofa Bondaryka. Jacek Mąka to były funkcjonariusz UOP delegatury w Białymstoku, w czasie, gdy na jej czele stał Bondaryk. To z jego rekomendacji Mąka miał trafić do Urzędu. Paweł Białek jest zaś kojarzony z tzw. „grupą krakowską”, do której zaliczani są m.in. szef Agencji Wywiadu Maciej Hunia, szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego Janusz Nosek, poseł PO Konstanty Miodowicz czy były szef WSI Tadeusz Rusak. „Grupa krakowska” stanowi zaś jeden z filarów wsparcia dla obecnego szefa ABW.

W tym kontekście warto wspomnieć, że zdymisjonowany komendant Straży Granicznej Leszek Elas to również wieloletni funkcjonariusz UOP, kojarzony wyraźnie z „grupą krakowską”, zaś w latach 2002 – 2008 pracował w przedsiębiorstwach telekomunikacyjnych – TP Internet i Polkomtel SA, w pionach związanych z bezpieczeństwem łączności i ochroną informacji. Niemal w tym samym czasie, Krzysztof Bondaryk pracował dla Zygmunta Solorza (dziś właściciela Polkomtela) w Polskiej Telefonii Cyfrowej - operatorze sieci komórkowych, zajmując tam stanowisko pełnomocnika ds. informacji niejawnych.

Jeśli do odejścia Białka i przewidywanej dymisji Mąki doszło wbrew woli Krzysztofa Bondaryka – może się okazać, że to szef ABW będzie kolejnym na liście funkcjonariuszy opuszczających tę służbę. Wówczas też, niektóre z pozostałych dymisji należałoby rozpatrywać jako wymierzone w „zaplecze” szefa Agencji i służące ograniczaniu jego wpływów.

To zaś dowodziłoby, że minister Jacek Cichocki z coraz większą determinacją dąży do wprowadzenia „systemowej reformy” służb, opracowanej w prezydenckim Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, a sama Agencja utraci wkrótce miano największej i najważniejszej formacji specjalnej.

Lektura dokumentów powstałych w BBN-ie nie pozostawia wątpliwości, że dokonany już podział MSWiA oraz zapowiadana przez Cichockiego „zmiana systemu kontroli nad służbami” są autorstwa środowiska skupionego wokół Bronisława Komorowskiego i to on dziś „rozdaje karty” w sprawach służb specjalnych. Gdy na początku stycznia br Cichocki przedstawiał pomysły podporządkowania ABW resortowi spraw wewnętrznych oraz anonsował inne „warianty zmian systemowych” – projekty tego typu rozwiązań znajdujemy już w opracowaniu dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego BBN Lucjana Beły z listopada 2011 roku.

To tam powstał pomysł utworzenia nowego ministerstwa administracji i cyfryzacji, zbudowanego na bazie wyodrębnienia z ABW i SKW zadań o charakterze administracyjnym wynikających z ustawy o ochronie informacji niejawnych. Tam również zaplanowano połączenie CBA z wywiadem skarbowym i stworzenie pod nadzorem Ministerstwa Finansów jednej struktury uprawnionej do zajmowania się przestępstwami ekonomicznymi i korupcyjnymi. W koncepcji prezydenckiego BBN-u planowane jest także podporządkowanie ABW ministrowi spraw wewnętrznych oraz znaczące zredukowanie uprawnień tej służby.

Ta perspektywa mogłaby stanowić dziś główną przyczynę masowych odejść z Agencji.

Z połączenia Agencji Wywiadu ze Służbą Kontrwywiadu Wojskowego miałyby zaś powstać nowa, potężna służba podporządkowana ministrowi obrony narodowej. Wszystkie stanowiska dowódcze w tej najważniejszej strukturze bezpieczeństwa byłby – zgodnie z prezydenckim projektem - obsadzone przez żołnierzy zawodowych, co w praktyce oznacza, że na jej czele mogliby stanąć oficerowie byłych WSI.

Nietrudno zauważyć, że BBN-owska koncepcja „reformy służb” przewiduje wiodącą rolę ośrodka prezydenckiego i powrót do układu funkcjonującego przed rokiem 2006. Ponieważ to prezydent sprawuje zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi za pośrednictwem ministra obrony narodowej – on też będzie faktycznym decydem w kwestiach bezpieczeństwa, mając również bezpośredni wpływ na działalność potężnej służby specjalnej.

Odtąd już nie Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale „odnowiona” wojskowa bezpieka posiadałaby największe kompetencje i spełniała zaszczytną rolę „zbrojnego ramienia” grupy rządzącej. Jeśli ten pomysł zostanie zrealizowany, los Krzysztofa Bondaryka wydaje się przesądzony, a nas czekają jeszcze niejedne zagadkowe dymisje

niedziela, 22 kwietnia 2012

## **689. KATYŃSKI WYROK NA POLSKĘ**

„To orzeczenie odpowiada interesom naszego kraju” - oznajmił resort sprawiedliwości Federacji Rosyjskiej w reakcji na wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu w sprawie Katynia. Wprawdzie rzadko się zdarza, by oficjalne oświadczenia władz Federacji odpowiadały prawdziwym intencjom Kremla – w tym przypadku możemy jednak uznać, że Putin i jego kamraci mają rzeczywiste powody do zadowolenia.

Satysfakcja Rosjan była tak wielka, że służby FR już kilka dni przed ogłoszeniem wyroku nie wahały się przekazać do mediów informacji o zawartości sentencji. Tuba propagandowa Kremla "Moskowskije Nowosti" na cztery dni przed terminem publikacji orzeczenia ogłosiła zatem, że Rosja nie ponosi odpowiedzialności za zbrodnię katyńską.

Dowodzi to nie tylko sprawności rosyjskiej agentury ulokowanej w instytucjach europejskich, ale raz jeszcze potwierdza, że propaganda to najmocniejsza broń reżimu Putina. Dzień później, główny prokurator wojskowy Rosji Siergiej Fridinski oficjalnie poinformował o oczyszczeniu Stalina z zarzutu zbrodni katyńskiej i przypomniał, że prokuratura FR umarzając w 2004 roku śledztwo „nie sformułowała żadnych zarzutów wobec Józefa Stalina i innych przywódców dawnego ZSRR”.

Europejski Trybunał orzekł wprawdzie, że „Rosja złamała artykuł 3. Europejskiej Konwencji Praw Człowieka podczas śledztwa ws. zbrodni katyńskiej, który zakazuje nieludzkiego i poniżającego traktowania, ale naruszenie to nastąpiło tylko w odniesieniu do dziesięciu skarżących, a w odniesieniu do pozostałych pięciu skarżących do naruszenia tego artykułu nie doszło”.

Trybunał uznał ponadto, że „Rosja naruszyła obowiązek współpracy z Trybunałem w art. 38 Konwencji, a naruszenie to wynika z odmowy rosyjskiego rządu doręczenia na wezwanie Trybunału kopii decyzji o umorzeniu śledztwa katyńskiego.” W orzeczeniu zawarto również kwalifikację prawną zbrodni katyńskiej, określając ją jako zbrodnię wojenną - co oznacza, że nie ulega ona przedawnieniu, a jej sprawcy mogą być nadal ścigani. Jednocześnie Trybunał stwierdził, że „w okresie po ratyfikacji Konwencji przez Rosję nie pojawiły się żadne nowe dowody lub okoliczności związane ze zbrodnią katyńską, a zatem po tej dacie nie powstał na nowo obowiązek dla władz rosyjskich do prowadzenia śledztwa”.

Przewagą jednego głosu Trybunał postanowił, że nie może ocenić zarzutu naruszenia przez Rosję art. 2 konwencji w zakresie przeprowadzenia skutecznego śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej, bo „Rosja przyjęła Europejską Konwencję Praw Człowieka dopiero w 1998 r., czyli osiem lat po rozpoczęciu śledztwa”. Gdyby Trybunał orzekł, że doszło do naruszenia art. 2 Konwencji, a tym samym do pogwałcenia „prawa do życia”, władze Rosji byłyby zobowiązane do ponownego wszczęcia śledztwa i skutecznego jego przeprowadzenia

W kontekście tego orzeczenia - całkowicie niezrozumiale brzmi wspólny przekaz opozycji i grupy rządzącej o rzekomej porażce Rosji oraz wyrażana przez wiele środowisk opinia, jakoby było to orzeczenie „przełomowe” lub „dawało satysfakcję skarżącym”.

Za korzystne nie można bowiem uznać stwierdzenia, że „Katyń był zbrodnią wojenną”. Jest to w istocie kwalifikacja daleka od zbrodni ludobójstwa, za to zgodna choćby z opinią Stefana Niesiołowskiego, który w 2009 roku negocjował, iż mordy dokonane przez Sowieców w Katyniu, Miednoje i Charkowie były ludobójstwem i nazywał je zbrodnią wojenną. Podobne stanowisko zajęł przed rokiem doradca Bronisława Komorowskiego, Roman Kuźniar, twierdząc, że „według prawa międzynarodowego, zbrodnia katyńska nie spełnia kryteriów definicji ludobójstwa” i określił ją jako zbrodnię wojenną.

Twierdzenia te tak dalece oburzały wówczas opozycję, że w roku 2009 żądano dymisji wicemarszałka Sejmu Niesiołowskiego oraz gromko krytykowano Kuźniara. Dlaczego zatem dziś, ta sama opozycja postrzega wyrok Trybunału jako porażkę Rosji?

Również w pozostałej części orzeczenie jest ewidentnie korzystne dla reżimu Putina, ponieważ nie nakłada nań żadnego obowiązku w zakresie wznowienia śledztwa lub ujawnienia materiałów z dotychczasowych postępowań oraz w ogóle pomija kwestię odpowiedzialności za zbrodnię z 1940 r.. Co więcej - Trybunał dokonał całkowicie niezrozumiałego rozgraniczenia i uznał, że „nieludzkie i poniżające traktowanie” rodzin ofiar katyńskich podczas rosyjskiego śledztwa dotyczy tylko dziesięciu skarżących, a w pozostałych przypadkach do takiego traktowania nie doszło.

Należałoby zatem zapytać: na czy polega rzekoma porażka Rosji i jakie korzyści wyrok przynosi Polakom?

Odzwiedzeniem stanu faktycznego są również reakcje stron procesu. Przedstawiciele rodzin katyńskich już zapowiedzieli apelację, podczas gdy strona rosyjska stwierdza, że jest „usatysfakcjonowana” i nie widzi podstaw do zaskarżenia wyroku.

O rzeczywistych skutkach orzeczenia Trybunału świadczy informacja podana następnego dnia przez agencję Interfax. Rosjanie ogłosili, iż „niewykluczone jest, że akta śledztwa w sprawie rozstrzelania polskich oficerów w ZSRR w 1940 roku nigdy nie zostaną odtajnione”. Główny prokurator wojskowy Federacji Rosyjskiej Siergiej Fridinski oznajmił natomiast, że „wszystko, co można było przekazać, praktycznie już przekazaliśmy - z wyjątkiem tej części materiałów, które stanowią tajemnicę państwową” i dodał „nie sądzę, abyśmy musieli komukolwiek przekazywać takie dane”.

W istocie więc wyrok Europejskiego Trybunału prowadzi do zamknięcia sprawy zbrodni katyńskiej na etapie rosyjskich fałszerstw i pozwala Rosji na całkowitą bezkarność – łącznie z zaprzeczeniem odpowiedzialności za zamordowanie polskich oficerów. Warto przypomnieć, że już w 2010 roku w oficjalnym stanowisku rządu rosyjskiego skierowanym do Strasburga znalazło się stwierdzenie: „nie udało się potwierdzić okoliczności schwymania polskich oficerów, charakteru postawionych im zarzutów i tego, czy je udowodniono. Nie ma nawet pewności czy Polaków rozstrzelano.”

Wyrok ten wpisuje się wyraźnie w historyczną kontynuację polityki Zachodu wobec sowieckiego/rosyjskiego reżimu. Zgodne ze zbrodniczą logiką narzuconą państwu europejskim jeszcze w trakcie trwania II wojny światowej, depozyt kłamstwa katyńskiego stanowił istotną gwarancję nienaruszalności wpływów Rosji Sowieckiej w Polsce, a ukrywanie prawdy o mordzie założycielskim PRL-u stało się fundamentem pojałtańskiego „ładu w Europie”. Powstały wówczas układ i zmowa milczenia stały na przeszkodzie wyjaśnieniu prawdziwych okoliczności zbrodni i na dziesięciolecia zamknęły Polskę w strefie wpływów Kremla. Dlatego na Zachodzie, kłamstwo katyńskie funkcjonowało przez lata, a potępienie rosyjskich ludobójców również dziś nie leży w interesie państw europejskich.

Stratedzy płk Putina doskonale wiedzą, że nadrzędnym celem społeczeństw Zachodu nie jest prawda historyczna czy raczej moralne lecz dobrobyt i spokój – i za obie te wartości gotowe są zapłacić każdą cenę. Józef Mackiewicz w „Zwycięstwie prowokacji” przypominał: „Polityka Zachodu podczas wojny kierowała się względami narzuconymi jej przez sojusz z Sowietami; polityka Zachodu po wojnie kieruje się względami narzuconymi jej przez chęć pokojowej koegzystencji z Sowietami.” Prowadzona przez ostatnie lata rosyjska kampania propagandowo - dyplomatyczna sprawiła, że państwo to jest dziś postrzegane poprzez pryzmat potencjalnych korzyści politycznych i ekonomicznych mających płynąć z „ucywilizowania” Rosji. W oczach Zachodu „koegzystencja” z Rosją jest możliwa, jeśli państwo to otrzyma „należną” mu strefę wpływów i zaspokoi swoje mocarstwowe ambicje.

Orzeczenie Trybunału w Strasburgu stanowi również wyraźną przestrożę przed pokładaniem nazbyt wielkich nadziei na stworzenie międzynarodowej komisji w sprawie tragedii smoleńskiej. W tym zakresie, kalkulacje polityków opozycji oraz nadzieje części polskiego społeczeństwa, mogą okazać się płonne. Już pod koniec roku 2010 przewodniczący Komisji Europejskiej Jose Manuela Barroso oświadczył, że „jest niewiele argumentów prawnych za podjęciem przez Komisję Europejską działań w sprawie śledztwa dotyczącego katastrofy smoleńskiej”.

Wydaje się oczywiste, że jeśli europejskich trybunałów nie stać dziś na rzetelną ocenę sowieckich zbrodni sprzed 70 lat – tym bardziej – nie podejmą się obowiązku zbadania współczesnych zbrodni pułkownika Putina. Po raz kolejny może się okazać, że nikt nie będzie umierał za „polską prawdę”.

piątek, 27 kwietnia 2012

## 690. SUKCESORZY

„Tak, nie ma nic bardziej haniebnego niż wywoływanie takiej zimnej wojny domowej, z marzeniem o gorącej wojnie domowej z wykorzystaniem śmierci swoich bliskich. Naprawdę, zejdźcie z tej drogi, bo ona prowadzi donikąd. Ona jest groźna nie tylko dla was, jest groźna też dla Polski.” - Donald Tusk w Sejmie 13 kwietnia 2012 roku.

„Powstrzymajmy wspólnym wysiłkiem widmo wojny domowej. Nie wznosmy barykad tam, gdzie jest potrzebny most.” - Wojciech Jaruzelski przemówienie radiowe i telewizyjne z 13 grudnia 1981 roku

„Na tym polega dzisiaj ten największy polski dylemat, jak uniknąć tego, aby takie użyteczne, takie trywialne interesy polityczne nie zakłócały nam możliwości budowy wspólnoty narodowej, także w cierpieniu, wspólnoty wszystkich bez wyjątku Polaków” - Donald Tusk w Sejmie 13 kwietnia 2012 r.

„Istnieje nadrzędny cel, jednoczący wszystkich myślących, odpowiedzialnych Polaków: miłość ojczyzny, konieczność umocnienia z takim trudem wywalczonej niepodległości, szacunek dla własnego państwa. To najmocniejszy fundament prawdziwego porozumienia.” - Wojciech Jaruzelski przemówienie radiowe i telewizyjne z 13 grudnia 1981 roku

„Każdego dnia widzimy, jak wielką wartością w czasach trudnych, w czasach kryzysu, jest narodowa zdolność do budowania jedności wokół najważniejszych celów. Podstawą do tego jest szacunek szczególnie w obliczu takiej tragedii do wszystkich, którzy są jej ofiarami”. – Donald Tusk w Sejmie 13 kwietnia 2012 r.

„Wszystkie doniosłe reformy będą kontynuowane w warunkach ładu, rzeczowej dyskusji i dyscypliny. Odnosi się to również do reformy gospodarczej. [...] Przed nami trudny okres. Po to, aby jutro mogło być lepiej, dziś trzeba uznać twarde realia, zrozumieć konieczność wyrzeczeń. Jedno chciałbym osiągnąć — spokój. Jest to podstawowy warunek, od którego zacząć się powinna lepsza przyszłość”. - Wojciech Jaruzelski przemówienie radiowe i telewizyjne z 13 grudnia 1981 roku

„Chcę zapewnić wszystkich Polaków, że wykorzystamy wszystkie możliwości państwa polskiego, aby wyjaśnić wszystkie okoliczności, bez dróg na skróty i bez pokusy, aby wskazać jednego konkretnego winnego, bo taki mielibyśmy interes polityczny.” - Donald Tusk w Sejmie 13 kwietnia 2012 roku.

„Sprawa spoczywa w szczególnie dobrych rękach i można być pewnym, że czynione jest wszystko, co możliwe, aby sprawcy zostali odnalezieni, ukarani, a okoliczności porwania wyjaśnione do gruntu”. – Jerzy Urban na konferencji prasowej 25 października 1984 roku poświęconej porwaniu księdza Jerzego.

„Ofiarami tej tragedii są nie tylko zmarli, nasi bliscy, my wszyscy możemy stać się ofiarami tej tragedii, jeśli pozwolimy, aby nienawiść, pogarda dla innych, brak szacunku wylewały się każdego dnia z ust tych, którzy potrafią tylko krzyczeć w tej sprawie.” - Donald Tusk w Sejmie 13 kwietnia 2012

„Porwanie księdza Popiełuszki jest oczywistą próbą wbicia noża w niezabliźnioną do końca ranę.[...] Cios zadany zwolennikowi określonej postawy politycznej miał stworzyć wrażenie, że zamiast proponowanego dialogu, władze dążą do brutalnej likwidacji swoich przeciwników. Mimo oczywistości, że temu właśnie miał służyć zamach, rzeczą smutną jest fakt, że są ludzie, którzy nie czekając na ostateczny wynik śledztwa, z góry przesądziли sprawę i zgodnie z celami prowokacji wzywają do wystąpień, do aktów nienawiści, do działań szkodzących krajowi, ukrywając swe intencje” - fragment tzw. stanowiska Rady Krajowej PRON z 29 października 1984 roku.

„W Polsce powstaje nowy front zimnej wojny wewnętrznej, dlatego celem mojego rządu będzie zapewnienie poczucia bezpieczeństwa wszystkim Polakom, nie tylko wobec kryzysu ekonomicznego, ale także politycznego” - wypowiedź Donalda Tuska z 19 kwietnia 2012 roku

„Dywersyjne ośrodki zagraniczne oraz antysocjalistyczne podziemie zapowiadają i nawołują do poczynań godzących w gospodarkę narodową, podważających proces normalizacji. Najsmutniejsze jednak jest to, że wszystkie tego rodzaju wyczyny sieją tylko niepokój, targają ludzkie nerwy, utrudniają porozumienie, opóźniają przezwyciężanie kryzysu.” – W. Jaruzelski przemówienie na zakończenie obrad X Plenum KC PZPR 28 października 1982 roku.

„Słowa, które padają w ostatnich dniach, mogą mieć swoje konsekwencje i ci, którzy je dzisiaj wypowiadają - mówię o tych twardych słowach czasami pełnych nienawiści i agresji, słowach, które godzą bezpośrednio w serce Polski, w taki jednoznaczny interes narodowy Polski i Polaków - te słowa mogą mieć także niestety swoje praktyczne konsekwencje” - wypowiedź Donalda Tuska z 19 kwietnia 2012 roku

„Zrozumiałe są wątpliwości szerokiej opinii społecznej, oburzenie i niepokój. Ale ostrzegam - niechaj wrogowie naszego państwa, cyniczni gracze nie żerują na tej tragedii. Niech nie pchają podekscytowanej części społeczeństwa do działań groźących nieobliczalnymi konsekwencjami” – z telewizyjnego wystąpienia gen. Czesława Kiszczaka w dn. 29 października 1984 roku.

„Żarty się kończą i głównym zadaniem polskiego rządu będzie zapewnienie takiego poczucia bezpieczeństwa wszystkim Polakom, nie tylko wobec kryzysu, ale także wobec kryzysu politycznego, którego jesteśmy świadkami” - Donald Tusk 19 kwietnia 2012 roku

„Taka jest zagęszczająca się, zaostarzająca rzeczywistość — zarówno jej podskórny, pełzający nurt, jak i ostentacyjna, jątrząca forma. Z tymi zjawiskami władza dłużej współistnieć nie może. Odbudowane i utrzymane być muszą rubieże nadrzędnych interesów i stabilności państwa.” - Wojciech Jaruzelski, przemówienie na XI Plenum KC PZPR 10 czerwca 1981 roku.

„W ten sposób zachowują się politycy, którzy w imię zdobycia władzy podżegają Polaków do wystąpień publicznych i mówią o wojnie. Apelujemy o zatrzymanie języka agresji - podżeganie do przestępstwa jest przestępstwem” - poseł PO Andrzej Halicki podczas konferencji prasowej w Sejmie w dn. 19 kwietnia 2012 roku.

„Żerowanie na tragedii jest podłością. Próba czynienia z Polski widowiska dla całego cywilizowanego świata dowodzi zupełnego zaniku patriotyzmu. Godzi się w tradycyjną polską tolerancję, ogłaszając przerażające teksty obwieszczające odpowiedzialność zbiorową za konkretny bandycki czyn konkretnych osób. [...] Polityczne prowokacje usiłujące dyskutować

*społeczne poruszenie tragedią [...] są groźne. Doprowadzić mogą do konfliktów i starć, do naruszenia w Polsce spokoju* – fragment komentarza PAP „Przeciw prowokacji” z 26 października 1984 roku

*„To, z czym mamy do czynienia to pełzający pucz [...] Wtedy gdy Jarosław Kaczyński mówi o odzyskaniu wolności to jest ta chora, nienawistna wyobraźnia. Mówi o politykach w kraju i za granicą, którzy mieli interes w spisku Milczenie pozwala na szerzenie się najbardziej szalonych hipotez.[...] To nie chodzi o działaczy PiS, ale o ludzi, którzy uwierzą w ten zamach” - Aleksander Smolar w TVN, 18 kwietnia 2012 roku.*

*„Podziemie i jego różni polityczni kontrahenci to już nie obolałe dusze, zafascynowane „czystą demokracją” pięknoduchy czy wprowadzeni w błąd, niedoświadczeni ludzie. To najczęściej wysługująca się obcym, przez nich inspirowana i zasilana polityczna agentura. Dziś zarówno szkodliwość, jak i beznadziejność tego postępowania stają się coraz bardziej oczywiste.” W. Jaruzelski referat Komitetu Centralnego na X Zjazd PZPR, 29 czerwca 1986 roku.*

*„Apelujemy o to, aby organa bezpieczeństwa, organa, które zajmują się porządkiem prawnym, przyjrzały się temu, co czynią liderzy PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele” - poseł PO Andrzej Halicki podczas konferencji prasowej w Sejmie w dn.19 kwietnia 2012 roku.*

*„Jesteśmy tolerancyjni wobec poglądów i opinii, nawet niesłusznych i krzywdzących. Te można zawsze sprostować i wyjaśnić. Nikt u nas nie jest i nie będzie represjonowany za przekonania. Dziś toczy się walka o przyszłość Polski, o to, czy uda się nadrobić opóźnienia, zapobiec groźbie trwałego pozostawania w tyle, o odzyskanie naszego miejsca w świecie, o sprostanie wyzwaniom współczesności. Dlatego też wobec działań szkodzących Polsce nie możemy być i nie będziemy pobłażliwi.” – W. Jaruzelski referat Komitetu Centralnego na X Zjazd PZPR, 29 czerwca 1986 roku.*

*„To, co mówią politycy PiS, jest haniebne. Prokuratura powinna wyciągnąć z tego wnioski i stawiać zarzuty, kiedy łamane jest prawo. A kłamstwo i agresja w słowach polityków PiS jest łamaniem prawa i tym powinny zająć się państwowe służby „ - Grzegorz Schetyński w Radiu Zet ,19 kwietnia 2012 r.*

*„Nie da się przestonąć widocznego na co dzień „gołym okiem” zanarchizowania i rozwydrzenia. Godzi ono w porządek publiczny, ale w pierwszym rządzie godzi w spokój, w poczucie bezpieczeństwa każdego obywatela. Zagwarantowanie tego spokoju jest obowiązkiem władzy. Obowiązkiem społeczeństwa jest tym działaniom sprzyjać, docenić i uszanować niełatwy milicyjny trud.” – W. Jaruzelski, przemówienie na XI Plenum KC PZPR 10 czerwca 1981*

## MAJ 2012.

czwartek, 3 maja 2012

### 691. JAK WYGRAĆ BOJKOT?

Histeria wokół „bojkotu EURO na Ukrainie” zdaje sięgać zenitu. Atmosferę podgrzało oświadczenie prezesa PiS-u, w którym czytamy, że partia opozycyjna „opowiada się za bojkotem rozgrywanych na Ukrainie meczy mistrzostw Europy w piłce nożnej oraz za dalszą presją na władze ukraińskie”.

Do akcji natychmiast wkroczyli dziennikarze – jak zawsze bezkompromisowi w ostrej krytyce elit politycznych - spod znaku opozycji.

Wy tłumaczono nam zatem, że „Kaczyński popycha Ukrainę w stronę Moskwy”, a nawołując do bojkotu turnieju wykazuje „polityczną głupotę”. Te – jakże odważne oceny - dowodzą życiowej „mądrości etapu” oraz doskonałej orientacji w aktualnych trendach politycznych.

Od czasu sejmowego wystąpienia Donalda Tuska doskonale wiemy, że politycy PiS-u są „opętani nienawiścią do własnego państwa i pogardą do oponentów” i od zawsze działali na rzecz moskiewskiego reżimu, tworząc wiernopoddańcze „adresy do cara” i podejmując „podłe działania, które kiedyś w dawnej historii Polski doprowadziły ją do upadku.”

Nie powinno zatem dziwić, że nawet w obecnej sytuacji, ludzie opozycji wspierają interesy Moskwy dążąc do politycznej izolacji Ukrainy i wpełnienia bohaterskiego Janukowycza w łapy płk Putina.

„Mądrość etapu” podpowiada nam, że tylko zgraje niemieckich kibiców, miliony puszek po piwie, uliczne bójki i stadionowe ryki – mogą ocalić kruchą suwerenność Ukrainy i mocą fluidów zachodniej demokracji wskrzeszą wśród jej mieszkańców pragnienie wolności. Nie ulega wątpliwości, że organizacja piłkarskiej imprezy w państwie „ułomnej demokracji” sprawi, że zamordysty i ludożercy poczują się zawstydzeni obecnością świątłych Europejczyków, natychmiast odstąpią od represji, pobić i morderstw, zaś do kolejnej uczty użyją pełnego kompletu sztuczków.

Z tej samej mądrości niezbitcie wynika, że poparcie dla turnieju piłki kopanej jest wyrazem pożądanego „postaw patriotycznych”, dowodzi istnienia „więzi narodowych” i przynależności do „kultury Zachodu”, zaś wierne kibicowanie polskiej drużynie urasta do rangi obowiązku i narodowej racji stanu.

Otóż - podzielam opinię o „politycznej głupocie” deklaracji złożonej przez szefa partii opozycyjnej.

Trzeba to oświadczenie umieścić na tym samym poziomie „politycznego pragmatyzmu”, jaki w październiku 1986 roku nakazał grupce samowolnych „autorytetów” apelować do rządu USA o zniesienie sankcji gospodarczych wobec pereelowskiej junty – co w rezultacie - otworzyło drogę do legalizacji bandyckiego systemu i przyspieszyło powstanie hybrydy zwanej III RP.

„Polityczna głupota” tego oświadczenia ma w sobie domieszkę groźnej schizofrenii i równie niebezpiecznej amnezji. Prowadzi bowiem do utrwalenia podwójnej, fałszywej miary, według której dzisiejsza III RP jawi się niczym państwo prawa i demokracji, zaś kraj Janukowycza wyrasta na skończony, kremlowski dominium. Zapomina przy tym o prawdziwych intencjach „mężów Zachodu”, którzy w głębokim poważaniu mają panią Tymoszenko i całą ukraińską opozycję i obdarza rząd Donalda Tuska rolą moralnego arbitra i politycznego suwerena.

Autorem oświadczenia jest polityk, który do niedawna twierdził, że „rząd Donalda Tuska zgodził się na znaczne ograniczenie suwerenności Polski”, mówił o potrzebie „rozpędzenia establishmentu na siedem wiatrów”, wieścił „koniec tych nikczemnych rządów”, zaś przed dwoma tygodniami przypominał o „polskiej liście hańby”, na której widnieją nazwiska polityków PO i ostrzegł, że „ta władza prawa nie przestrzega. Można powiedzieć nagminnie prawa nie przestrzega”.

Warto zatem zapytać: dlaczego ten sam polityk apeluje do obecnego rządu, by stał się on strażnikiem wolności i demokracji i zagroził bojkotem ukraińskiej części mistrzostw? Jak ów polityk może oczekiwać, że ludzie Platformy staną w obronie więzionej opozycjonistki lub okażą ostracyzm kremlowskiemu satrapie? Na jakiej podstawie rzecznik partii opozycyjnej oczekuje od rządu Donalda Tuska, że „wymusi na władzach Ukrainy europejskie standardy traktowania opozycji” – jeśli 22 kwietnia słyszeliśmy o traktowaniu nas jako „obywateli drugiej kategorii”?

Czyż to nie adresat apelu Jarosława Kaczyńskiego groził niedawno opozycji, że „żarty się kończą”? Czy to nie politycy tego ugrupowania mówili o „podżeganiu” Polaków do wystąpień publicznych i podsycaniu „retoryki wojennej”, czy nie wzywali „organów bezpieczeństwa” do rozprawy z opozycją za „podżeganie do przestępstwa”?

Przed trzema miesiącami zamieściłem na tym blogu tekst zatytułowany „BOJKOT- CZYLI JAK WYGRAĆ EURO DLA POLSKI”. Nim bezkompromisowy dziennikarz Salonu 24 zdołał ukryć ten tekst, wywołał on dość wściekłych reakcji i wrzasków ze strony platformianych patriotów. Głosy te stanowiły dostateczny dowód, że ludzie zaczadzeni obecną władzą - nawet przy swoich intelektualnych ograniczeniach – trafnie dostrzegają, jakie zachowania opozycji byłby zabójcze dla tego rządu i mogły przyspieszyć jego upadek.

Szczególną wściekłość wywołały te słowa:

*„Nie istnieją żadne, racjonalne przesłanki, by środowiska opozycyjne wobec tego rządu i zainteresowane jego upadkiem, wspierały propagandowy humbug – a tym samym - uwiarygodniały grupę skompromitowanych nieudaczników. Nie ma też najmniejszych powodów, by utożsamiać interes Polaków z celami grupy rządzącej lub łączyć sukces propagandowy EURO z korzyściami dla społeczeństwa. Myślenie w kategoriach My-Oni jest najbardziej właściwym i wspartym o realia sposobem postrzegania tej grupy.[...]*

*Jestem przekonany, że jedyną sensowną i wręcz naturalną postawą wobec tej propagandowej hucpy, jest jej całkowity bojkot – w każdej, dozwolonej prawem formie. Bojkot prowadzący do odrzucenia przekazu ośrodków propagandy i ostentacyjnej obojętności wobec wszystkiego co dotyczy Euro2012.*

*Jeśli opozycja nie ulęknie się medialnych terrorystów i znajdzie dość odwagi, by przejść od słów do czynów – EURO stwarza idealną okazję, by opinia światowa dowiedziała się prawdy o polskiej rzeczywistości i poznała nasze najgłębsze problemy. Ten czas trzeba wykorzystać dla informowania mediów światowych o sytuacji związanej ze śledztwem smoleńskim, do wykazania kłamstw moskiewsko-warszawskiej propagandy, do zwrócenia uwagi na liczne przypadki łamania i ograniczania praw obywatelskich. Stwarza on jedyną okazję, gdy otwarcie i bez załganych pośredników będziemy mogli pokazać prawdziwą twarz „liberalnych” przywódców i zwrócić uwagę na ich haniebne dokonania.*

*W czasie, gdy oczy milionów ludzi będą zwrócone na Polskę, należałoby oczekiwać twardych i jednoznacznych wystąpień środowisk opozycyjnych, w tym organizowania manifestacji i konferencji prasowych, z jednym, fundamentalnym żądaniem - ustąpienia grupy rządzącej. Istnieje potrzeba, by media opozycyjne wobec władzy stały się wówczas miejscem informowania opinii światowej o tym, co faktycznie wydarzyło się w czasie rządów PO-PSL, by potrafiły pokazać tragiczny bilans tych lat i obraz III RP – odarty z propagandowej osłony.”*

Czas, jaki upłynął od publikacji tego tekstu utwierdził mnie w przekonaniu, że wezwanie do bojkotu propagandowej imprezy, powinno stać się obowiązkiem systemowej opozycji.

Nie w imię partyjnych lub partykularnych geszeftów – ale zwyczajnie – dla Polski. Kwietniowe wydarzenia, związane z obchodami drugiej rocznicy tragedii smoleńskiej, dobitnie wykazały, jak głębokie są dziś podziały i jak nieprzekraczalna otchłań oddziela nas od ludzi z grupy rządzącej. Zасыpywanie jej - w imię „politycznego pragmatyzmu” – jest więcej niż głupotą, za którą opozycja i jej zwolennicy mogą zapłacić wysoką cenę.

Należałoby oczekiwać, że nim Jarosław Kaczyński zechce włączyć PiS w żalosną farsę „bojkotu EURO na Ukrainie” i odegra rolę statysty w rosyjsko-niemieckim teatrze cieni - zadba wpięrow o interesy własnego elektoratu i wykorzysta szansę, jaką stwarza bojkot EURO w Polsce.

poniedziałek, 14 maja 2012

## 692. HISTORIA DLA IDIOTÓW I PROSTACZKÓW

Od chwili powstania rządu PO-PSL byliśmy świadkami, jak przy pomocy gróźb, szantażu i nacisków próbowano ograniczyć autonomię Instytutu Pamięci Narodowej. Pretekstem do rozprawy z IPN stała się już publikacja Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka na temat Wałęsy, zaś prawdziwą histerię wywołała książka Pawła Zyzaka, wydana przez prywatną oficynę. To wówczas środowisko tzw. intelektualistów skupionych wokół „Gazety Wyborczej” wyprodukowało bełkotliwy „list w obronie Wałęsy”, w którym historyków IPN- u nazwano „policjantami pamięci” „gwałcicielami prawdy” i ludźmi szkodzącymi Polsce.

Prawdziwych przyczyn niechęci wobec instytucji pamięci narodowej należało jednak poszukiwać w innym obszarze. U podstaw tego stosunku leżała bowiem ideologia odziedziczona po władcach PRL-u, która na indeksie dziedzin politycznie niepewnych i podejrzanych stawiała nauki historyczne. Podobnie, jak komuniści zdawali sobie sprawę z groźby, jaką dla ich systemu zakłamania niosła prawda historyczna – tak ludzie tworzący III RP musieli upatrywać zagrożenie dla swoich interesów w działalności niezależnej instytucji historycznej.

Niemal każda publikacja Instytutu dotycząca historii najnowszej, zadawała kłam systemowej wizji tego państwa uświadamiając Polakom, że powstało ono w procesie gigantycznej operacji komunistycznych służb i zostało zbudowane na relacjach agenturalnych. Zagrożenie stwarzała działalność Biura Lustracyjnego i publikacja katalogów zawierających dane osobowe współpracowników bezpieki, groźna dla grupy rządzącej była aktywność wydawnicza i edukacyjna Instytutu oraz liczne śledztwa prowadzone przez pion śledczy.

*„Apeluję do pracowników IPN, aby nie nadużywali środków publicznych, bo nie będą mogli ich w przyszłości używać (...). IPN ma szansę przetrwać tylko pod warunkiem, że będzie instytucją ideologicznie i politycznie neutralną” – groził w marcu 2009 Donald Tusk.*

Kilka miesięcy później, członkowie Kolegium IPN informowali, że postawiono im ultimatum: „Albo dr hab. Janusz Kurtyka zostanie przez Kolegium odwołany z funkcji prezesa IPN, albo ustawa zostanie znowelizowana w celu zmiany składu Kolegium”.

Przez kilkanaście miesięcy poznawaliśmy kolejne projekty nowelizacji ustawy o IPN. Każdy z nich zmierzał do ograniczenia suwerenności Instytutu i poddania go politycznej kontroli.

Obecna władza nie ukrywała, że zmiana na stanowisku prezesa (powołanego w 2005 roku głosami posłów PO) ma prowadzić do podporządkowania Instytutu, zaś regulacje dotyczące dostępu do materiałów archiwalnych służą ochronie interesów funkcjonariuszy SB i tajnych współpracowników bezpieki.

Ponieważ groźby okazały się nieskuteczne, zaś Kolegium Instytutu nie ugięło się przed szantażem - przystąpiono do definitywnego rozwiązania problemu.

Trzy tygodnie przed tragedią smoleńską Sejm, głosami posłów PO-PSL-SLD, znowelizował ustawę o Instytucie Pamięci Narodowej konstruując przepisy noweli w taki sposób, by bez problemu móc odwołać szefa IPN-u zwykłą większością głosów. Jego kompetencje scedowano na rzecz Rady, formowanej pod dyktando władz największych polskich uczelni. Odtąd członkami rady IPN mogli zostać tylko doktorzy historii, prawa lub nauk społecznych. Włączenie w proces wyłaniania władz Instytutu środowisk uniwersyteckich można było tłumaczyć tylko skrajną niechęcią, jaką polskie uniwersytety wykazują wobec lustracji. Nowelizacja pozwalała zatem, by zespoły uczelniane wyłaniające kandydatów do Rady IPN same nie musiały poddawać się lustracji.

Ostateczny projekt noweli zawierał zapisy, które miały doprowadzić do politycznego zawłaszczenia IPN-u, pozbawienia go roli śledczej i edukacyjnej oraz zakończenia procesu lustracji i odkrywania tajemnic najnowszej historii. Trafnie wówczas uznano, że doszło do „cichej likwidacji IPN”, a dzień przyjęcia ustawy był „dniem hańby PO”.

Hańby tym większej, że jeszcze przed kilkoma laty, lider PO kreował się na obrońcę Instytutu i rzecznika odkrywania komunistycznej przeszłości. „*Trzeba najpierw, twardo postulować rozwijanie działalności Instytutu Pamięci Narodowej. Jeśli ktoś dzisiaj kwestionuje sens bardzo gruntownych badań nad najnowszą historią, także w kontekście oskarżania komunizmu jako systemu, to albo ma złą wolę, albo nic nie rozumie. To babrzenie się w historii, także lustracyjne, bywa przykre, ale absolutnie niezbędne*” – perorował przed laty Donald Tusk w wywiadzie dla „Przekroju” („Strach na całe zło” 45/46/2004) i dodawał:

„Mam wrażenie, że jesteście o krok od tego, aby uznać, że filozofia „Gazety Wyborczej” i części obozu politycznego, filozofia krytykująca te działania, poniosła absolutną klęskę”.

W III RP niewiele było ustaw, których wprowadzenie może mieć równie katastrofalne następstwa. W państwie, którego obywatele nie posiadają elementarnej wiedzy historycznej, zbudowanym na patologicznych relacjach agenturalnych; w państwie, w którym przez pół wieku niszczone pamięć o dziejach narodu i w którym istnieją wpływy grupy interesów sprzecznych z polskimi - pozbawienie społeczeństwa możliwości poznania własnej historii, urasta do miana zbrodni na narodzie. Przyjęcie tej nowelizacji miało bowiem prowadzić nie tylko do uśmiercenia idei IPN-u i upolitycznienia nauk historycznych, ale w perspektywie najbliższych lat – do kolejnej kampanii fałszowania narodowej pamięci.

Zmarły przed kilkoma laty profesor Paweł Wieczorkiewicz mówił o historii prawdziwej, skrytej za kulisami i - tej medialnej, fasadowej - historii „dla idiotów lub prostaczków”, którzy wierzą w to, co widzą w telewizji i czytają w gazetach. Taką wersję historii zaproponowali Polakom politycy PO, ograniczając lekcje tego przedmiotu w szkołach, niszcząc autonomię badań historycznych, blokując dostęp do archiwów i czyniąc z niezależnej instytucji enklawę obrońców agentury i przeciwników sanacji życia publicznego.

Wydany przed kilkoma dniami nowy periodyk IPN-u, zatytułowany "Pamięć.pl" spotkał się z zasadną krytyką wielu publicystów i historyków, w tym Sławomira Cenckiewicza, który na portalu wPolityce.pl napisał wprost, że nazwę tego pisma należałoby zmienić „na bardziej adekwatną: PAMIĘĆ.PRL.”

Ta publikacja, mająca ambicje zastąpienia dobrego „Biuletynu IPN” nie jest jednak ani „wypadkiem przy pracy” ani rodzajem „nieudanej wprawki młodych badaczy związanych z IPN”. Stanowi wręcz sztandarowy produkt obecnego Instytutu i jest efektem świadomej, politycznej „reorientacji” dokonanej przez piewców „historii dla idiotów”. Kierunek tych zmian był widoczny wkrótce po powołaniu nowej Rady IPN, lecz za jeden z najmocniejszych akcentów należałoby uznać przyjęcie przez obecnego prezesa Instytutu Łukasza Kamińskiego członkostwa w Międzynarodowej Radzie Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia – instytucji kontynuującej tradycje TPPR -u i powołanej po tragedii smoleńskiej dla zadekretowania „przyjaźni” polsko-rosyjskiej. To tam prowadzi się dziś debaty nt. „Dokąd zmierza Rosja?”, w których prym wiodą pracownicy „Gazety Wyborczej” wraz z ich redaktorem naczelnym.

Jeśli zatem Sławomir Cenckiewicz słusznie przypomina, że na czele nowego czasopisma IPN stanął Andrzej Brzozowski – „człowiek, który w swoim podręczniku z pamięci historycznej uczynił karykaturę, a z „Gazety Wyborczej” stworzył „znak czasu” – dziennik pocztyński od „Rzeczpospolitej” i „atrakcyjny dla szerokiej publiczności”, do nauk historycznych wprowadził pojęcie „wojny na teczki”, którą wywołał Antoni Macierewicz, a Bronisława Wildsteina oskarżył o to, że „nie podał informacji, kto ze znajdujących się na liście był świadomym współpracownikiem, kto zaś był tylko inwigilowany” – nie jest to dziełem przypadku. Mamy bowiem do czynienia z tak cynicznym i rozmyślnym procesem niszczenia pamięci historycznej, że tylko ludzie pokroju Donalda Tuska byli zdolni go zainicjować i tylko ludzie uznający „Gazetę Wyborczą” za dobry „znak czasu”, mogą go skutecznie przeprowadzić

piątek, 18 maja 2012

### 693. JAKA NIEZALEŻNOŚĆ.

Niemal każdy, kto obserwuje życie publiczne w III RP ma świadomość, że przestrzeń medialna jest zalewana rozlicznymi tematami zastępczymi. Tylko w ostatnim czasie można było wskazać co najmniej kilka spraw, których rozmyślne nagłaśnianie posłużyło do odwrócenia uwagi Polaków od rzeczy prawdziwie istotnych. Począwszy od epatowania opinii publicznej sprawą zabójstwa dziecka, po celebrowanie wrzasków i bełkotu przedstawicieli grupy rządzącej. To ostatnie narzędzie bywa wykorzystywane coraz chętniej – szczególnie od chwili, gdy rządowi propagandyści dostrzegli, jak wyreżyszerowane wystąpienia Tuska bądź błazenada posła na P. wywołują nerwowe reakcje wśród publicystów i polityków opozycji.

W ten sposób umiejętnie zwekslowano treść uchwały PiS-u dotyczącą zwrotu przez Rosję dowodów katastrofy smoleńskiej (a szerzej – sprawy związane z obchodami drugiej rocznicy tragedii) czy temat ustawy emerytalnej, zastępując je nagłaśnianiem występów Tuska i bluzgów posła na P. Te dość łatwe i prostackie zabiegi socjotechniczne będą stosowane w przyszłości, bo nie przynoszą grupie rządzącej żadnych szkód, skutecznie za to absorbują uwagę społeczeństwa i rozpalają emocje opozycji.

Pozwalają również na bezpieczne sondowanie reakcji oraz pokonywanie kolejnych barier akceptacji dla chamstwa i głupoty. Dla rządowych propagandystów i ich medialnych pomagierów, badanie kwestii: jak dalece schamiałoby polskie społeczeństwo i jak bardzo przypomina bezwolny motłoch – musi stanowić fascynującą zabawę.

W tym samym czasie, gdy uwagę Polaków rozpalają słowa wynajętych klakierów - w zaciszu gabinetów handluje się koncesjami na polskie łupki, planuje ofensywę Gazpromu czy przygotowuje wdrożenie systemu Indect służącego inwigilacji obywateli.

Gdy większość z nas pasjonuje się roztrząsaniem bulgotu furiata – wprowadza się ustawę o zasadach małego ruchu granicznego z Rosją i bez rozgłosu otwiera kilkadziesiąt centrów wizowych, skazując nasz kraj na rolę rosyjskiej „wycieraczki” - państwa tranzytowego. Spektakl posła na N. został zręcznie wykorzystany do zaciemnienia skutków ustawy emerytalnej i planów wprowadzenia podatku dochodowego oraz posłużył do ukrycia zamachu na kolejną instytucję historyczną.

Dzięki nagłaśnianiu tych incydentów, na plan dalszy zeszyła także sprawa włamania do telefonu prezydenta Kaczyńskiego i kłamstw rządu na temat „blokowania kart SIM” czy niezwykle ważne wnioski wynikające z raportu dr Grzegorza Szuladzińskiego o wewnętrznej eksplozji w tupolewie.

W ostatnich 4-5 latach można byłoby znaleźć pewnie z kilkadziesiąt zdarzeń, o których Polacy nie usłyszeli tylko dlatego, że zasypano je tematami zastępczymi i obłożono kłętą milczenia, a jeśli nawet opozycja próbowała je wydobyć – zakrzyczano jej głos zgłębkiem medialnych błaznów. Za rezygnację z drażenia tematów: afery marszałkowej, umowy gazowej z Rosją, ustawy o IPN, poszerzania uprawnień specstłużb czy reaktywacji układu byłych WSI –do dziś płacimy bolesną cenę.

Wprawdzie większość z nas deklaruje znajomość tych mechanizmów lub zapewnia o nabytej odporności, to nietrudno zauważyć, że wraz z pojawieniem się kolejnego substytutu – gra zaczyna się od początku. Sprzyjają temu zachowania polityków opozycji, którzy chętnie podejmują tematy zastępcze i brylują w programach propagandowych.

Tymczasem lektura 156 tekstu na temat chamstwa Palikota, komentarz do bełkotu Tuska czy opis gulgotania posła na N. – zapewne wzbudzają emocje, zaprzętają uwagę, a nawet mobilizują elektorat wokół słusznego oburzenia – jednak nawet na krok nie zbliżają nas do pokonania przeciwnika. Gdyby było inaczej, kilkuletni spektakl igrasztw, podłości i chamstwa w wykonaniu ludzi PO dawno już zmiotłby ich z życia publicznego. Jeśli zachowania tych postaci podlegałyby ocenom moralnym, a Polacy byłiby zdolni do dokonania takich ocen – rządy PO-PSL skończyłyby się z dniem 10 kwietnia 2010 roku.

Jakkolwiek trudno zaakceptować ten fakt, to polskie społeczeństwo nie wymaga od grupy rządzącej ani „standardów demokratycznych” ani nawet elementarnej uczciwości. Odwoływanie się do tych wartości – w odniesieniu do postaci PO – musi brzmieć co najmniej infantylnie. Szczególnie po tragedii z 10 kwietnia i ujawnionych obecnie patologiami. Zasada: kto ma media, ten ma władzę – dopełnia obrazu kłęski, bo o wyborach dokonywanych przez Polaków i ich zainteresowaniach decydują wyłącznie mali demiurzy, zaś wiara w pokonanie tego mechanizmu poprzez uczestnictwo w nagłaśnianiu bredni, przypomina obłądną taktykę potyczek na terytorium kontrolowanym przez wroga, zamiast wymuszenia walki na własnym terenie. Można sobie roić o skuteczności erystyki bądź uprawnianiu makiawelizmu, ale nie wolno zapominać, że o ostatecznym przekazie decyduje ten, do kogo media należą i czyje interesy reprezentują.

Tematy zastępcze, w tym rozpamiętywanie reakcji ludzi PO nie dostarczają nam żadnej wiedzy o polskiej rzeczywistości, nie pokazują niczego, o czym byśmy już nie wiedzieli. Dlaczego więc miałyby mnie poruszać jakkolwiek haniebne słowa Tuska skoro wiem, że wypowiada je tchórz uciekający przed odpowiedzialnością? Czym zadziwi mnie poseł na N., gdy mam świadomość, że chamstwo jest metodą prostaków na ukrycie histerycznego lęku?

Nie czuliśmy się przecież zaskoczeni peerelowską rzeczywistością, w której partyjny funk łągał, a esbek sięgał po pałkę. Skąd zatem zdziwienie u tych, którzy dostrzegają powrót do relacji z tamtego okresu i rosnące przerażenie władzy?

Zachowanie racjonalnej postawy wobec takich zachowań – przyjmujących dziś formę tematów zastępczych - nie może oczywiście prowadzić do ich akceptacji lub lekceważenia chamstwa i podłości. Nie sądzę jednak, by istniała potrzeba czynienia z nich motywów godnych wielodniowych akcji i absorbowania uwagi Polaków.

Tym bardziej, jeśli w tym samym czasie dzieją się rzeczy istotne. Gdy odbiorcy przekazu medialnego pochłonięci byli śledzeniem wypowiedzi kilku pajaców, miały miejsce dwa ważne wydarzenia: Kongres Mediów Niezależnych i Kongres Polska Wielki Projekt. Oba zostały zgodnie przemilczane przez ośrodki propagandy – co dziwić nie może. Niestety, również media niezależne nie poświęciły obu kongresom wiele uwagi, choć były to wydarzenia, których przekaz należało mocno nagłaśniać i mówić o nich przez kilka dni.

Nie tylko ze względu na doskonałe wystąpienia uczestników i treści prezentowane podczas obrad, ale przede wszystkim dlatego, że były to inicjatywy niezależne od dyktatu władzy, a ze względu na tematykę pozwalały podjąć próbę przełamania monopolu tematów zastępczych. Jeśli w trakcie takich wydarzeń serwuje się głównie doniesienia o zachowaniach ludzi PO i po raz setny roztrząsa atak posła na N. – odbiorcy mają prawo sądzić, że również środowiska opozycyjne nie przywiązują do nich większej wagi.

Decydujące znaczenie ma zapewne fakt, że łatwiej jest nagłaśniać sprawy wywołujące najprostsze emocje niż rzeczowo napisać o tym, co działo się podczas kongresów i co z nich wynika dla Polski. Prościej też epatować kolejnym aktem słowotoku niż zwrócić uwagę na groźne następstwa ustawy lub dostrzec ukryte intencje władzy. Takie tematy nie tylko nie wyglądają atrakcyjnie i nie zapewniają poczytnego newsu, ale wymagają samodzielnych poszukiwań i niezależności od ośrodków propagandy.

Na przestrzeni ostatniego roku można wskazać co najmniej kilkanaście wydarzeń, które zostały szybko porzucone przez niezależne media na rzecz powielania bieżącej sieczki i tematów zastępczych. Począwszy od listu w sprawach polityki zagranicznej, treści Białej Księgi parlamentarnego Zespołu PiS ds. zbadania katastrofy smoleńskiej i sprawy inwigilacji prezydenta Kaczyńskiego, po prezentację „Raportu o stanie Rzeczypospolitej” (zastąpionego tematem „ślaskości” i rzekomego nacjonalizmu partii opozycyjnej) czy wysłuchania publicznego w Brukseli.

Ile wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, wystąpień Antoniego Macierewicza bądź inicjatyw środowisk opozycyjnych zostało zasypanych natychmiastową kontrą tematów zastępczych i było niewykorzystanych przez niezależne media? O ilu działaniach Komorowskiego i groźnych posunięciach rządu nie powiedziano Polakom tylko dlatego, że w tym samym czasie ośrodki propagandy rozgrywały kolejną kampanię dezinformacji?

Jeśli niezależność ma znaczyć cokolwiek poza „byciem w opozycji” i prowadzić nas do odkrywania prawdy - powinna zaczynać się od samodzielnego myślenia i autonomii w sferze informacji. Oznacza to kierowanie uwagi tam, gdzie dostrzegamy sprawy dla nas najważniejsze i potrafimy je ocenić w perspektywie pewnego systemu wartości, ale też według własnych potrzeb i celów.

Niezależność oznacza zatem podejmowanie takich tematów, które my uznajemy za ważne - nie zaś tych, które narzucają nam ośrodki propagandy lub politycy grupy rządzącej.

Podczas Kongresu Mediów Niezależnych Krzysztof Czabański stwierdził: „*My chcemy grupować media, które szukają jakiejś prawdy o rzeczywistości, nawet jeżeli się mylą i błędzą*”. Trzeba więc zapytać: skoro media III RP nie przynoszą tej elementarnej prawdy – czy wolno nam korzystać z ich przekazu, a nawet powielać go w tych nielicznych miejscach gdzie istnieje jeszcze wymiana wolnej myśli? Gdybyśmy normę prawdy przyjęli jako wyznacznik pracy dziennikarskiej – gdzie usytuować większość publikacji mainstreamu i wytwory telewizyjnych „gwiazdek”? Przywiązywanie do nich wagi jest równie rozsądne, jak obdarzanie ludzi władzy przymiotami honoru.

Konsekwencją tej wypowiedzi, jak i całej koncepcji tworzenia wolnych mediów byłby postulat odrzucenia przekazu ośrodków propagandy i próba samodzielnej oceny rzeczywistości. Takiego postulatu nie postawiono jednak podczas Kongresu, choć dopiero on byłby podstawą do poważnej rozmowy o niezależności.

Jest dla mnie oczywiste, że kto chce tworzyć niezależne media, musi wpiąć się od podległości informacyjnej i zdobyć na własny głos. Niezależność to również zdolność do dokonywania wyboru i podejmowania zmagania z narzuconymi schematami. Nie jest zatem wartością dostępną dla wszystkich, bo wymaga dojrzałości, głębokiej wiedzy o świecie i odwagi w formułowaniu własnych ocen.

Budowanie "wolnych mediów" tylko w kontrakcji z przekazem ośrodków propagandy, komentowanie tego co inni zrobili, powiedzieli lub napisali, bierność uczestnictwo w medialnych spektaklach czy podgrzewanie nastrojów bez cienia głębszej refleksji - nie ma nic wspólnego z niezależnością

poniedziałek, 21 maja 2012

## 694. WEJDA

Tradycyjnie już, sprawy najważniejsze dla Polaków dokonują się w cieniu tematów zastępczych. Rozgrywanie ich decyduje dziś nie tylko o sukcesach propagandowych grupy rządzącej, ale pozwala na bezpieczne – czyli dokonywane bez naszej wiedzy – przeprowadzenie kolejnych aktów kapitulacji państwa.

Szczęśliwie są środowiska uodpornione na ten prosty zabieg socjologiczny i doskonale zorientowane w polskich realiach. Trzeba było zatem sięgnąć do informacji kremlowskiej tuby propagandowej - „Głosu Rosji”, by dowiedzieć się, że w czasie najbliższych 6 miesięcy powstanie w Rosji 38 punktów wizowych wydających obywatelom FR zezwolenia na wjazd do Polski. Pierwszy z nich otwarto już w Moskwie przy prospekcie marszałka Żukowa. W ceremonii otwarcia wziął udział ambasador RP w Moskwie Wojciech Zajęczkowski oraz pracownicy MSZ Rosji.

Powstanie „centrów wizowych” jest zwieńczeniem wielomiesięcznych dążeń rządu Donalda Tuska do szerokiego otwarcia polskiej granicy z obwodem kaliningradzkim. W czasie, gdy uwagę polskiej opinii publicznej zaprzętały kolejne występy dyżurnych błaznów i klakierów, w dniu 11 maja br. weszła w życie ustawa o zasadach małego ruchu granicznego z Rosją, pozwalająca na przekraczanie granicy polsko-rosyjskiej przez mieszkańców tzw. strefy przygranicznej.

Ten rosyjsko-niemiecki projekt był najmocniej forsowanym zadaniem polskiej dyplomacji, czyniąc z niej de facto rosyjskiego „konia trojańskiego”. Pomysł był aktywnie wspierany przez związek „wypędzonych” z Prus Wschodnich i należał do priorytetów polityki Angeli Merkel i rosyjskich przywódców.

Po pozorem dokonania „ożywienia społecznego, kulturalnego oraz gospodarczego, głównie w branży handlowej i usługowej” przez blisko dwa lata realizowano plan zmierzający do uczynienia z obwodu kaliningradzkiego „rosyjskich drzwi do Europy”, poprzez które Rosjanie wejdą w obszar polityki gospodarczej UE, a ich przedsiębiorcy uzyskają unijne fundusze.

Tuż przed tragedią smoleńską, 24 marca 2010 roku szefowie MSZ Polski i Rosji wspólnie wystąpili do Komisji Europejskiej o wyrażenie zgody, by ruch przygranicznych objął cały obwód kaliningradzki. Osiągnięcie tego celu wydawało się nielatte, ponieważ wynegocjowana kilka miesięcy później polsko-rosyjska umowa była od początku sprzeczna z prawem unijnym. Zakłada ono, że państwa UE mogą zawierać umowy dotyczące zewnętrznych granic lądowych, w których szerokość pasa przygranicznego wynosi od 30 do 50 km, podczas gdy obwód kaliningradzki rozciąga się z północy na południe na odległość ponad 100 km. Dla polskiej umowy, przewidującej objęcie ruchem bezwizowym całego obwodu, uzyskano zatem odrębną regulację. Sprawa należała do priorytetów tzw. polskiej prezydencji i obok wpełnienia Rosji do Światowej Organizacji Handlu stanowiła podstawowy sukces dyplomacji ministra Sikorskiego.

14 grudnia 2011 podpisano umowę o małym ruchu granicznym, którą minister spraw zagranicznych Rosji nazwał „*zwiadunem ruchu bezwizowego z całą UE*”. Dzień później rosyjski szef obrony Serdiukow w szczególny sposób podziękował „polskim przyjaciółom” za ich dwuletnie starania, grożąc, że „*jeśli tylko w Polsce pojawią się jakieś elementy amerykańskiej obrony antyrakietowej, to my podejmiemy adekwatne środki w odpowiedzi. Rosja nie dopuści do naruszenia strategicznej równowagi, do czego doprowadzą działania naszych zachodnich partnerów*”. Odpowiedzią na polskie zabiegi była także decyzja prezydenta Miedwiediewa z listopada ub.r. o rozmieszczeniu w obwodzie kaliningradzkim – najbardziej zmilitaryzowanym miejscu na kuli ziemskiej - baterii rakiet Iskander, wymierzonych w cele na terytorium III RP oraz radaru nowej generacji Woroneż-DM, który pozwala śledzić ruch w przestrzeni powietrznej na odległość do 6 tys. km. Zapowiedziano także umieszczenie w obwodzie systemów rakietowych czwartej generacji typu ziemia – powietrze S-400 Triumf.

Nawet najbardziej wrogie działania strony rosyjskiej nie zahamowały procesu wyważania „drzwi do Europy”. Projekt umowy granicznej wpłynął do Sejmu 13 lutego 2012 r., pierwsze czytanie odbyło się już 29 lutego, drugie zaś 14 marca br. Ustawę przyjęto w błyskawicznym tempie, bo już 16 marca, zaś Bronisław Komorowski podpisał ją kilkanaście dni później.

Nie powinien dziwić, że grupa rządząca ukrywa przed nami ten błyskotliwy sukces i nie nadaje otwarciu granicy z Rosją należytej oprawy propagandowej. Przemilcza się w ten sposób nie tylko zagrożenia płynące z napływu „biznesmenów” spod znaku FSB i grup przedsiębiorczych reketierów oddelegowanych na „odcinek polski”. Nie mówi się o tym, że region kaliningradzki należy do rekordzistów pod względem najgroźniejszej przestępczości, przoduje w liczbie zachorowań na gruźlicę, AIDS i choroby weneryczne. Jest głównym ośrodkiem przemoty narkotyków i miejscem największej korupcji. Warunki życia w obwodzie sprawiają, że mężczyźni dożywają tam średnio 59 lat, co stanowi jedną z najniższych przeciętnych na świecie. Przed kilku laty Aleksander Kulikow informował w regionalnej Dumie, że w Kaliningradzie „*przestępcy kontrolują 60 proc. państwowych instytucji, 80 proc. banków i większość prywatnych przedsiębiorstw, a obroty tych firm wzrosły w ciągu pięciu lat aż siedemnastokrotnie*”.

Jest oczywiste, że otwarcie granicy z obwodem (a w praktyce z całym obszarem Rosji) spowoduje napływy tych zagrożeń - nie tylko na tereny przygraniczne.

Uwagę zwraca przede wszystkim rażąca niesymetryczność działań polskiej dyplomacji w stosunku do wrogich poczynań strony rosyjskiej. Otwarcia granicy z FR dokonano rękami polityków obecnego rządu, nie wymagając od Rosji żadnych ustępstw ani nawet wzajemności w życzliwym traktowaniu polskich interesów.

Najpoważniejsze zagrożenie wynika jednak z historycznych konsekwencji tego kroku. Można się spodziewać, że staną się one widoczne w czasie kilku, najdalej kilkunastu lat. Zgoda rządu III RP na budowanie politycznej koncepcji Prus Wschodnich jest aktem samobójczym i głęboko sprzecznym z naszymi interesami. Polsce wyznaczono rolę państwa tranzytowego, wręcz - „europejskiej wycieraczki” - po której rzesze Rosjan wejdą do Europy, a nad głowami Polaków zostanie zawiązany antypolski sojusz Moskwy i Berlina.

środa, 23 maja 2012

## 695. SŁUŻBY WOKÓŁ SMOLEŃSKA

Gdybyśmy mieli wskazać scenę, która być może najtrafniej charakteryzuje postawę służb specjalnych wobec tragedii smoleńskiej, należałoby otworzyć książkę Leszka Misiaka i Grzegorza Wierchołowskiego zatytułowaną „Musieli zginąć” i przeczytać opisy dwóch wydarzeń. Pierwsze dotyczy zachowań funkcjonariuszy BOR-u, wysłanych przed 10 kwietnia do Smoleńska, by chronili prezydenta Polski. Autorzy książki cytują słowa jednego z funkcjonariuszy BOR: *„Poprzedniego dnia w hotelu ostro popili z Rosjanami. Cały BOR o tym mówił zaraz po tragedii, podobnie jak o autach dla prezydentów – że kolumny samochodowej dla głowy państwa nie podstawiono. Jeden z chłopaków ma – jak sądzę jego zachowanie w różnych sytuacjach – problemy z alkoholem. Dziwne, że go wysłano do Smoleńska”*.

Druga ze scen miała miejsce dzień po tragedii smoleńskiej. Na stronie 183 książki można przeczytać: *„w siedzibie Służby Kontrwywiadu Wojskowego przy ul. Ocuki w Warszawie urządzono suto zakrapianą alkoholem imprezę. Jeden z szefów Biura Kadr SKW miał się upić do nieprzytomności. Tylko dwaj oficerowie nie chcieli w niej uczestniczyć, poszli pod Pałac Prezydencki oddać hołd poległym pod Smoleńskiem”*.

Wspólne libacje z kagebistami czy impreza zorganizowana dzień po tragedii, w czas narodowej żałoby – mogą szokować tylko tych, którzy żyją w przeświadczeniu, że służby III RP są profesjonalnymi formacjami wolnego państwa i zajmują się sprawami naszego bezpieczeństwa. Gdyby taka opinia była choć w części uzasadniona – nie żylibyśmy dziś w stanie całkowitej kapitulacji i nie musieli znosić ciosów i upokorzeń ze strony reżimu pułkownika Putina.

Jeśli 10 kwietnia 2010 roku doszło do tragicznego zdarzenia, które totalnie obezwładniło i skompromitowało cały system bezpieczeństwa, a w wyniku tego zdarzenia państwo polskie dobrowolnie wyrzekło się części swoich zewnętrznych prerogatyw oraz zrezygnowało z istotnych składników suwerenności – stało się tak, ponieważ III RP już na początku swojej drogi została pozbawiona profesjonalnych i propaństwowych służb.

Na mocy paktu komunistycznych kacyków z wyselekcjonowaną opozycją zastąpiono je zgrają pospolitych sowieciarzy z przestępczych organizacji zwanych „służbami PRL”, a nadając tym organizacjom nowe szyldy, kazano Polakom wierzyć, że zyskali służby specjalne wolnego i niepodległego państwa.

Tymczasem służby te stanowiły integralny element megasłużb sowieckich i nigdy nie posiadały autonomii działania. Były zaledwie ekspozyturą służb ZSRR na obszar PRL-u, realizując wyłącznie interesy okupanta i strzegąc władzy namiestników sowieckich. Działania ludzi policji politycznej PRL nie miały zatem nic wspólnego z zadaniami wywiadów wolnego świata. Nie obejmowały ochrony bezpieczeństwa państwa i obywateli i nie strzegły jego suwerenności. Ta „pierworodna skaza”, już na starcie III RP przesądziła o jakości i roli służb.

Ponieważ po roku 1989 szkoleniem nowych kadr zajmowali się wyłącznie funkcjonariusze bezpieki i oni również obsadzali kierownicze stanowiska w służbach- na działaniach agencji wywiadowczych i kontrwywiadowczych III RP ciąży nadal esbecki model funkcjonowania i związana z nim mentalność.

Pijacka komitywa z kagebistami czy urządzanie libacji w czasie największej żałoby narodowej wydaje się zatem czymś w pełni naturalnym dla ludzi służb III RP – wyrosłych z tradycji megasłużb sowieckich, kierowanych lub inspirowanych przez funkcjonariuszy podległych ongiś Moskwie. Od moralnej oceny tych sytuacji, ważniejsza jednak wydaje się opinia na temat działań służb w okresie poprzedzającym tragedię smoleńską.

Nawet powierzchowna analiza tematu wyraźnie wskazuje, że zdarzenie to przyniosło służbom III RP całkowitą kompromitację. Nie tylko dlatego, że nie potrafiły zapobiec katastrofie i profesjonalnie chronić życia prezydenta i najwyższych oficjeli - ale przede wszystkim w związku z zachowaniami tych formacji przed i po 10 kwietnia.

Jeżeli skutki tragedii smoleńskiej możemy porównać do następstw zbrojnej agresji, w wyniku której ginie głowa państwa i całe dowództwo wojsk, a pozostała w kraju władza wykonawcza ogłasza całkowitą i bezwarunkową kapitulację – służbom specjalnym należałoby wówczas przypisać rolę tych, którzy pierwsi wywiesili białą flagę.

Stało się to na długo przed 10 kwietnia, gdy Polska znalazła się w centrum zainteresowania rosyjskiego wywiadu, a w polskim życiu publicznym zaczęły dominować postaci forsujące ideę „przyjaźni” z reżimem Putina. Stało się to wówczas, gdy przy zamkniętej kurtynie medialnej i wrzasku propagandy podejmowano obłudne decyzje polityczne i gospodarcze służące interesom moskiewskich ludobójców.

W czasie, gdy szef FBI Michael McConnell porównywał aktywność służb specjalnych Federacji Rosyjskiej do okresu „zimnej wojny”, zaś wywiady Czech, Gruzji, Słowacji i Łotwy alarmowały o wzmożonej aktywności agentury i służb rosyjskich – jedynie państwo zarządzane przez Donalda Tuska oraz służba kontrwywiadowcza Krzysztofa Bondaryka nie wykazywały najmniejszych oznak niepokoju o bezpieczeństwo Polski. Główna troska ABW dotyczyła wówczas znalezienia materiałów kompromitujących ludzi Komisji Weryfikacyjnej WSi oraz inwigilacji i działań operacyjnych przeciwko prezydentowi Polski

Do annałów osobliwości służb specjalnych przejdzie z pewnością ówczesny raport ABW na temat zamachu gruzińskiego, w którym służba Krzysztofa Bonadaryka w całości powieliła tezy rosyjskiej propagandy o rzekomej „prowokacji gruzińskiej”.

Gdy służby państw zachodnich ostrzegały, że w NATO aktywnie działa wywiad rosyjski, a prestiżowy tygodnik "The Economist" przynosił informacje o obsadzeniu rosyjskimi szpiegami przedstawicielstwa Rosji przy Pakcie Północnoatlantyckim – jedynie służby III RP zdawały się nie dostrzegać żadnych zagrożeń płynących z ekspansji rosyjskich „dyplomatów” i podejmowanych przez nich zabiegów o rozdzielenie wizyt prezydenta i premiera w Katyniu.

W tym samym czasie, gdy prezydent Rosji ogłaszał doktrynę wojskową uznającą NATO i nowe państwa sojuszu za największych wrogów Federacji, gdy po raz pierwszy od upadku ZSRR rosyjska armia dostała nieograniczone prawo na prowadzenie działań militarnych poza granicami oraz miliardy dolarów na zbrojenia, zaś wysoki przedstawiciel partii rządzącej

Rosją uznał, że „*gdyby nie Armia Czerwona, to Polacy byłiby dziś służącymi i prostytutkami u Aryjczyków*” – służby wojskowe III RP zastanawiały się, jak zatuszować zniknięcie szyfranta z WSI, a rząd Donalda Tuska konstruował prawo umożliwiający formacji „moskiewskich kursantów” powrót do czynnej służby i usilnie przeproszał kolejne „ofiary” Komisji Weryfikacyjnej.

To w słowach ostatniego szefa WSI - „*nie ma podstaw, aby wątpić w wiarygodność działań Rosjan. W tej chwili nie ma potrzeby używania służb, dlatego że poziom zaufania w tej konkretnej sprawie jest na tyle wysoki, że można pytać o wszystko*” – znajdziemy najpełniej wyrażone stanowisko ludzi postpeerelowskich formacji w sprawie tragedii smoleńskiej.

Gdybyśmy uznali, że służby wywiadowcze stanowią forpocztę w relacjach z sojusznikami – za znak zbliżających się czasów należałoby wskazać współpracę polskich służb z białoruskim KGB, datowaną od roku 2008, gdy wydano zakaz wjazdu do Polski Józefowi Porzeckiemu – wiceprezesowi zwalczanego przez Łukaszenkę Związku Polaków na Białorusi. Z kolei pod koniec 2009 roku służby III RP przekazały do KGB dane o transakcjach Białorusinów w naszym kraju – na tyle ważne, że białoruska bezpieka szantażowała tymi informacjami swoich obywateli oraz pracowników polskiego konsulatu w Grodnie. Ujawniony niedawno kazus Alesia Białackiego był jedynie „wypadkiem przy pracy” potwierdzając, że współpraca z reżimem Łukaszenki trwała od dawna.

Ponieważ to służby specjalne rozpoznają sytuację międzynarodową i przygotowują grunt pod nowe sojusze – nie ulega najmniejszych wątpliwości, że proces „pojednania” polsko-rosyjskiego musiał być poprzedzony wielomiesięcznymi kontaktami ludzi specsłużb na wielu – jawnych i tajnych poziomach. Takie kontakty musiały być podejmowane w związku z wizytą Putina na Westerplatte w roku 2009, negocjowaniem kontraktu gazowego oraz na długo przed spotkaniem Tuska i Putina w Katyniu. O specyfice tych więzi nie dowiemy się z oficjalnych komunikatów, istnieją jednak mocne przesłanki, by dostrzec jak ścisła była to współpraca.

Może o niej świadczyć działalność Tomasza Turowskiego – wieloletniego funkcjonariusza komunistycznego wywiadu.

To tej postaci należy przypisać rolę inicjatora i moderatora procesu „zbliżenia” polsko-rosyjskiego. Wynika to z aktywności Turowskiego w latach 2007-2010 oraz jego bliskich związków z moskiewską Akademią Ekonomii i Prawa (MAEiP) i powołaniem do życia tzw. Klubu Polskiego w Moskwie. W marcu 2008 roku powstał Klub Rosyjski w Warszawie, założony pod patronatem byłego ambasadora PRL w Moskwie Stanisława Cioska, prezesa Stowarzyszenia „Polska-Wschód” (wcześniejsza nazwa: Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej) Stefana Nawrota oraz „przyjaciela uczelni” Tomasza Turowskiego. Zwieńczeniem działalności ambasadora tytularnego były wydarzenia kończące rok 2010. Podczas wizyty w Polsce prezydenta Rosji Miedwediewa, Warszawę odwiedziła również delegacja MAEiP i 6 grudnia w Pałacu Kultury i Nauki – w obecności Turowskiego - odbyło się wspólne posiedzenie „Klubu Rosyjskiego” w Warszawie i „Klubu Polskiego” w Moskwie. Oficjalny komunikat głosił, iż „*w oparciu o zasady dobrego sąsiedztwa i pojednania, podpisano porozumienie w sprawie utworzenia na ich bazie, "Polsko-Rosyjskiego Centrum" w Warszawie i "Polsko-Rosyjskiego Centrum" w Moskwie*”. 25 marca 2011 r. uchwalono ustawę o powołaniu Centrum, nadając mu kompetencje instytucji rządowej odpowiedzialnej za zadekretowanie „przyjaźni polsko-rosyjskiej”.

Nie ulega wątpliwości, że Tomasz Turowski był jednym z najaktywniejszych architektów tego procesu, a jego działalność przerwała dopiero publikacja Cezarego Gmyza na temat przeszłości ambasadora.

Gdy przed dwoma miesiącami, Sąd Apelacyjny w Warszawie uwolnił Turowskiego od zarzutu „kłamstwa lustracyjnego” i uznał, iż „*sprawa w ogóle nie powinna trafić do sądu, a postępowanie lustracyjne nie powinno się odbyć*” – w tle tego wyroku pojawiła się kwestia współpracy ambasadora tytularnego ze służbami III RP. Konkluzja wyroku mogła bowiem wskazywać, że ten był oficer Departamentu I SB MSW i wieloletni watykański „nielega” jest nadal funkcjonariuszem lub współpracownikiem Agencji Wywiadu. Mając na uwadze rodowód służb III RP - taka informacja nie byłaby zaskakująca.

Gdyby tak w istocie było, należałoby całkowicie zweryfikować ocenę aktywności Turowskiego w latach 2007-2010 oraz w zupełnie innym świetle spojrzeć na jego rolę w przygotowaniu wizyty Lecha Kaczyńskiego w Katyniu. Jeśli służby sowieckie, a później rosyjskie doskonale znały pełne dossier agenta „Orsoma” – jego nagłe skierowanie na moskiewską placówkę należałoby raczej oceniać jako formę nawiązania głębokiej współpracy służb III RP ze służbami Federacji Rosyjskiej. Wówczas pojawia się pytanie o rolę Agencji Wywiadu i innych tajnych formacji III RP w wielomiesięcznym procesie „zacieśniania” przyjaźni polsko-rosyjskiej oraz w przygotowaniach zmierzających do tragicznego lotu. Odpowiedź na pytanie: jaką misję wypełniał Tomasz Turowski - mogłaby przynieść rozstrzygnięcie w kwestii określenia środowisk odpowiedzialnych za śmierć prezydenta i polskiej elity oraz wiedzę o rzeczywistej roli służb specjalnych

piątek, 25 maja 2012

## 696. MITOLOGIA SOWIECKIEGO ŻOŁDAKA

Pogróżki i listy z obelgami, jakie otrzymuje codziennie profesor Wiesław Binienda, są nie tylko dowodem, że obrońcy kłamstwa smoleńskiego doceniają znaczenie pracy polskiego naukowca, ale świadczą o reakcji całkowicie naturalnej dla proveniencji tych osób.

Gdybyśmy nie posiadali setek innych przesłanek podważających wersję warszawsko-moskiewską – ta jedna okoliczność – związana z próbami zastraszenia naukowca, powinna wystarczyć. Pozwala ona również dostrzec rodowód środowisk wspierających putinowskie igrzyska oraz ocenić wartość merytoryczną ustaleń MAK i tzw. komisji Millera.

W świecie niedostępnym dla Polaków - świecie cywilizowanych reguł – informacje o zastraszaniu naukowca, wywierania na niego wpływu, obrzucania wyzwiskami czy podważania osiągnięć naukowych – wywołałyby nie tylko reakcje mediów i opinii publicznej, ale skłoniły ludzi rozumnych do głębokiej refleksji. Równie mocną przesłankę stanowiłby żenujący spektakl tchórzostwa ze strony tzw. ekspertów komisji Millera, którzy jak jeden mąż odmówili rzeczowej konfrontacji z tezami profesora Biniendy. Wśród ludzi nauki tego rodzaju rejterada zostałaby odebrana jako miażdżąca kompromitacja i zakończyła „karierę” delikwentów.

Nietrudno też zauważyć, z jakich tradycji wywodzi się praktyka zastraszania ludzi nauki. Przez dziesięciolecia stosowali ją komuniści i ich młodszy bracia spod znaku swastyki. Dziś te same metody stosują środowiska bliskie tym zbrodniczym ideologiom.

Można byłoby wspomnieć o dwóch przypadkach stosowania gróźb wobec naukowców, które miały miejsce w ostatnich miesiącach. Pierwszy dotyczył dr Pawła Nowaka z Zakładu Leksykologii i Pragmatyki UMCS, który był biegłym opiniującym na zlecenie sądu znak Narodowego Odrodzenia Polski. Na podstawie tej opinii, symbole NOP zostały zalegalizowane. Wkrótce

potem tzw. aktywiści lewackich organizacji namalowali na drzwiach Nowaka celownik, rozwiesili plakaty wzywające do bojkotu naukowca oraz zaczęli wysyłać do niego anonimowe emaile z wyzwiskami i pogrózkami.

Podobnych działań doświadczył niemiecki historyk polskiego pochodzenia, Grzegorz Rossolinski-Liebe z Uniwersytetu w Hamburgu, autor rozprawy doktorskiej zatytułowanej *"Stepan Bandera: Życie i po życiu ukraińskiego faszysty (1909-2009)"*.

W marcu br., pod patronatem ambasady niemieckiej oraz Fundacji Heinricha Bölla historyk zaplanował na Ukrainie cykl wykładów w trzech miastach uniwersyteckich. Jednak na tydzień przedtem, wszystkie wykłady zostały odwołane, zaś Rossolinski-Liebe stał się obiektem gróźb telefonicznych i mailowych, na tyle poważnych, że po przybyciu do Kijowa objęto go opieką ambasady niemieckiej

Podobnej metody „dyskusji naukowej” doświadczył dr Kazimierz Nowaczyk. Nie tylko cenzurowano jego teksty na „niezależnym” Salonie 24 i grożono mu w korespondencji emailowej. Do dziś nie wyjaśniono przyczyn groźnej choroby, na jaką zapadł dr Nowaczyk po powrocie z Brukseli w marcu br., gdzie brał udział w prezentacji przygotowanej przez komisję Antoniego Macierewicza.

Dla uzupełnienia obrazu, należałoby jeszcze przypomnieć o klasycznej próbie wykorzystania organów ścigania w celu zastraszenia niepokornych naukowców. Doświadczyli jej dr Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk – autorzy książki *"SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii"*, którym prokuratura zamierzała postawić zarzut ujawnienia tajnych dokumentów.

W działaniach tych można było dostrzec inspiracje wynikające z instrukcji płk. Komorowskiego z Wydziału IV Departamentu III MSW skierowanej do Naczelników Wydziału III KWMO, KMMO, KSMO z dn.20 marca 1973, w której zalecano poddanie „wnikliwej ocenie przygotowywanych do wydania prac, szczególnie opracowanych przez osoby znane z wrogiego stosunku do PRL i socjalizmu oraz wywodzące się ze środowisk wrogich.”

Wszystkie, tego rodzaju zdarzenia nieomylnie wskazują na źródło inspiracji. Jest nią zawsze systemowa nienawiść wobec prawdy, wsparta na mentalności sowieckiego żołdaka. Ten bowiem nie zawracał sobie głowy dysputami akademickimi ani subtelnościami logiki i rozstrzygał wszelkie spory według uniwersalnej „metody naukowej” - strzałem w tył głowy.

Gdy nie da się dłużej zamilczeć głosu wybitnego naukowca, pozostają zatem prymitywne drwiny lub haniebna ucieczka. Kiedy nie sposób zakrzyczeć faktów lub ukryć własnego zaprzęstwa - sięga się po groźby i wyzwiska.

Gdy nadejdzie czas prawdy i poznamy wszystkie okoliczności tragedii smoleńskiej - po jakie metody sięgnie wówczas grupa rządząca?

wtorek, 29 maja 2012

## 697. MIMO NAKAZU MILCZENIA...

Jak nazwać dziennikarza, który wykorzystując swoją pozycję i zawód zaufania publicznego staje po stronie władzy i świadomie uczestniczy w największym kłamstwie III RP? Czy miano to przysługuje komuś, kto na „niezależnym” portalu masowo stosuje cenzurę, ukrywa treści niewygodne dla rządzących i nagłaśnia antypolską, sowiecką narrację? Jaka zasada dziennikarstwa pozwala ukrywać i blokować opinie rzetelnych naukowców pracujących nad wyjaśnieniem narodowej tragedii – tylko dlatego, że ich tezy przeczą rządowo – sowieckiej wersji, skrojonej na miarę logiki imbecyla? Czy ta sama zasada każe propagować ordynarne paszkwile i bełkotliwe „polemiki” - pisane przez zadaniowaną agenturę i niedouczonego pismaków?

Jeśli dziennikarskim obowiązkiem jest przedstawianie rzeczywistości - szczególnie tej, którą obecny reżim chciałby ukryć przed wzrokiem społeczeństwa – do jakiego zawodu zaliczyć ludzi narzucających Polakom kłamstwo – w imię obrony grupy rządzącej i własnych, zafajdanych interesów? Jeśli prawem dziennikarza jest stawianie władzy niewygodnych pytań i ujawnianie mechanizmów zła – kim są osobnicy zatrudnieni w firmach medialnych, którzy wspólnie z tą władzą oszukują Polaków i zabiegają, by prawda o śmierci polskiej elity nie dotarła do świadomości obywateli?

„*Język polityki* - pisał Orwell - *obliczony jest na to, by kłamstwo brzmiało wiarygodnie, by morderstwo uczynić godnym szacunku, a czystym frazesom nadać pozory rzetelności i solidności*”. Ludzie mieniający się dziś dziennikarzami nie znaleźli własnego języka, a przez 20 lat hybrydy III RP nie potrafili pozbyć się piętna niewolnictwa i odrzucić dialektykę „panowania i służebności”. Nadal używają słów i obrazu dla osiągnięcia politycznych celów i wciąż uznają wyższość „pana” - podporządkowując mu wszystkie aspiracje i dążenia. Mając do wyboru wyboistą ścieżkę rzeczników społeczeństwa i gościniec przywilejów władzy – rzesze niedouczonego medialnych wyrobników podążyły za głosem „pana”.

Niech nikt się nie łudzi, że znajdzie w nich sprzymierzeńców, bo służąc temu „panu” otrzymali od niego posady małych demiurgów i mają w pogardzie tych, którym przed egzekucją zakryto oczy. Jest to pogarda na miarę tchórzów i niewolników - przekonanych, że tylko bycie po stronie „pana”, daje gwarancję bezpieczeństwa i bezkarności.

Nie nazywajcie ich więc publicystami, bo obrażacie ludzi uczciwie wykonujących ten zawód i uwłaczacie pamięci takich postaci, jak Jacek Kwieciński czy Maciej Rybiński. Nie nazywajcie ich dziennikarzami, bo zniestawiacie tych, nielicznych ludzi mediów, którzy nie wywiesili nad głową „czerwonej latarni”.

Trzeba się pytać: ile razy jeszcze muszą nas oszukać, byśmy znaleźli dość odwagi i nazwali tych ludzi po imieniu? Ile doświadczeń musi nas powalić, byśmy dostrzegli zbrodniczą rolę pomocników kłamstwa?

To dzięki nam funkcjonuje ten załgany układ, w którym byle ćwierćinteligent usurpuje sobie pozycję mędrca, a zakompleksiony tuman sili się na pozę wojownika. Tylko dzięki nam możliwe są występy bełkoczących „analityków” i partyjne agitki pismaków, odznaczanych przez rasę „panów” za *"wybitne zasługi dla rozwoju niezależnego dziennikarstwa"*.

Kto dopuścił do tego, by prymitywni sługusi udający piewców demokracji i wyznawców wolności kształtowali kolejne pokolenia imbecyli - czerpiących wiedzę o świecie z migoczącego ekraniku i jałowych propagitek?

To na nas spada odpowiedzialność za urojenia witkiewiczowskich Puczymordów, którym śnią się *"papawerdy zakrapiane obliwajkami fąfarami"* i nie ma żadnego usprawiedliwienia, gdy przyzwalamy na władzę miernot przeświadczonych o własnej wyjątkowości.

Nie warto szukać wrogów na zewnątrz, gdy w nas samych tkwi największy nieprzyjaciel i z tchórzostwa lub głupoty - nie pozwala wykrzycheć o bezmiarze łajdactwa.

Jestem przekonany, że ludziom wykonującym zadania funkcjonariuszy medialnych musi towarzyszyć lęk. Wielu z nich wie, jak wygląda prawda o reżimie i jaką cenę płacą za niewolniczą posługę. Tym zaś, którzy zatracili nawet to rozeznanie – my sami musimy przypominać, że bać się powinni. Jeśli nie dziś, to za rok, dwa lub dziesięć lat – gdy Polacy poznają prawdę i rozliczą tych, którzy bronili do niej dostępu.

Włodzimierz Odojewski w "Milczący, niepokonani. Opowieść katyńska" napisał:

*„Mimo nakazu milczenia, totalnego zakłamania, fałszowania faktów, wymazywania z historii wydarzeń, cenzury, fizycznego i psychicznego przymusu i całej łżepropagandy [...] Las Birnam idzie, choć odgłos jego marszu jest niedosłyszalny. Idzie w przyszłość [...] Gdyby ten, kto zabija, był zawsze zwycięzcą i nie musiał zdawać sprawy ze zbrodni ani za nią płacić, świat byłby niedorzeczny”.*

Świat nie jest niedorzeczny, a przyszłość będzie należała do tych, którzy służą Polsce. Dzisiejsza rasa „panów” już została skazana, zaś do „onych” – przyjdzie „Las Birnamski”. I tego tylko oczekujemy. By się bali.

Dzisiejsze wydarzenia na Salonie 24 definitywnie przekreślają „dziennikarskość” tego miejsca, a jednocześnie – bezlitośnie obnażają intencje właścicieli. Bez wątpienia - są to te same intencje, które towarzyszą działaniom grupy rządzącej i zmierzają do ukrycia prawdy o największej tragedii III RP. W tym miejscu doświadczyłem ich wielokrotnie, czasem niezwykle mocno. Byłoby jednak hipokryzją, gdybym wyznał, że czuję się zaskoczony tą sytuacją. Kto rozumie, dokąd zmierza Salon24 i czyje interesy reprezentuje – nie może już odczuwać zdziwienia. Jeśli po tym tekście mój blog zostanie zablokowany – to również nie będzie zaskoczeniem.

Czuję się natomiast winny zbyt długiej tu obecności, a nawet temu, że ta obecność mogła sugerować, iż miejscu zarządzanemu przez Igora Janke przysługuje miano „niezależnego”. Nie przysługuje. I nie pozwólcie sobie tego wmówić, choćby publikowały tu całe zastępy „prawicowych” blogerów, wspieranych przez właściciela.

Odejść stąd należało wcześniej - nim ukrywanie tekstów dr Nowaczyka czy cenzurowanie wiedzy o pracach prof. Biniendy - stało się nagminną praktyką, zaś nagłaśnianie łgarstw i propagowanie łajdaków – codziennym procederem. Za to zaniechanie i współuczestnictwo – szczerze przepraszam.

Wszystkim Państwu serdecznie dziękuję za odwiedziny i wspólne rozmowy. Za wielką życzliwość i wsparcie, których doświadczałem tu przez pięć lat blogowania. Nie napiszę - żegnam – bo mam nadzieję, że zechcecie mnie odwiedzać na blogu bezdekrety i tam będziemy mogli rozmawiać o Polsce.

Tekst ten zamieszczam na bezdekrety tylko „dla porządku”. By pozostał ślad

**CZERWIEC 2012.**

niedziela, 3 czerwca 2012

## **698. 1989 – NA POCZATKU BYŁO KŁAMSTWO**

*„To co się działo w 1989 r. nie miało nic wspólnego z wyborami i w tamtym czasie wszyscy to jeszcze nie tylko rozumieli ale i głośno mówili, nawet zwolennicy tej operacji. [...] Dla ludzi Platformy Obywatelskiej wywodzących się z ugrupowania powstałego przy okrągłym stole i z niego czerpiących swoje siły fikcja demokracji u źródeł III RP jest przesłanką usprawiedliwiającą ograniczenie, a nawet likwidację demokracji obecnie. Platforma wychodzi bowiem z założenia, że społeczeństwo, które nie potrafiło wywalczyć demokracji i niepodległości, a następnie pogodziło się z ich fikcją da sobie odebrać istniejące wciąż namiastki demokratycznych instytucji” - napisał przed trzema laty Antoni Macierewicz w referacie wygłoszonym podczas sejmowej konferencji zorganizowanej przez Annę Walentynowicz.*

O fikcji leżącej u podstaw państwowości III RP pisał również Krzysztof Czabański - bezpośredni obserwator obrad OS, w wydanej w roku 2005 książce „Pierwsze podejście. Zapiski naocznego świadka”, której ostatnia część jest dziennikiem prowadzonym od 6 lutego – do 6 kwietnia 1989 roku. Na stronie 225 Czabański zanotował:

*„Tu nie chodzi o żadną czystość w rozumieniu romantycznym czy coś w tym rodzaju. O nie. Tu chodzi, po prostu, o wartości. Rozbrat z nimi, obserwujemy to na własne oczy, jest przeżyciem ciężkim i właściwie niewytłumaczalnym. Czyż tego wszystkiego, co się dzieje nie można by robić uczciwiej, rzetelniej?! Myślę, że tak. I wcale nie potrzeba by było do tego więcej wysiłku, wystarczyłoby zaufanie do innych, szanowanie innych, mniej klikowe rozgrywanie spraw. Zapewne się powtarzam, ale mam nieodparte wrażenie, że salon dominował nie tylko inicjatywy „S” i Wałęsę, ale w ogóle całą opozycję. Salon najprostszą drogą do degrengolady.”*

Relacja Czabańskiego zawiera również bezcenny zapis opinii przeciwników OS. Kilkanaście stron wcześniej autor zanotował: *„Zadaniem K. W. wszystko to jest mistyfikacją. Według L. za „okrągłym stołem”, a właściwie za zawartym wcześniej układem, stoją duże pieniądze (kilkamilionów dolarów) i to skłania władzę do porozumienia. Według K. jest to plan sowiecki, realizowany bezwzględnie przez Jaruzelskiego i Wałęsę, który zwierzył możliwość utworzenia przez elitę opozycji establishmentu wspólnie z elitą władzy. Jakby jednak nie było, wydaje się, że efekt końcowy może być podobny. Otóż, nastąpi legitymizacja władzy, Jaruzelski zostanie prezydentem wybranym przez sejm, który z kolei będzie wybrany przez naród. Wałęsa zaś będzie następnym prezydentem, a na razie np. przewodniczącym Frontu Porozumienia Narodowego. Jadzia uważa, jak donieśli mi wspólni znajomi, że „beton” zaciera ręce i śmieje się ze stołu. Bardziej z „S” zresztą. Dwa centra zawierają układ, a wszystko się i tak wywróci, z tym, że „S” zostanie po drodze skompromitowana. U końca drogi zaś, prorokuje K. W., skorumpowane elity będą blokować społeczeństwo, zaś rządzić będzie prezydent – choćby i Wałęsa – i tajna policja”.*

O realizacji planu sowieckiego mówił w 1990 roku francuski historyk i sowietolog, Alain Besancon, w odpowiedzi udzielonej Adamowi Michnikowi na jego list otwarty zamieszczony w "Gazecie Wyborczej". Besancon, analizując sytuację po obradach OS i czerwcowych wyborach napisał m.in.:

*„To, co dzieje się w Polsce, to właśnie to, czego chciał dokonać Gorbaczow u wszystkich swych satelitów. Niemal wszędzie manewr ten zakończył się niepowodzeniem. Powiódł się w Polsce i to jest największym sukcesem Gorbaczowa. Ma w tym swój udział Michnik.”*

Z perspektywy dwudziestu dwóch lat, powinna nas zdumiewać wyjątkowa trafność ówczesnych ocen. Historia przyznała rację tym, którzy prognozowali, że „wielka mistyfikacja” stanie się podstawą wszystkich procesów politycznych nowego państwa i pozwoli zastąpić autentyczną demokrację agenturalno-esbeckim erzacem. Proces wyłonienia III RP nawiązywał wprost do tradycji sfalszowanych wyborów z roku 1947, z których komunistyczni najeźdźcy wywodzili swoje prawa do rządzenia Polakami. Jak tamto historyczne fałszerstwo stało się jednym najważniejszych elementów mitu założycielskiego PRL - tak wyborcza farsa z roku 1989 jest do dziś fundamentem układu OS. Samozwańcze „elity” III RP uczyniły z tych

„częściowo wolnych” wyborów podstawę ulotnej państwowości i na nich oparły prawo do obecności komunistów w życiu publicznym. Choćby dlatego analogie z wyborami 1947 roku są oczywiste - jeśli nie poprzez sam akt fałszerstwa, to z uwagi na rolę, jaką czerwcowe wybory odegrały w naszej historii. To dzięki nim zalegalizowano PRL i wszystkie patologie zbrodniczego systemu, włączając sowieckich namiestników i zależnych od okupanta funkcjonariuszy w krwioobieg III RP. Trudno wyobrazić sobie większą nikczemność wobec narodu złaknionego wolności. Ludzie paktujący z komunistami przy „okrągłym stole” cynicznie wykorzystali nasze marzenia o Niepodległej i uczynili z nich obszar, na którym zbudowano przymierze katów i ofiar.

Jeśli dziś w otoczeniu Bronisława Komorowskiego znajdujemy niemal wszystkich beneficjentów tego paktu, a w życiu publicznym dominują postaci z czasów PRL-u – dowodzi to nie tylko trwałości mitu założycielskiego III RP, ale po dwóch dekadach od „wielkiej mistyfikacji” potwierdza jej antynarodowy i antypolski charakter.

Jan Olszewski, pierwszy faktycznie niekomunistyczny premier, w wywiadzie udzielonym niedawno miesięcznikowi „Nowe Państwo” przypominał, na czym polegała ówczesna wina koncesjonowanej opozycji i samozwańcych „autorytetów”.

*„Okrągły Stół – powiedział Olszewski - był umową pomiędzy częścią elity opozycyjnej a władzami PRL bez udziału społeczeństwa. To są dobrze znane fakty. Strony ustaliły warunki ugody – nie dyskutujemy teraz nad ich adekwatnością. Później nastąpiły wybory 4 czerwca. Głos zabrał naród, czyli suweren. Mimo ograniczenia tych wyborów zasadą kontraktowości dał wyraźne wskazanie, czego sobie życzy. W prawie rzymskim jest taka instytucja, obecna również w naszym prawie cywilnym, prowadzenia cudzych spraw bez zlecenia. Określa ona sytuację, w której ktoś musi się zaopiekować cudzym mieniem pod nieobecność właściciela i jakie wówczas może podjąć czynności. Można przyjąć, iż w 1989 roku część elity opozycyjnej podjęła się prowadzenia cudzych spraw bez zlecenia. Jednak po 4 czerwca jej rola została zakończona. Prawowici właściciele – czyli obywatele – powrócili. Rola samozwańczego opiekuna dobiegła przez to końca. Tymczasem znaczna część opozycji, która wzięła udział w Okrągłym Stole, albo tego nie zrozumiała, albo zrozumieć nie chciała. Trzymała się zupełnie bezwartościowego przekonania, że dała słowo komunistom i musi go dotrzymać, bo to będzie rzekomo dobre dla wszystkich. I tak mimo jasnego wskazania suwerena pakt z ludźmi PRL trwał przez lata niepodległości, z krótkimi przerwami na próby jego kwestionowania.”*

Do tego, niezwykle ważnego wywiadu warto będzie jeszcze powrócić, bo ze strony polityków opozycji nieczęsto można dziś usłyszeć tak głębokie i trafne oceny.

Jan Olszewski precyzyjnie wskazał, że umowy OS nie znalazły akceptacji polskiego społeczeństwa, zaś wyniki wyborów z 4 czerwca podważały w istocie fundament, na którym zbudowano układ III RP. Władza wyłoniona z tych wyborów nie posiadała zatem demokratycznej legitymizacji i podtrzymując antypolski pakt z komunistami - działała wbrew woli suwerena. Ta pierwotna skaza musiała zaważyć na każdym następnym wyborach – czyniąc z nich zaledwie substytut autentycznego aktu demokracji.

Bronisław Komorowski i pozostali rzecznicy umów OS, chcą dziś nazywać rocznicę wyborów 1989 roku „Świętem Wolności” - i przez kolejne lata podtrzymywać fałszywą mitologię tego zdarzenia. Licząc na niewiedzę lub amnezję Polaków, próbując ukazać je jako „przełomowe i historyczne”, a samych siebie wykreować na wyrazicieli niepodległościowych dążeń. Trudno o dowód większej pogardy i zakłamania - ze strony ludzi, którzy zakpili z własnego narodu.

Niezależnie, jak długo przyjdzie nam znosić butę takich postaci i ile czasu jeszcze upłynie nim obalimy system III RP – trzeba sobie uświadomić, że kłamstwo powtarzane po tysiącokroć nie nabiera cech prawdy, zaś władza wywodząca swój rodowód z historycznego oszustwa, nigdy nie uzyska miana przedstawiciela narodu. Choćby przez dziesięciolecia przywdziewała maski polskości i narzucała nam swoje łgarstwa – na zawsze pozostanie obcą.

sobota, 9 czerwca 2012

## 699. DANCE MAKABRE

W zamysłach obecnej władzy organizacja turnieju piłki kopanej ma stać się wydarzeniem propagandowym wykorzystanym wyłącznie dla umocnienia reżimu monopartii. Pozwoli głębiej ukryć polskie problemy i skanalizować polityczne emocje. Zapewni wsparcie ze strony euroidiotów i pomoże odbudować nadwątlony wizerunek grupy rządzącej. Stanie się podstawową legitymacją w kolejnych kampaniach propagandowych i posłuży do uwierzytelnienia patologii III RP.

W rozgrywanie turnieju piłki kopanej zostały już włączone wszystkie ośrodki propagandy oraz rzesza bezimiennych rezonatorów. Nad organizacją Euro roztacza się szczelny parasol ochronny, zakrywający rzeczywisty zakres zaniedbań i rażących błędów. Jednocześnie – w zgodzie z kanonami manipulacji – podgrzewa się emocje i gra na prymitywnych ambicjach nawołując do „postaw patriotycznych” i ulegania magii „narodowego święta”. Synonimem tego patriotyzmu na stać się wymachiwanie polską flagą i pijackie wrzaski podczas transmisji meczów. W promowaniu takich wzorców przodują ludzie, którzy dotąd okazywali pogardę i wrogość wobec autentycznych przejawów polskości.

Dla milionów Polaków, stosunek do propagandowej hucpy zdają się wyznaczać słowa Władymira Putina, który niedawno ostrzegwał, że „pod żadnym pozorem nie powinno się mieszać polityki, biznesu oraz innych kwestii ze sportem. należy zostawić sport w spokoju”. Zostawiają zatem „sport w spokoju” i nie chcą widzieć, że uczestnictwo w piłkarskim amoku zostanie cynicznie wykorzystane w interesie obecnej władzy, a wynikające z niego korzyści – obrócić się przeciwko Polakom. Nietrudno dostrzec, że opinie wygłaszane przez Putina są typowe dla przedstawicieli reżimów obawiających się masowych wystąpień i samoorganizacji społeczeństwa. Bo jeśli nie powinno się „mieszać sportu z polityką” - jak wyjaśnić genezę przewrotu dokonanego w Egipcie lub czym wytłumaczyć paniczny strach Tuska przed "kibolami"? Sport w wydaniu takich reżimów, zawsze staje się elementem polityki i nie warto udawać, że efekty turnieju Euro będą obojętne dla statusu grupy rządzącej.

Z tych powodów, całkowicie niezrozumiała wydaje się postawa opozycji, która włączając się w rządową narrację nie próbuje nawet wykorzystać Euro na dotarcie z przekazem do opinii publicznej. Należałoby oczekiwać, że czas turnieju zostanie wykorzystany dla informowania mediów światowych o sytuacji istniejącej w Polsce, posłuży do ujawnienia wyników śledztwa smoleńskiego oraz pozwoli zwrócić uwagę na liczne przypadki łamania prawa i ograniczania swobód obywatelskich.

Jeśli zauważyć, że naturalnym zadaniem opozycji jest walka z układem rządzącym i wykorzystywanie w tym celu wszystkich legalnych środków, odstąpienie od tej roli na czas Euro – podyktowane obawą przed wrzaskiem propagandystów – może mieć istotne znaczenie dla wzmocnienia efektów propagandowych.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na cenną inicjatywę stowarzyszenia Solidarni 2010, które na swoim portalu internetowym zamieściło „Materiały na Euro2012”. Są to wyśmienie opracowane druki ulotek i gadżetów w języku angielskim

i rosyjskim, w których zawarto podstawowe informacje na temat tragedii smoleńskiej. Materiały te można pobierać ze strony stowarzyszenia i samodzielnie powielać. Tego rodzaju akcje mogą przyczynić się do przełamania blokady informacyjnej i pomogą w dotarciu z przekazem do opinii światowej.

Już dziś wiemy, że poza efektami propagandowymi organizacja Euro nie przyniesie Polsce spodziewanych zysków, a tym bardziej, nie będzie się wiązała z pożytkami dla społeczeństwa.

Zgodnie ze wstępными szacunkami, przychody z turnieju mogą wynieść ok. 2,5 mld euro lecz zyski te zgarnie UEFA, a nie kraje organizujące imprezę. Jak wyjaśniła rzeczniczka ministerstwa finansów: „*Państwa ubiegające się o organizację Euro 2012 podczas negocjacji musiały przedstawić określoną ofertę. Wśród wymagań UEFA było podpisanie gwarancji m.in. zwolnienia z podatków dochodowych, VAT, akcyzy, podatków lokalnych oraz ceł.*”

Już tylko ta informacja powinna wskazywać, że nie ma najmniejszych powodów, by utożsamiać interes Polaków z efektami Euro lub oczekiwać innych – poza propagandowymi – korzyści. Te zaś, zostaną przetrawione przez grupę rządzącą i posłużą do wzmocnienia obecnego status quo i władzy monopartii.

Przyszłość Polski – wbrew temu, co nam wmawiają - nie będzie zależała od turnieju piłki kopanej, a nasze autentyczne problemy mają dużo większe znaczenie niż chwilowy aplauz czy zaspokojenie prymitywnych potrzeb i ambicji. W państwie, które totalnie skapitulowało wobec agresji z 10 kwietnia, państwie bezwładu i bezprawia – organizowanie igrzysk jest rodzajem dance macabre, po którym następuje nieuchronny i bolesny koniec.

Dopóki w III RP nie obowiązuje jeszcze urzędowy nakaz uczestnictwa w imprezach propagandowych i ulegania gustom „narodowego święta” – trzeba odmówić udziału w tym ponurym korowodzie i wykorzystać obecny czas w interesie Polski i Polaków.

czwartek, 7 czerwca 2012

## 700. ANTYKOMUNIZM – BROŃ UTRACONA 1.

*„Na pytanie, czym był antykomunizm w II Rzeczypospolitej, odpowiedzieć można krótko – racją stanu. W czasie, gdy Polska podnosiła się z rozbiorowego upadku, Rosję ogarnęła bolszewicka rewolta. Komunizm – dotąd utopijne marzenie głównie zachodnioeuropejskich myślicieli – stawał się na oczach Europy praktyką rosyjskich rewolucjonistów. Bolszewickie państwo, dążące do zaszczepienia komunizmu na całym kontynencie, szybko zaczęło spoglądać w stronę Polski. Odzyskana po ponad wieku niewoli niepodległość Rzeczypospolitej znalazła się w niebezpieczeństwie.*

*Młode państwo sprostało wyzwaniu, które zdaniem wielu zdawało się je przerastać. Czerwony potop nie zalał Polski. Determinacja polskich wojsk i społeczeństwa uratowała przed komunistyczną inwazją także resztę Europy. Nie była ona wyimaginowanym zagrożeniem, w wielu bowiem krajach – a zwłaszcza w Niemczech – rewolucjoniści z przekonania i zwykli agenci sowieccy czekali z nadzieją na upadek państwa stanowiącego ostatnią zaporę w marszu bolszewików na Zachód. Przeszkodę wyjątkowo dla nich niedogodną. Już bowiem u zarania odrodzonej Polski antykomunizm okazał się jednym z fundamentów jej tożsamości kulturowej i politycznej. Przez cały okres istnienia II Rzeczypospolitej przejawiał się on w praktyce politycznej, znajdował wyraz w postawach społecznych i miał intelektualną podbudowę w licznych książkach i artykułach, pisanych niekiedy przez najwybitniejszych uczonych i publicystów tamtych lat” – pisali we wstępie do antologii tekstów „W obronie niepodległości. Antykomunizm w II Rzeczypospolitej”, Jacek Kłoczowski i Filip Musiał (2009. Ośrodek Myśli Politycznej, IPN)*

Na fundamencie antykomunizmu, jako polskiej racji stanu - zbudowano państwo, które w swojej krótkiej, 20 –letniej historii musiało dwukrotnie stawić zbrojny opór najazdom sąsiadów. W roku 1920 nie doszło do żadnego „cudu nad Wisłą”. O wyniku bitwy warszawskiej zdecydowała taktyka wojskowa, na równi z niezrozumiałą dla innych narodów wolą walki, u której podstaw leżał antykomunizm polskiego społeczeństwa.

Cała historia myśli politycznej II Rzeczypospolitej była w znacznej mierze dziejami antykomunizmu, a on sam, czymś znacznie ważniejszym niż prostą, propagandową odpowiedzią na sowieckie zagrożenie. „*Bardzo dalecy jesteśmy od bolszewizmu-mógł powiedzieć Piłsudski w maju 1919 roku – „Widząc spustoszenie, dokonane przez ustrój komunistyczny, nie rozumiem, jak mogą istnieć w Europie socjaliści, odnoszący się do niego przychylnie*”. Ta wartość – wynikająca z dogłębnego rozpoznania bolszewickiej zarazy – odróżniała polską myśl polityczną od błędnych, a często wręcz infantylnych wizji komunizmu funkcjonujących wśród społeczeństw Europy Zachodniej.

Jednocześnie - polski antykomunizm nigdy nie był racją skierowaną przeciwko komuś, ekspansywną i wrogą. Wynikał z rzetelnej, dalekowzrocznej refleksji historycznej i miał na celu ochronę naszych interesów narodowych. Najważniejszą bronią polskiego antykomunizmu, orężem używanym w walce z zagrożeniami – był realizm polityczny, nakazujący odrzucenie pseudofilozoficznych i fałszywych koncepcji komunistycznych dogmatyków.

Ten realizm sięgał okresu rozbiorowego i wynikał również z refleksji nad azjatyckim charakterem Rosji. W myśli politycznej II Rzeczypospolitej nigdy nie zapomniano o słowach Zygmunta Krasińskiego, zawartych w memoriale skierowanym do Napoleona III z roku 1854. Nasz wieszcz narodowy pisał:

*„Rosja jest wytworem pierwiastków najbardziej złowrogich i najbardziej rozkładowych, jakie są w historii. Zepsucie wyrafinowane ostatnich czasów Bizancjum przeszło w jej kościół i jej dyplomację. Srogość nieubłagana a zimna chanów mongolskich stała się sprzężną jej administracji. Urządzenia gminne pierwotnych Słowian przechowały się u jej ludów. Rosja jest wielkim komunizmem, rządzoną przez władzę zarazem teokratyczną i wojskową. Ta władza zaś równa terrorowi z 1793 r. w okropności, jest od niego nierównie wyższa w swej organizacji, w swej zdolności trwania. Danton, Marat i Robespierre to figury blade, jeśli się je postawi obok takich rewolucjonistów, jak Iwan Groźny, jak Piotr I, jak Mikołaj I. Jeśli Rosja ma przestać być plagą, gotową zawsze spaść na kościół, na cywilizację, na świat, to jest na to tylko jeden sposób: doprowadzić ją do zupełnej niemocy. Wszelki pokój zawarty przed tym ostatecznym rezultatem, pogorszy tylko sytuację i pchnie nieprzyjaciela do nowych i straszniejszych wysiłków. Upokorzony, ze zdartą maską, ale nie osłabiony, chwyci się on innej broni i zanim powtórzy swój chybiony zamach na Konstantynopol, przygotowuje sobie inne drogi, ciemniejsze a skuteczniejsze. Poda rękę wszystkim tajnym stowarzyszeniom, wszystkim konspiracjom i skrytym konszachtom. Będzie je opłacał swoim złotem a popierał swoimi intrygami. Słowem odda całą swą potęgę na usługi rewolucji socjalnej, aby obalić trony tych dynastii, co świeże zerwały z nim przymierze, albo nim wzgardziły”.*

Mając tak głęboką świadomość – czym jest Rosja, natychmiast dostrzeżono zagrożenia wynikające z zaszczepienia tam „rewolucji socjalnej”. Diagnoza Krasińskiego zawierała gotową odpowiedź na pytanie: dlaczego właśnie w Rosji komunizm zapuścił trujące korzenie i pozwalała bezbłędnie ocenić intencje „rewolucjonistów”.

O sile polskiego antykomunizmu doskonale wiedzieli Sowieci nauczeni doświadczeniem roku 1920. Krwawe bitwy pod Szackiem i Wytuczmem, obrona Wilna czy zwycięskie walki gen. Kleberga wynikały z równej mierze z męstwa i patriotyzmu naszych żołnierzy, jak ze świadomości zagrożeń, jakie dla cywilizacji zachodniej niesła komunistyczna nawała.

W latach powojennych, gdy ziścił się sowiecki plan podboju Europy i niemal połowa kontynentu znalazła się w strefie okupacyjnej Moskwy – antykomunizm stał się racją przetrwania, niezbędnym i naturalnym warunkiem zachowania polskiej kultury i tożsamości. Był postawą ludzi uczciwych i odważnych, którzy w sprzeciwie wobec sowieckiej okupacji widzieli swój patriotyczny obowiązek.

Nie przypadkiem, tylko w Polsce i tylko w takiej skali, istniał przez wiele lat zbrojny opór przeciwko okupantowi. Również polski Październik, Grudzień, czy Sierpień oraz tysiące codziennych dowodów antykomunizmu naszego społeczeństwa wynikały z wierności tradycjom II Rzeczypospolitej i wyróżniały nas na tle innych podbitych narodów, w których instalacja zbrodniczego systemu przebiegała bez specyfiki „polskich dekad”.

Tym większym ciosem był rok 1989, gdy po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat pojawiła się szansa na budowanie niepodległego państwa. Szansa roztrwoniona i cynicznie wykorzystana przez grupę samozwańczych reprezentantów narodu, którzy na mocy koncesji udzielonej im przez sowieckie służby, zawarli z komunistami pakt „okrągłego stołu” i ogłosili Polakom, że komunizm upadł. Skończył się nagle, rozsypał niczym mur berliński i znikł równie szybko, jak alkohol w kieliszkach opróżnianych w Magdalence.

A skoro komunizm się skończył – postawa antykomunistyczna stała się bezużyteczna i anachroniczna. Powiedzieli nam o tym ludzie, którzy na symulowaniu tej postawy budowali swój autorytet wśród Polaków. Dzięki opinii „przeciwników systemu” stali się dla nas rozpoznawalni i wyróżnieni zaufaniem. Tylko niewielu zauważyło, że Michnik, Geremek czy Kuroń nigdy sami nie nazywali się antykomunistami, zaś celem „opozycji demokratycznej” w żadnym wypadku nie było obalenie systemu. Ich sprzeciw wobec zastanej rzeczywistości dotyczył tych jej elementów, które nie przystawały do wizji państwa komunistycznego. Była to „opozycja” wewnątrz systemu komunistycznego – nigdy zaś – skierowana przeciwko systemowi.

Ideologiczne podłoże zawiązywała głównie naukom schizmatyka Lwa Trockiego oraz elitarnemu poczuciu przynależności do świata działaczy partii komunistycznej. W latach PRL-u, ludzie ci głosi w istocie sekciarskie poglądy - zawsze jednak w ramach ogólnoświatowej doktryny komunistycznej, zastępując szlachetne *oppositio*, trywialnym i zużyтым *revisio*. Taka postawa pozwalała na instrumentalne traktowanie Kościoła i robotników, umożliwiała w równym stopniu podziw dla Wojtyły, jak Kiszczaka, na jednej płaszczyźnie stawiała niepodległość i „socjalizm z ludzką twarzą”. Leopold Tyrmand, napisał kiedyś o owych pseudointelektualistach, tworzących tzw. salon dysydencki, że przefarbowali się na antykomunizm dopiero wówczas, „kiedy nieszkodliwym krzykiem i niezgadaniem się można już było w Polsce wybornie zarobkować, lepiej niż dotychczasowym służalstwem”.

Wykorzystując imperatyw walki o wolność, nasze marzenia o Niepodległej i głęboki antykomunizm Polaków - łatwo przyszło im później przyoblec się w szaty obrońców narodu i usankcjonować nasze złudzenia, pod szyldem awangardowej „opozycji demokratycznej”.

Ogłoszenie końca komunizmu w Polsce miało zatem prowadzić do uśmiercenia postawy antykomunistycznej. Odtąd stawała się synonimem wstecznicstwa i szowinizmu, najgroźniejszą plagą rodzącej się III Rzeczypospolitej. Sprzeciw wobec sowieckiego systemu nazywany był „*tępy, zoologicznym antykomunizmem*”, a dążenie do dekomunizacji okrzyknięto „*zagrożeniem dla demokracji*”. Piętnując antykomunizm bez rozliczenia zbrodni komunizmu - stworzono absurdalną i amoralną sytuację, w której reakcja na zło została potępiona mocniej, niż to, przeciwko czemu była kierowana. Fałszywa logika wywodów „ojców” III RP musiała opierać się na kłamstwie o upadku komunizmu. Bez tego kłamstwa nie można byłoby podważyć polskiego antykomunizmu ani niszczyć naszych naturalnych postaw obronnych.

Co znamienne - ludzie tworzący to państwo gorliwie odwoływali się do tradycji II RP kradnąc z niej zewnętrzną symbolikę i czerpiąc tylko to, co służyło historycznej mistyfikacji. Odrzucenie antykomunizmu – jednego z fundamentów myśli II RP, było aż nadto wyraźnym dowodem, że powstałe po 1989 roku państwo nie ma żadnej łączności z tradycją 20-lecia międzywojennego.

Nie przypadkiem, śmierć komunizmu została ogłoszona 50 lat po tym, jak państwa Europy Zachodniej ustanowiły nowe kalendarium polityczne: o swoistej podziałce na dobro i zło. Pisał o tym Józef Mackiewicz, wskazując na datę 22 czerwca 1941 roku – dzień w którym Hitler przechrzył Stalina i pierwszy zaatakował dotychczasowego sojusznika.

„*Od tej daty – pisał Mackiewicz – wszystko jest – dobrem, cokolwiek czyniło się dla poparcia Sowietów, a wszystko jest – złem, cokolwiek czyniło się ku przeszkodzie ich zwycięstwa nad Niemcami. Kto Sowietom podczas wojny pomagał, bez względu na osobiste przekonania polityczne, ma dziś prawo do zabierania głosu w wolnym świecie. Kto przeszkadzał, nie ma nic do gadania.*”

*Każdy naród ujarzmiony przez komunizm posiada wprawdzie, w oczach Zachodu, prawo do samoobrony, względnie do zniknięcia z powierzchni ziemi i wtedy może liczyć na współczucie, - nie miał jednak prawa od roku 1941, opierać się Sowietom, gdy znalazły się one w wojnie; a tym bardziej we współdziałaniu z armią niemiecką. Gdyż w takim wypadku, bez rozpatrywania jego interesów narodowych, ipso facto zaliczony zostaje do wrogów demokracji.*”

Ilustracją tej postawy były słowa Churchilla o gotowości sprzymierzenia się z diabłem, żeby tylko wypędzić szatana. Tym diabłem - był nie kto inny, jak Józef Stalin i obowiązujący w Rosji zbrodniczy system komunistyczny. A skoro diabeł obronił Zachód przed szatanem, każdy kto występował przeciwko diabłu, musiał być odtąd uznany za wroga.

Rok 1989 i ogłoszenie śmierci komunizmu, stanowiło naturalną kontynuację tej mitologicznej postawy wobec diabła. „Pierestrojkę” i „głasność” odczytano jako przejście na „stronę światłości” i powitano niczym ostateczne zwycięstwo nad szatanem totalitaryzmu, dostrzegając w nim konsekwencję wspólnej walki z demonem – Hitlerem.

Przyczyna tej zbiorowej mistyfikacji była jednak głębsza i wynikała z konieczność moralnego usprawiedliwienia sojuszu z międzynarodowym komunizmem. Bez tego usprawiedliwienia, ideowa wykładnia wojny Hitlerem nie byłaby możliwa albo co najmniej utrudniona. Dzięki niej dokonano rozgrzeszenia hańby „ładu jałtańskiego”, zaaprobowano farsę procesu w Norymberdze i zapomniano komunistom zbrodnie ludobójstwa, przy których błędną wyczyny Hitlera. Zmarły niedawno prof. Paweł Wieczorkiewicz, którego opinie na temat najnowszych dziejów burzyły spokój polskich historyków, nie miał żadnych wątpliwości, gdy porównywał skutki sowieckich i niemieckich działań wojennych. Odnosząc się do oficjalnych wypowiedzi polskich polityków, Wieczorkiewicz twierdził: „*Cały czas przekonują społeczeństwo, że jednak Niemcy byli groźniejsi, bardziej zbrodniczy itd. Oczywiście te twierdzenie można uznać za prawdziwe o tyle, że Niemcy mieli o wiele więcej czasu na to by*

*mordować Polaków. Natomiast, porównując skutki działań sowieckich i niemieckich w porównywalnym okresie i czasie, na porównywalnej przestrzeni, od września 1939 do czerwca 1941 roku, niezbieżnie wynika, że system sowiecki był jeszcze groźniejszy i jeszcze bardziej ludobójczy, jeszcze bardziej „polonożerczy” od systemu niemieckiego, co oczywiście Niemców z niczego nie usprawiedliwia i nie rozgrzesza.”*

Według optyki stosowanej przez państwa Zachodu, pakt Ribbentrop – Mołotow, na mocy którego dokonano IV rozbioru Polski był postrzegany jako akt dyplomatycznej przeczności Stalina, zaś najazd na Polskę wojsk sowieckich nie wywołał reakcji angielskich i francuskich sprzymierzeńców. Gdy w lipcu 1941 roku doszło do podpisania układu Sikorski – Majska i wznowienia stosunków dyplomatycznych między rządem polskim i radzieckim, sprawę sowieckiej napaści i okupacji ziem polskich uznano za zakończoną. Ówczesne intencje państw tzw. wolnego świata oddaje artykuł zamieszczony w angielskim tygodniku „Truth”, tuż po podpisaniu układu. Napisano w nim m. in.: *„Układ przedstawia dla Wielkiej Brytanii wartość pod tym względem, iż daje nam możliwość umycia rąk – z czystym sumieniem – od problemu rosyjsko-polskiego. Jesteśmy zobowiązani do odbudowania Polski, tak, iż bez ostatniego rozwoju wypadków musielibyśmy po pobiciu Niemiec, wyrzucić resztę polskich prowincji od naszego rosyjskiego sprzymierzeńca. Teraz skoro Rosja i Polska podjęły z sobą stosunki, zostaliśmy zwolnieni z rękami... Nasza pierwotna gwarancja dana Beckowi i Rydzowi-Śmigłemu i honor jest w porządku, gdyśmy zostali z niej zwolnieni przez Sikorskiego i Raczkiewicza”.*

Znienawidzony przez komunistów i skazany na zapomnienie, doskonały pisarz Józef Mackiewicz, w kilku zdaniach książki „Zwycięstwo prowokacji” zawarł istotę relacji, które doprowadziły do największej w nowożytnych dziejach mistyfikacji. Napisał bowiem:

*„Polityka Zachodu podczas wojny kierowała się względami narzuconymi jej przez sojusz z Sowietami; polityka Zachodu po wojnie kieruje się względami narzuconymi jej przez chęć pokojowej koegzystencji z Sowietami. Dysproporcja zachodząca pomiędzy traktowaniem zbrodni hitlerowskich, a zbrodni komunistycznych, nie ma podłoża moralnego, ale wyłącznie polityczne. Wynika z różnicy w stosunku do zbrodniarza, którego się zniszczyło, a do zbrodniarza, z którym się chce współżyć, aż do „wymiany kulturalnej” włącznie. Czyli jest rezultatem tzw. „realnej polityki”.*

Do „uśmiercenia” komunizmu w roku 1989 doprowadziło w istocie jedno z najskuteczniejszych kłamstw wpisujących się w zakres owej „realnej polityki” – teoria o ewolucji komunizmu. To na jej podstawie wprowadzono bezzasadną gradację systemu komunistycznego; różniąc okres terroru lat 20. i 30., okres „błędów i wypaczeń” lat 50. i następujący rzekomo po nim „proces destalinizacji”, którego uwieńczeniem miały stać się rządy Gorbaczowa. Przeobrażenia w świecie komunizmu odczytywano jednoznacznie - jako dowód jego postępującej słabości, a każde z wydarzeń miało być objawem spontanicznego wzrostu tendencji odśrodkowych wewnątrz międzynarodowego komunizmu. Zgodnie z tą teorią, polityka „pierestrojki”, zmiany w państwach Bloku Wschodniego, a wreszcie rozwiązanie ZSRR, stanowiły logiczny ciąg zdarzeń, będący wynikiem naturalnej ewolucji systemu. Związana z nią tzw. teoria konwergencji miała zaś za zadanie usprawiedliwić sojusz państw zachodnich z komunizmem - skoro to dzięki niemu następuje upodobnienie polityki władców Kremla do wzorców demokracji Zachodu.

Twierdzenia o śmierci komunizmu było zatem działaniem w interesie politycznym obu stron. Niemniej ważny wydaje się wspólny interes ekonomiczny: ożywienie gospodarki, otwarcie ogromnych i chłonnych rynków zbytu, transfer technologii, napływ taniej siły roboczej. Korzyści płynące z mistyfikacji roku 1989 sprawiają, że na „uśmierceniu” komunizmu zarobiły wszystkie strony, najwięcej zaś ci, którzy werbalnie wsparli ten proces. Do największych beneficjentów można z pewnością zaliczyć Niemcy i Rosję. Ich wojenna historia „walki diabła z szatanem” okazała się raz jeszcze podstawą nowego porządku w Europie, dzieląc ją już nie według kryteriów politycznych ale zgodnie z ekonomicznymi interesami stron.

W tym wielkim, historycznym spektaklu, przegranymi musieli zostać ci, którzy uwierzyli, że walka z komunizmem jest obowiązkiem ludzi wolnych. A ponieważ, nie było w Europie innego państwa, w którym antykomunizm stanowiłby fundament utraconej państwowości – staliśmy się najslabszym ogniwem w łańcuchu korzyści płynących z „uśmiercenia” zbrodniczego systemu. Mieliśmy również to nieszczęście, że tylko w Polsce działała „demokratyczna opozycja” i tylko u nas przeprowadzono udany eksperyment „transformacji ustrojowej”. Tak oto - decyzją ludzi paktujących z komunistami, uznano antykomunizm za główną zbrodnię przeciwko państwowości III RP, za kompromitujący relik i objaw wsteczności.

Nietrudno zauważyć, że potępienie antykomunizmu mogło mieć sens tylko wówczas, gdyby komunizm rzeczywiście upadł, a żądanie dekomunizacji było aktem prymitywnej zemsty w stosunku do niewinnych ludzi i kontrakcji wobec nieistniejących mechanizmów. Jeśli jednak komunizm nie upadł, a okupant sowiecki zachował swoje wpływy w państwie będącym przez dziesięciolecia jego satelitą - potępienie antykomunizmu byłoby aktem politycznego sabotażu i zdrady narodowych interesów. Ludzie tacy, jak Michnik czy Mazowiecki „rozbrajając” Polaków z oręża antykomunizmu pozostawiliby nas bezbronni wobec zagrożeń ze strony kremlofskich władców.

Co zatem – jeśli jednak komunizm nie upadł, a obowiązujące od ponad półwiecza kalendarium polityczne usankcjonowało wielką mistyfikację? Jakże jest nasze położenie, jeśli w wyniku tej mistyfikacji odebrano nam jedyną, skuteczną broń?

Opublikowany przed trzema laty Raport Brytyjskiej Izby Gmin, zatytułowany „Rosja: nowa konfrontacja?” zawierał wyraźnie sformułowaną tezę o ciągłości historycznej obecnej polityki Kremla z okresem Rosji Sowieckiej. Przytacza się tam zdanie Martina McCauleya, byłego wykładowcy Uniwersytetu w Londynie, który stwierdził: *„Rosja chce stać się jak ZSRR. Jej celem końcowym jest bycie supermocarstwem”.* Cytuje się także słowa samego Putina o tym, iż *„upadek ZSRR był największą, geopolityczną katastrofą”.*

Jeśli dzisiejsza Rosja kierowana przez funkcjonariuszy KGB, jest zaledwie kolejną mutacją zbrodniczego systemu, a nas rozmyślnie pozbawiono antykomunizmu – tej jedynej broni, którą mogliśmy przeciwstawić zamysłom Moskwy – czy pojmujemy groźbę naszego położenia i jak możemy bronić się przed utratą narodowej tożsamości?

**CDN...**

*Cykl tekstów zatytułowanych „Antykomunizm – broń utracona” opublikowałem w roku 2009, gdy polityka władz III RP zmierzała do smoleńskiego epilogu. Poprawioną i uzupełnioną wersję tych tekstów chciałbym przypomnieć obecnie, gdy pytanie o postawę antykomunistyczną staje się coraz bardziej zasadne*

środa, 13 czerwca 2012

**701. ANTYKOMUNIZM – BROŃ UTRACONA 2.**

„Nie podszywajmy się pod metafizykę, nie nadymajmy się, mówmy o rzeczach prymitywnych językiem prymitywnym” – postulował Zbigniew Herbert w „Hańbie domowej” Jacka Trznadła. To dobra rada, gdy wypada mówić o komunizmie, lub wtedy, gdy szukamy prób odpowiedzi na pytanie zadane przed kilku laty przez prof. Krasnodębskiego: *czy trzeba jeszcze walczyć z komunizmem, czy antykomunizm ma jeszcze sens?*

Jeśli przyjmiemy, że przekazy mówiące o „śmierci” komunizmu są prawdziwe, postawa antykomunistyczna traci jakikolwiek sens. Nie można przecież walczyć z czymś, co już nie istnieje i nie stanowi zagrożenia. Broń antykomunizmu byłaby wówczas orężem Don Kichota, widzącego w pocziwch wiatrakach demoniczne potwory.

Nie obędzie się zatem bez odpowiedzi na pytanie - czym był lub czym nadal jest komunizm? Pamiętając o postulatcie Herberta, nie warto zagłębiać się w filozoficzne rozważania. Tym bardziej, że komunizm filozofią nigdy nie był.

Już tylko wielość koncepcji komunizmu powinna wywoływać podejrzenia u ludzi trzeźwo myślących. Dla jednych był przecież szlachetną utopią, dla innych ideokratycznym totalitaryzmem; jedni wywodzili jego podstawy z moralizmu, inni z nihilizmu; według jednych zrodził go idealizm i humanizm, zdaniem drugich wulgarny materializm i ucieczka od wolności; jedni widzieli w nim fałszywą religię, inni oświecającą gnozę. Według niektórych, komunizm to sama ideologia, inni twierdzą, że doktryna polityczna i ekonomiczna.

Ważne jest – na co zwrócił już uwagę prof. Ryszard Legutko - że spór o komunizm zaangażował niemal wszystko, co w dziedzinie myśli zrodziła tradycja zachodnia, a tym samym rzucił cień wątplenia na cały dorobek tej tradycji.

Myślę, że taka różnorodność definicji dowodzi dwóch rzeczy: ludzie są zdolni wymyślić każdą brednię byle usprawiedliwić swoje najniższe instynkty, a sam komunizm nie jest tym, o czym mówią pseudonaukowe definicje.

Dlatego sądzę, że nie warto analizować rzekomej ideologii komunizmu, lecz cele, do których zmierza, nie warto zajmować się badaniem historii idei, lecz samą historią, na której komunizm odcisnął swoje zbrodnicze piętno. Jedno jest pewne: pod każdą myślą wytworzoną przez komunizm kryło się atawistyczne pragnienie władzy jednej grupy ludzi nad drugą, każda z jego teorii wynikała z planu panowania nad światem, a wszelka aktywność była nakierowana na realizację tego planu.

Dlatego komunizm musiał być prymitywny, cyniczny i kłamliwy – po to, by posługująca się nim grupa mogła dokonać aksjologicznego oszustwa, a tym, którzy ją wsparli dać skuteczne narzędzia do walki o władzę i „rząd dusz”. Musiał stworzyć świat fikcji i chaosu, w którym nie obowiązywały żadne normy i prawidła – po to by grupie swoich zwolenników stworzyć przestrzeń, w której będą mogli realizować najpodlejsze zamysły.

Cokolwiek powiedziano lub zrobiono w komunizmie, każda jego zbrodnia, kłamstwo i manipulacja - miała jeden, podstawowy cel: władzę nad człowiekiem i panowanie nad światem.

Dlatego kardynalnym błędem popełnianym najczęściej przy ocenie komunizmu jest dopatrywanie się w nim filozofii, ideologii bądź politycznej doktryny, podczas gdy wszystkie one stanowiły wyłącznie narzędzie dla realizacji celu – nigdy cel sam w sobie. Gdy było to konieczne - zostały przyjęte i zastosowane, gdy okazały się zbędne - zmieniono je lub odrzucono. „*A czymże jest nasza teoria – nauczał Lew Trocki - jeśli nie po prostu narzędziem działania? Tym narzędziem jest dla nas teoria marksistowska, bo aż do dziś nie wymyślono lepszego.*”

Wszystkie teorie związane z komunizmem służyły temu tylko, by dać alibi mordercy, psychopacie i złodziejowi, usankcjonować kolejną patologię i zbrodnię – na tyle przekonująco, by ukryć podłoże najniższych instynktów, usprawiedliwić żądzę władzy, bogactwa i dominacji.

W zgodzie z tą dialektyką, Lenin tłumaczył swoim wyznawcom: „*Trzeba zrozumieć, że należy być przygotowanym na wszelkie możliwe sztuczki, podstępny, nielegalne metody, na przemilczanie, zatajanie prawdy*”. Tę samą myśl rozwinął Trocki w „*Ich moralność, a nasza*” pisząc: „*Konieczność uciekania się do podstępów i sprytu, zgodnie z wyjaśnieniem Lenina, wynika z faktu, że reformistyczna biurokracja, zdradzająca robotników na rzecz kapitału, szczuje na rewolucjonistów, prześladowuje ich, a nawet korzysta przeciwko nim z burżuazyjnej policji. „Spryt” i „zatajanie prawdy” są w tym wypadku tylko środkami uzasadnionej samoobrony przed zdradziecką reformistyczną biurokacją.*”

Kłamstwo, „spryt” i „zatajanie prawdy” – były od początku podstawowym składnikiem komunizmu, z nich też zbudowano podwaliny rzekomej ideologii.

Nigdy wcześniej człowiek nie wynalazł tak skutecznego mechanizmu do walki przeciwko drugiemu człowiekowi. Jakkolwiek w historii ludzkości, zbrodnicze instynkty wspierano różnymi argumentami, zaś mali i wielcy tyrani korzystali z nieograniczonego zasobu sofizmów, by uzasadnić konieczność zbrodni - to nie mordowano milionów ludzi odwołując się przy tym do antyfilozoficznej utopii i haseł budowania szczęśliwego społeczeństwa.

Dopiero komunizm zrealizował obłądny postulat Robespierre’a: „*Przypieczętowując naszą pracę naszą krwią możemy w końcu ujrzeć jaskrawy świt powszechnego szczęścia*” – przy czym to nie twórcy komunizmu płacili cenę krwi za „jaskrawy świt” tej szczęśliwości, lecz ich ofiary.

Gdybyśmy z tej perspektywy spróbowali ocenić komunizm, staje się oczywiste, że w wymiarze historycznym był on zawsze metodą na realizację interesów ludzi dążących do absolutnej, totalitarnej władzy nad światem – grupy, która w tym celu przyjęła określoną ideologię oraz zbiór funkcjonalnych teorii politycznych i ekonomicznych.

Lew Trocki wyznał wprost - „*Materializm dialektyczny nie zna dualizmu środka i celu. Cel w sposób naturalny wynika z samego historycznego ruchu. Środki są w sposób organiczny podporządkowane celowi. Najbliższy cel staje się środkiem dla celu bardziej odległego*”.

To zatem, co definiowano dotąd jako komunizm, musi być zaledwie zbiorem pomocniczym w opisanu działalności owej grupy – podobnym do definicji terrorizmu islamskiego czy przestępczości mafii kalabryjskiej, które nazywają wprawdzie określone zjawisko lecz czynią to zawsze w odniesieniu do konkretnych postaci i zdarzeń.

Nie dotyka zatem samej istoty zła, opisując zaledwie jego zewnętrzne atrybuty i koncentrując uwagę na skutkach. Nazywając stalinizm bądź okres rządów Breżniewa, komunizmem – dostrzeżemy tylko jego wymiar historyczny, ujawniony poprzez wydarzenia i metody wykorzystywane w tym okresie.

Błąd wielu definicji zdaje się polegać na tym, że objawy nazywają chorobą, a różnorodne formy aktywności grup używających komunizmu - biorą za niego samego. Innymi słowy – dotąd definiowano komunizm poprzez jego atrybuty zewnętrzne, formę lub skutki - nie zaś poprzez wewnętrzną logikę i wspólnotę celów.

Dopiero odrzucenie tej zwodniczej optyki pozwala dostrzec prawdziwe oblicze najbardziej zbrodniczego narzędzia. Pozwala też zrozumieć, że komunizm nie mógł „umrzeć” – ani w roku 1989, ani w latach następnych. Nie mógł – ponieważ nie jest ideologią, systemem politycznym czy gospodarczym. Tworzą go ludzie, poszczególne grupy interesu, organizacje, czy rządy państw. Wszystko, czego ci ludzie używali: ideologia, język, zbiór pojęć polityczno-ekonomicznych czy aksjologia oraz struktury w których funkcjonowali – nazywano błędnie komunizmem. Likwidacja lub transformacja tym form zewnętrznych, nie

mogły mieć żadnego wpływu na dalsze trwanie komunizmu. Dotyczyły zaledwie funkcjonalnej powłoki, przyjętej w określonym momencie historii. Były rodzajem gadziej wylinki, której pozbyto się, gdy okazała się nazbyt niewygodna. Zmiana nazwy ZSRR - na Rosja, PRL - na III RP, SB - na UOP, I sekretarza - na prezydenta, Komitetu Centralnego - na rząd, gospodarki socjalistycznej - na rynkową, itp. zabiegi semantyczne, nie miały najmniejszego znaczenia. Podobnie, jak likwidacja struktur i zamiana symboli, rezygnacja z ideologii w miejsce pragmatyki, zastąpienie hasel propagandowych - tzw. politycznym marketingiem, likwidacja monopartii w miejsce kontrolowanego systemu wielopartyjnego. Żadne z tych zabiegów nie mogły mieć znaczenia, ponieważ zachowano nietkniętą, wewnętrzną treść komunizmu.

Wszystko, czego byliśmy świadkami w latach 80.i początku 90. było spektaklem zamiany jednej formy na drugą - ogromną, rozpisaną na wielu wykonawców mistyfikacją, podczas której zastąpiono zużyte, zbędne narzędzia innymi, przydatnymi w warunkach nowej rzeczywistości. Nie sposób przyrównać tego procesu do ewolucji - ona bowiem zakłada rozwój w stronę form wyższych, przy jednoczesnej zmianie cech gatunkowych. Tu - zmieniono formy, lecz ewolucja nie dotknęła samego „gatunku” - czyli ludzi używających komunizmu jako narzędzia panowania.

Od początku owej transformacji wsparto ją na środkach, którymi komunizm posługiwał się najlepiej: dezinformacji i manipulacji. Rozłożono na setki poszczególnych zdarzeń, zaangażowano tysiące zwolenników i miliony nieświadomych statystów, uwiarygodniono postaciami ludzi dobrej woli i żywiołowymi reakcjami społeczeństw.

Warto zauważyć, że transformacja grupy interesu zwanej polskimi komunistami, odbyła się całkowicie bezproblemowo. Żadnych kłopotów nie nastąpiła rezygnacja z ideologii; bezboleśnie pożegnano się z gospodarką planową, socjalizm przekształcono w pseudodemokrację, a dotychczasowe sojusze zastąpiono innymi. Ludzie komunizmu niemal natychmiast stali się żarliwymi bojownikami o wolność, piewcami pluralizmu, zwolennikami NATO i Unii Europejskiej. W ciągu krótkiego okresu dokonali niebywałego „skoku cywilizacyjnego”, często wyprzedzając tradycjonalistyczne i „niepostępowe” społeczeństwo. Używane do dziś określenie - postkomuniści, było wyjątkowo użytecznym kłamstwem, ponieważ sytuowało tę grupę w rzekomym „okresie przejściowym” - podczas gdy nadal mamy do czynienia wyłącznie z komunistami.

Przykład polskiej transformacji jest wręcz modelowy dla przeobrażeń, jakim poddano niemal wszystkie grupy posługujące się komunizmem. Ta doskonała zdolność akomodacji i mimikry, właściwa w przyrodzie dla drapieżników oraz organizmów prymitywnych acz żywotnych - potwierdza nie tylko zbrodniczo - pasożytniczy charakter komunizmu, ale świadczy o jego sile i woli przetrwania.

Gdyby komunizm był ideologią lub filozofią, upadłby natychmiast, gdy zabrakło argumentów aksjologicznych i wspólnoty poglądów. Gdyby był systemem politycznym, skończyłby się wraz z rozwiązaniem partii komunistycznej, rezygnacją z dogmatów i „dyktatury proletariatu”.

Ponieważ nie był ani jedyny ani drugim - mógł bezboleśnie poświęcić wszystkie dotychczasowe formy zewnętrzne i również łatwo zastąpić je innymi.

Niezmienni pozostali bowiem ludzie korzystający z narzędzi komunizmu i cele, które przed sobą postawili. Niezmienny pozostał ich realny potencjał i metody osiągania celów. Są tymi, o których nihilista Wierchowieniecki prorokował w „Biesach” Dostojewskiego: *„Zostaną tylko ci, którzy wyznaczyli się do zagarnięcia władzy! Mądrych zyskamy, a pojedziemy na plecach głupców!”*

Z tej przyczyny, proces, który obserwowaliśmy przed dwoma dekadami nie mógł doprowadzić do żadnego uśmiercenia komunizmu. Oglądaliśmy jego udaną transformację i przejście w bardziej zaawansowane stadium działalności.

Istnieje też bezpośredni dowód, że ów rzekomy „nieboszczyk” nadal posiada ogromne wpływy i może decydować o przyszłości świata.

Jest nim powszechne zaniechanie rozliczenia zbrodni komunistycznych i oczyszczenia Europy z komunistycznej przeszłości. W tym zakresie, reakcja rządów i społeczeństw europejskich diametralnie różni się od sposobu, w jaki potraktowano faszyzm - jedną z młodszych mutacji komunizmu. Poświęcono ją bowiem na „ołtarzu historii” - nie dlatego, iż była bardziej zbrodnicza od komunizmu, ale dlatego, by zachować nietknięty główny nurt. Ten rażący kontrast w traktowaniu obu odmian tego samego totalitaryzmu, to jeden z politycznych i moralnych paradoksów naszych czasów, niezrozumiały tylko dla tych, którzy uwierzyli w „śmierć” komunizmu.

## CDN....

*Cykl tekstów zatytułowanych „Antykomunizm - broń utracona” opublikowałem w roku 2009, gdy polityka władz III RP zmierzała do smoleńskiego epilogu. Poprawioną i uzupełnioną wersję tych tekstów chciałbym przypomnieć obecnie, gdy pytanie o postawę antykomunistyczną staje się coraz bardziej zasadne*

piątek, 15 czerwca 2012

## 702. MISTRZ I UCZEŃ

Inicjatywy legislacyjne Bronisława Komorowskiego obejmują wyłącznie te obszary życia publicznego, w których lokator Belwederu może powiększyć własne uprawnienia lub znacząco zaostrzyć przepisy prawa. Gdyby osoba polityka PO podlegała rzetelnej ocenie mediów, Polacy musieliby się dowiedzieć, że pomysły Komorowskiego są inspirowane prawodawstwem reżimu kremłowskiego i zmierzają w kierunku putinizacji III RP.

Już pierwsza inicjatywa ustawodawcza: nowela ustawy o stanie wojennym oraz o kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych, dała Komorowskiemu realne narzędzie, przy pomocy którego można np. anulować każdy niekorzystny werdykt wyborczy lub zablokować zmiany groźne dla układu rządzącego. Na jej podstawie lokator Belwederu uzyskał prawo, by na wniosek Rady Ministrów wprowadzić stan wojenny lub stan wyjątkowy w sytuacji „szczególnego zagrożenia dla ustroju państwa” lub w przypadku „działań w cyberprzestrzeni” - przy czym definicje obu tych zagrożeń nie zostały w ustawie sprecyzowane, co pozwala grupie rządzącej na dowolną interpretację.

Poszerzeniu władzy prezydenckiej służyły również propozycje przeprowadzenia „reform systemowych” w zakresie funkcjonowania służb specjalnych. Stanowią one integralną część „konceptji bezpieczeństwa” tworzonych obecnie w ramach tzw. Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego. Opracowane w BBN-nie pomysły prowadzą do koncepcji funkcjonowania służb specjalnych w oparciu o układ personalny byłych WSI. Koncepcji, w której prezydent sprawujący

zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi za pośrednictwem ministra obrony narodowej, będzie faktycznym decydem w kwestiach bezpieczeństwa narodowego.

Projekt Komorowskiego ma dać gwarancje trwałości obecnej władzy i zabezpieczyć jej interesy w perspektywie kryzysu ekonomicznego lub politycznego. Wyraźnie też zmierza do wykreowania utajnionej formuły rządów prezydenckich, podobnych do istniejącej w putinowskiej Rosji.

Po raz kolejny Bronisław Komorowski uaktywnił się tuż po lewackich prowokacjach z 11 listopada ubiegłego roku, gdy niespodziewanie zgłosił postulat dokonania natychmiastowych zmian w ustawie o zgromadzeniach i wystąpił z gotową propozycją nowelizacji zaostrzającej prawo do organizowania zgromadzeń. Projekt prezydencki przewidywał m.in.: wprowadzenie możliwości identyfikacji osób biorących udział w zgromadzeniu oraz drakońskie kary finansowe wobec organizatorów manifestacji.

Nietrudno zauważyć, że inicjatywa legislacyjna Komorowskiego jest w całości wzorowana na putinowskim projekcie ustawy o zgromadzeniach publicznych, a w niektórych przypadkach zawiera wręcz identyczne propozycje. Wyprzedza wprawdzie projekt Putina – co może jedynie świadczyć, że na temat tego rodzaju regulacji polscy i rosyjscy „przyjaciele” rozmawiali już wcześniej.

Tak Komorowski, jak i partia Putina zgłosili nowelizację przepisów tuż po manifestacjach antyrządowych: Komorowski po 11 listopada 2011 roku, „Jedna Rosja” - po kwietniowych i majowych protestach rosyjskiej opozycji.

W zakresie uzasadnienia nowelizacji zastosowano tę samą argumentację.

*„Celem prezydenckiej inicjatywy – możemy dowiedzieć się ze strony internetowej Komorowskiego - jest stworzenie mechanizmów i instytucji utrudniających wykorzystywanie instytucji zgromadzeń do zachowań chuligańskich, zagrażających ludziom i powodujących straty materialne. Zachodzi potrzeba dostosowania Prawa o zgromadzeniach do nowych warunków, ale jednocześnie w taki sposób, aby nie naruszyć podstawowej kwestii, jaką jest wolność zgromadzeń”.* Zdaniem sekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta Krzysztofa Łaskiewicza *„w ciągu ostatnich 20 lat miały miejsce nowe zjawiska społeczne, które nakazują podjęcie działań formalnych”.* „Projekt prezydencki – stwierdził Łaskiewicz - oparty jest na dwóch podstawowych przesłankach: pełnym poszanowaniu wolności organizowania pokojowych zgromadzeń oraz ochronie każdego, kto legalnie korzysta z tej wolności.”

W identyczny sposób potrzebę zaostrzenia przepisów uzasadniała partia Putina, powołując się na konieczność dostosowania prawa i ochronę obywateli: *„Cel tej ustawy jest oczywisty – chodzi o zapobieganie destabilizacji sytuacji, o przeszkadzanie prowokatorom w podejmowaniu sprzecznych z prawem poczynań podczas masowych wieców. Koncepcja ustawy polega na zapewnieniu cywilizowanego prowadzenia wieców oraz bezpieczeństwa obywateli”-* wyjaśniał szef "Jednej Rosji" Andriej Worobjow. *„Należało wypracować nowe normy, z uwzględnieniem doświadczenia międzynarodowego. Ustawa uwzględniła najlepsze osiągnięcia krajów europejskich, Stanów Zjednoczonych i Kanady” –* twierdził zaś rosyjski politolog Paweł Danilin w wypowiedzi dla „Głosu Rosji”.

Projekt Komorowskiego przewiduje m.in.: zakaz zakrywania twarzy podczas demonstracji, szczególną odpowiedzialność przewodniczącego za przebieg zgromadzenia oraz za zachowania uczestników demonstracji, wprowadzenie kar grzywny: do 7 tys. zł dla przewodniczącego zgromadzenia, *„jeśli nie wykonuje on swych obowiązków i nie przeciwdziała naruszeniom porządku publicznego”* oraz do 10 tys. zł dla uczestnika zgromadzenia, *„który nie podporządkowuje się poleceniom przewodniczącego tego zgromadzenia”.* Zgodnie z projektem, gminy mogłyby zakazać organizacji dwóch lub więcej zgromadzeń w tym samym miejscu lub czasie, *„jeżeli doprowadzić to może do naruszenia porządku publicznego”.* Projekt mówi też, że za przebieg zgromadzenia odpowiada jego przewodniczący, *„który musi być łatwo rozpoznawalny wśród pozostałych uczestników demonstracji”*, zaś *„uczestnicy manifestacji, jak również osoby postronne zakłócające jej przebieg, muszą stosować się do poleceń przewodniczącego”.* Ponadto zgodnie z nowelizacją, w zgromadzeniach nie będą mogły uczestniczyć *„osoby posiadające przy sobie broń, materiały wybuchowe, wyroby pirotechniczne i materiały pożarowo niebezpieczne”.*

W tym samym kierunku zmierza nowela przyjęta obecnie przez rosyjską Dumę. Przewiduje obciążenie przewodniczącego odpowiedzialnością za przebieg zgromadzenia, przy czym organizatorem może zostać uznana osoba, która faktycznie przewodziła tłumem, a niekoniecznie ta, która zgłaszała zamiar przeprowadzenia manifestacji oraz zaostrza kary finansowe. Kara grzywny za naruszenie ustawy o zgromadzeniach publicznych została podniesiona z obecnych 2000 (60 dol.) do 300 tys. rubli (9 000 dolarów) dla osób fizycznych oraz z 50 tys. (1600 dol.) do 1,5 mln rubli ( 48300 dol.) dla osób prawnych. Takie kary można zapłacić np. za zakrywanie twarzy podczas demonstracji oraz za *„niedopełnienie wszelkich nakazów służb porządkowych”.* Uczestnik zgromadzenia, podczas którego naruszono prawo, będzie musiał zapłacić karę lub zamienić ją na kilkadziesiąt godzin prac społecznych. Jeżeli w wyniku działania demonstrantów ranny zostanie człowiek, kara wzrośnie do 300 tys. rubli lub 200 godzin prac społecznych. Za zakłócenie komunikacji miejskiej podczas manifestacji lub marszu przewidziano pół miliona rubli kary. W zgromadzeniach nie mogą uczestniczyć osoby posiadające broń lub *„materiały wybuchowe i substancje łatwopalne”.*

W obu przypadkach mamy do czynienia z regulacjami, które istotnie ograniczają wolność zgromadzeń i prowadzą do budowania państwa policyjnego. O intencjach pomysłodawców świadczą głównie te zapisy, które nakładają szczególne obowiązki i kary na organizatorów manifestacji. W projektach Komorowskiego i Putina chodzi zatem o zastraszenie opozycji i przeciwników politycznych, m.in. poprzez zastosowanie wobec nich drakońskich sankcji i obarczenie odpowiedzialnością za zachowania uczestników zgromadzeń.

Pomysły Komorowskiego idą jednak znacznie dalej niż nowela uchwalona przez rosyjską Dumę, bo przewidują np. możliwość rozwiązania zgromadzenia *„w przypadku niemożności skontaktowania się z jego przewodniczącym”*, obowiązek posiadania przez przewodniczącego *„wyróżników określających jego funkcję przekazanych przez organ gminy”* czy prawo do odmowy wydania zgody na organizację manifestacji *„w przypadku, gdy organizator zgromadzenia zgłoszonego później, mimo wezwania ze strony organu gminy do zmodyfikowania czasu, miejsca i trasy zgromadzenia nie dokonał wymaganych zmian”.*

Propozycje lokatora Belwederu są wyraźnie skierowane przeciwko liderom opozycji. W nowelizacji ustawy czytamy np.: *„W celu zapobieżenia sytuacji, w której organizator zgromadzenia nie podejmuje aktywnych działań na rzecz jego przeprowadzenia w sposób pokojowy, zgodny z deklarowanym celem, proponuje się wprowadzenie wymogu, w myśl którego w przypadku, gdy organizatorem zgromadzenia jest osoba prawna lub podmiot nie mający osobowości prawnej przewodniczącym zgromadzenia był członek władzy statutowej takiej osoby lub podmiotu” –* co w praktyce ma zmusić szefostwo partii politycznych czy stowarzyszeń, do przyjęcia roli przewodniczących zgromadzenia.

Przesłanką umożliwiającą wydanie zakazu manifestacji może być natomiast sytuacja, w której *„zagrożenie dla życia lub zdrowia albo mienia w znacznych rozmiarach stanowi odbycie dwóch lub więcej zgromadzeń w tym samym miejscu i czasie.”*

Dla zablokowania manifestacji opozycji wystarczy zatem, by w tym samym czasie chęć demonstrowania zgłosili zwolennicy rządu lub każda inna grupa obywateli. Wobec braku precyzyjnych definicji – przepis ten stwarza wręcz nieograniczone możliwości ograniczania wolności zgromadzeń.

Dla każdego, kto zna prawdziwe poglądy i mentalność lokatora Belwederu, propozycje tego rodzaju rozwiązań prawnych, nie mogą zaskakiwać. Może natomiast dziwić, że o ile światowa opinia publiczna i liczne organizacje pozarządowe powszechnie krytykują przywódcę Rosji za narzucenie ustawy dławiącej swobody obywatelskie, o tyle w przypadku Bronisława Komorowskiego – który znacząco przewyższył swojego mistrza - panuje obłudne milczenie.

środa, 20 czerwca 2012

### 703. MY NIE AGRESORY

Był rok 1945. Polsko-sowiecki patrol prowadził niemieckiego jeńca. Nagle czerwonoarmista zażądał od Niemca, aby ten go kopnął. Jeniec się wzbraniał. Rosjanin podparł więc polecenie wymownym gestem pepeszy. Zdesperowany jeniec kopnął rozkazodawcę. Ten serią z karabinu natychmiast zabił nieszczęśnika. Zdumiony Polak zapytał, dlaczego sojusznik nie zabił od razu, a kazał się kopnąć. *Nu! ty durak!* – usłyszał w odpowiedzi – *nie znajesz czto my nie agresory.*

Przytaczam ten anegdotę, bo w znakomity sposób obrazuje strategię działania reżimu kremłowskiego i opisuje stan dzisiejszych relacji polsko-rosyjskich. Nikt rozsądnie myślący nie może mieć wątpliwości, że zdarzenia związane z obecnością rosyjskich kibiców są rozgrywane według tego skutecznego scenariusza.

Rosyjska prowokacja w praktyce realizowana jest poprzez zainspirowanie określonej sytuacji, a następnie odwrócenie jej skutków w sposób korzystny dla interesów agresora. Wokół celowo wywołanych zdarzeń uruchamiana jest natychmiast kampania medialna, mająca jasno określone założenia i cele polityczne.

Schemat tych kampanii obejmuje cztery zasadnicze fazy, przy czym ostatnia z nich decyduje głównie o korzyściach agresora. Sposób rozegrania poszczególnych faz wskazuje, że są one inspirowane i koordynowane przez ośrodki służb specjalnych.

W pierwszej, następuje uruchomienie akcji poprzez wrzucenie w przestrzeń medialną określonego pomysłu-projektu. Autorami pomysłu są zawsze osoby i środowiska formalnie niezależne od władzy, co ma sugerować rodzaj oddolnej, apolitycznej inicjatywy. W przypadku Euro, miał to być przemarsz rosyjskich kibiców-patriotów, uzbrojonych w symbole reżimu komunistycznego. W roli pomysłodawcy wystąpił Ogólnorosyjski Związek Kibiców i jego szef Aleksander Szprygin, w przeszłości członek związanej z FSB partii Żyrinowskiego. – *„Polacy muszą zrozumieć, że dla kibiców rosyjskich symbolika sowiecka nie równa się faszystowskiej”* – oświadczył rosyjski prowokator i zapowiedział, że jeśli strona polska nie zrezygnuje z zakazu używania „sierpa i młota” podczas turnieju Euro, to 50 tys. rosyjskich kibiców może wyjść na ulice Warszawy w czerwonych koszulkach z tymi właśnie symbolami.

W każdym normalnym państwie, po takiej deklaracji, człowiek ten otrzymałby dożywotni zakaz wjazdu, a grupą młodzieżówki FSB zajęłaby się służba wywiadowcza.

Warto przy tym zwrócić uwagę, że pomysł organizowania „marszu” z okazji rosyjskiego święta narodowego był głęboko sprzeczny z niedawną deklaracją Władymira Putina. Komentując bojkot Euro na Ukrainie, prezydent Rosji stwierdził: *„pod żadnym pozorem nie powinno się mieszać polityki, biznesu oraz innych kwestii ze sportem. należy zostawić sport w spokoju”*.

W drugiej fazie do kampanii włączają się agencje informacyjne, rosyjskie gazety i portale internetowe. W ten sposób początkowo incydentalny pomysł przeradza się w główny temat dyskusji i staje w centrum uwagi publicznej. Wokół niego narasta atmosfera zainteresowania i spekulacji, budowane jest poczucie zagrożenia i generowania konfliktu. Na tym etapie do kampanii zazwyczaj włączają się rosyjscy publicyści i niżsi rangą politycy oraz zachodnie ośrodki medialne, tradycyjnie inspirowane przez Kreml. Podgrzewają atmosferę i przygotowują opinię publiczną do przyjęcia określonej postawy. To również czas, gdy aktywizuje się agenturę wpływu oraz rzesze polskojęzycznych żurnalistów, taktujących w rytm rosyjskiej narracji.

Etap ten mogliśmy poznać po licznych rosyjskich publikacjach, w których dramatycznie pytano *„czy nasi przejdą przez Warszawę?”* (Rossijskaja Gazjeta), potępiano zakaz wykorzystywania radzieckiej symboliki, a nawet przypominano stronie polskiej, że *„to właśnie pod tymi symbolami radzieckie wojska wyzwalały Polskę od hitlerowskiej armii”* (Life News). Atmosferę podtrzymywał sam Szprygin, epatując np. media twierdzeniem, że wrocławscy *„stewardzi dostali za swoje”*. Do akcji wkroczyli również niżsi przedstawiciele rządu FR, a za charakterystyczną można uznać wypowiedź rosyjskiego ministra sportu Witalija Mutko, który uznał, że *„strona polska sztucznie podgrzewa sytuację i prowokuje naszych kibiców do kroków protestacyjnych”*.

W tej fazie wykorzystano również zaprzyjaźnione media zachodnie, zaś do elementów kampanii należy zaliczyć film BBC o agresji polskich kibiców i rasizmie na naszych stadionach – mający na celu ukierunkowanie przyszłych reakcji społeczeństw zachodnich. Temu również służyły publikacje, w których wyraźnie wskazywano na potencjalnych sprawców: *„dużą część ła informacyjnego w Polsce kształtują siły skrajnie prawicowe, które żerują na narodowych fobiach i kompleksach”* - pisały Moskowskie Nowosti na kilka dni przed rosyjskim występem. O politycznym charakterze prowokacji świadczą słowa zawarte w innej publikacji tej kremłowskiej tuby propagandowej: *„W świecie, jakim go widzi polska ultrapravicą, Polska jest otoczona przez wrogów; liberalne i lewicowe partie składają się ze zdrajców i szpiegów, a Rosja i Niemcy tylko czekają na sprzyjający moment, by zdusić polską niepodległość”*.

Oprawa propagandowa fazy drugiej była czynnie wspierana przez rodzimych żurnalistów, przy czym za szczególnie cenne dla interesów agresora trzeba uznać te publikacje, których autorzy mocno podsycali atmosferę, a nawet proponowali polskim kibicom przyłączenie się do rosyjskiego „marszu” – rzekomo w celu odwrócenia jego akcentów politycznych.

Trzecia faza, przypada na okres bezpośrednio po dokonaniu prowokacji. Zmuszony do reakcji jeniec kopnął już sowieckiego żołdaka – trzeba zatem podjąć działania „w obronie własnej”. Do kampanii włączają się natychmiast tzw. czynniki oficjalne: przedstawiciele rosyjskich władz i instytucji państwowych, którzy występując z pozycji zatroskanych (a zawsze obiektywnych) obserwatorów, stają w obronie agresora, nagłaśniają reakcje ofiary oraz różnymi metodami próbują wpłynąć na zażegnanie rzekomego konfliktu, dążąc w istocie do jego eskalacji.

Bez trudu można rozpoznać te elementy w natychmiastowym wysłaniu do Polski Michała Fiedotowa, rozmowie telefonicznej Putina z Tuskiem czy komunikacie MSZ Rosji, w którym wyrażono „szczerą nadzieję”, że podobne wydarzenia się nie powtórzą, *„a pozostałe mecze staną się prawdziwym świętem dla wszystkich miłośników futbolu”*. Jeśli polski MSZ twierdzi, że wizyta Fiedotowa była anonsowana już 8 czerwca, dowodzi to tylko tyle, że mamy do czynienia z działaniem w pełni zamierzonym. Reakcja rosyjska na tak wysokim szczeblu sugeruje zaś, że reżim kremłowski przywiązuje dużą wagę do rozgrywania zdarzeń wokół Euro.

Ponieważ na tym etapie potrzeby jest zabieg odwrócenia skutków prowokacji, rosyjskie media zmieniły ton i zaczęły perorować, iż „*polskie władze nie powinny być zezwalać na marsz rosyjskich fanów*” (Moskowskije Nowosti) dając wyraźnie do zrozumienia, że winę ponosi wyłącznie strona polska. Inne z mediów (Sowietskij Sport) wyrażały obawy, że „*wydarzenia z 12 czerwca to jeszcze nie koniec*”, bo „*osiłkowie, którzy napadli na rosyjskich obywateli, pozostaną w Warszawie*”. Rządowa rozgłośnia „Głosu Rosji” stwierdziła bez ogródek: „*Był to totalny terror wobec kibiców rosyjskich, i to nie wobec chuliganów, lecz wobec zwykłych kibiców, ludzi, którzy przyjechali tu z rodzinami. Widzieliśmy zdjęcia, które utrwaliły bicie ludzi starszych, ludzi, którzy szli z dziewczynami, nie nastawionych na żadne konflikty*”. Jeśli do tego chóru dołączają media zachodnie, rezonując oburzenie Rosjan i przedstawiając ofiarę jako agresora – kampania nabiera rozpędu i można ją poszerzyć o kolejne odstony, jak np. ponowne wysłanie z „misją pokojową” Michaiła Fiedotowa czy operację wzmocnienia ochrony Ambasady RP w Federacji Rosyjskiej, co miało sugerować, że „*polscy napastnicy*” muszą liczyć się z kontrą rosyjskich patriotów.

Najważniejsza jest jednak faza czwarta, której skutki odczujemy w perspektywie najbliższych miesięcy. Polega ona na bezwzględny wykorzystaniu i konsumpcji efektów prowokacji oraz podobnie – jak ma to miejsce w przypadku propagandy historycznej – na włączeniu ich w globalną politykę rosyjską i rozegraniu przeciwko Polakom.

Faza czwarta ukaże nam nie tylko prawdziwy wymiar obecnych działań Kremla, ale pozwoli zrozumieć, że grupa rządząca Polską jest dziś sojusznikiem w dziele rosyjskiej prowokacji.

Nie ulega wątpliwości, że zgoda na przemarsz putinowskiej młodzieżówki była decydująca dla powodzenia całej operacji. Gdyby – zgodnie z zasadami państwa prawa - akcję zduszono na tym etapie, nie mogłaby sięgnąć udanego finału. Nie ma też wątpliwości, że wasalne wypowiedzi Tuska i jego ministrów oraz farsa „*przepraszania*” Rosjan przez polskojęzyczne „*elity*” III RP, były działaniem w interesie prowokatorów. Zachowania tych postaci stanowią integralny element wrogiej kampanii i wpisują się w plany Moskwy. Nie można ich rozpatrywać, jako reakcji w interesie strony polskiej.

Mylą się zatem ci, którzy sądzą, że rosyjskie prowokacje są skierowane przeciwko rządowi Tuska lub mają na celu poniżenie polskich decydentów w oczach światowej opinii publicznej. Błędem również byłoby dostrzeganie w nich tematów zastępczych, mających przykryć opozycyjne „*marsze milionów*”, jakie w tym czasie odbywały się w Moskwie.

Celem obecnej prowokacji jest polskie społeczeństwo, a w niedalekiej perspektywie – polska prawica i środowiska patriotyczne. To one zostały wskazane jako agresor i one mają ponieść konsekwencje moskiewsko-warszawskiej akcji propagandowej. Ludzi obecnej władzy trzeba natomiast zaliczyć do współników Putina, nie zaś dostrzegać w nich ofiary rosyjskiej prowokacji.

Najpełniejszy wymiar tej wspólnoty znajdziemy w reakcji partii Janusza Palikota. Środowisko to stanowi w istocie przybudówkę Platformy Obywatelskiej i jest opozycją parlamentarną w takim samym stopniu, w jakim ZSL czy SD były opozycją wobec PZPR-u. Lider tej partii jest zaś alter ego Bronisława Komorowskiego i wyraża te wszystkie poglądy, których oficjalnie nie może jeszcze głosić grupa rządząca. Warto przypomnieć, że lokator Belwederu przedstawia swojego przyjaciela jako „*polityka zdradzającego postawy propaństwowe*”, „*skłonnego podejmować ryzyko z tytułu przeprowadzenia reform koniecznych dla Polski*”.

Stanowisko partii tego „*propaństwowego polityka*” przedstawione w „*donosie na Polaków*” (jak trafnie nazwano ów akt) jest więc wyrazem autentycznej odpowiedzi na rosyjską prowokację, zgodnej z intencjami grupy rządzącej. Jeśli czytamy w niej o „*kilkunastoosobowej grupie bandytów inspirowanych przez środowisko związane z PiS, Radio Maryja i Solidarnych 2010*”, która reprezentuje „*niewielką część polskiego społeczeństwa o skrajnych poglądach narodowo katolickich*” - mamy do czynienia ze wskazaniem ofiar i wyraźnym wyznaczeniem celów fazy czwartej. Ze stanowiskiem tym w pełni korespondują słowa Donalda Tuska o dokończeniu wojny z „*kibolstwem, chuligaństwem i bandytyzmem*”, publikacja journalisty „*Rzeczpospolitej*”, w której dywaguje się o „*wykorzystywaniu zdarzeń przez politycznych awanturników, którzy być może będą chcieli siać niechęć między nami*” czy postulat ministra Sikorskiego skierowany do władzy sędziowskiej, „*aby bandyterkę kibolską potraktować odpowiednio*”. Z tą ostatnią dyspozycją wiąże się też list Prokuratora Generalnego Seremeta, który zarządził, by prokuratorzy występowali do sądów o sporządzenie uzasadnień wyroków wydanych na kibiców. Polecenie Seremeta zbiegło się z informacją, że Ambasada Rosji chce sprawdzać uzasadnienia wyroków wydanych na Rosjan i udzielać im pomocy prawnej.

W tle tych wypowiedzi rysuje się plan zaostrzenia przepisów ustawy o zgromadzeniach, według projektu zgłoszonego przez Bronisława Komorowskiego oraz dokonania systemowej „*reformy*” służb specjalnych, pozwalającej na odtworzenie układu byłych WSI oraz poszerzenie uprawnień w zakresie inwigilacji społeczeństwa. Nowe przepisy wzorowane na rozwiązaniach rosyjskich, stanowiłyby skuteczną broń w walce z opozycją.

Opinia, jakoby „*donos na Polaków*” był incydentem niezwiązanym z celami grupy rządzącej, jest głęboko nieprawdziwa. Podobnie, jak postrzeganie rosyjskiej prowokacji w kategoriach działań wymierzonych w Tuska lub podważających jego pozycję. Obie strony wyraźnie dążą, by faza czwarta tej złożonej kampanii wyłoniła wspólnego wroga i stanowiła preludium do ostatecznej rozprawy z opozycją.

Strona rosyjska po raz kolejny próbuje rozgrywać polskie podziały i konflikty i czyni to za przyzwoleniem oraz w interesie grupy rządzącej. Jeśli w niedawnym oświadczeniu rosyjskiego ministra Mutki zawarto opinię, że „*agresja na Rosjan nie jest popierana przez większość polskiego społeczeństwa*” oraz postulat, by strona polska „*dołożyła wszelkich starań w celu przeciwdziałania tej sytuacji i podjęcie jak najdalej idących kroków, mających na celu powstrzymanie bezprawnych działań w stosunku do obywateli FR*” – mamy do czynienia z ujawnieniem prawdziwych celów prowokacji.

Wylimowanie rosyjskiej drużyny z rozgrywek Euro i konieczność wyjazdu młodzieżówki FSB z Polski z pewnością ograniczy możliwość kontynuowania kampanii. Nie pozbawi jednak jej autorów korzyści wynikających z fazy czwartej. *Spółeczeństwo o skrajnych poglądach narodowo katolickich* – już zostało wskazane jako wspólny wróg, a jego rozgromienie stanie się celem integrującym grupę rządzącą z rosyjskim sojusznikiem

Cytowany już organ Kremla "Moskowskije Nowosti", na kilka dni przed rosyjską prowokacją napisał, że „*większe lub mniejsze niechęć Rosji cechuje znaczną część Polaków. Polska kultura jest przepojona opowieściami o oporze przeciwko Rosjanom. A mając na uwadze, że futbol, podobnie jak inne gry zespołowe, jest surogatem wojny, to rosyjscy fani i piłkarze symbolicznie mogą zostać uznani za żołnierzy*”. Historia, którą przytaczam na początku tekstu powinna prowadzić do konkluzji, że egzekucja dokonana przez czerwonarmistę „*w obronie własnej*” ma szansę stać się fundamentem przymierza z polskim sojusznikiem

sobota, 23 czerwca 2012

Sierpniowa wizyta w Polsce Władimira Michajłowicza Gundajewa - współpracownika KGB pseudonim „Michajłow” - znanego obecnie jako Cyryl I, patriarcha Moskwy i Wszechrusi, ma stać się przełomowym wydarzeniem w procesie „pojednania” polsko-rosyjskiego.

Patriarcha, uważany w Rosji za członka ekipy Putina w przeszłości zajmował się m.in. obrotem wyrobami tytoniowymi, wwozonymi do Rosji bez cła i składowanymi w Monasterze Daniłowskim oraz handlem ropą naftową, czerpiąc z tych nielegalnych procederów milionowe zyski.

6 maja br. w kremlowskim soborze Zwiastowania Pańskiego Cyryl I odprawił nabożeństwo w intencji prezydenta Putina, modląc się „o siły duchowe i fizyczne, mądrość oraz siłę ducha dla pana prezydenta”. W tym samym dniu w centrum Moskwy tysiące przeciwników Putina stało się z oddziałami OMON-u. Pobito wówczas setki osób, a wielu przedstawicieli opozycji trafiło do aresztów. Gdy kilka dni wcześniej przeciwnicy Putina próbowali odprawić nabożeństwo w moskiewskim soborze Chrystusa Zbawiciela w intencji: „Bogurodzico przeçois Putina”, nie zostali tam wpuszczeni przez grupę aktywistów cerkiewnych i funkcjonariuszy milicji.

Ta scena doskonale opisuje obecną rolę Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego i stosunek jego hierarchów do reżimu Putina. W opinii wielu analityków oraz ludzi rosyjskiej opozycji, relacje Cerkwi z władzą kagebistów przypominają dziś okres Związku Sowieckiego, a współpraca hierarchii i państwa jest tak głęboka, że można mówić o fuzji tych dwóch porządków.

Podczas wizyty Cyryla I w Polsce ma dojść do podpisania Orędzia do Narodów Rosji i Polski – wspólnego dokumentu Rosyjskiej Cerkwi i Episkopatu Polski, nad którym prace trwały od ponad dwóch lat.

Sekretarz generalny Konferencji Episkopatu biskup Wojciech Polak poinformował, że *„Dokument ten jest przede wszystkim apelem skierowanym do wiernych obydwu Kościołów: prawosławnego w Rosji i katolickiego w Polsce o wzajemne pojednanie, o poszukiwanie dróg w kierunku kształtowania nowej przyszłości pomiędzy oboma narodami”*.

Nie mam wątpliwości, że wspólne orędzie hierarchów polskich i rosyjskich stanowi integralny element fałszywego procesu „pojednania” - narzuconego Polakom od dnia tragedii smoleńskiej i w sposób bezpośredni wpisuje się w plan uczynienia z naszego kraju rosyjskiego dominium. Jest inicjatywą, którą należy oceniać w perspektywie celów politycznych wyznaczonych przez grupę rządzącą.

Przez ponad dwa lata od śmierci polskiej elity, Episkopat Polski nie odważył się powiedzieć Polakom, że obecna władza ukrywa prawdę o tragedii smoleńskiej i w pakcie z kremlowskim ludobójcą pozbawia nas resztek godności i suwerenności. Nigdy nie usłyszeliśmy apelu o rzetelne wyjaśnienie przyczyn tragedii ani głosu w obronie tych, którzy zginęli na nieludzkiej ziemi. Nie powiedziano Polakom, kto ponosi moralną odpowiedzialność za wzniesienie kampanii nienawiści i nie wskazano winnych niszczenia naszej państwowości.

Gdy na Krakowskim Przedmieściu bito i łożono obrońców krzyża, a człowiek wybrany prezydentem rozpętał wojnę z symbolem chrześcijaństwa - w stanowisku Episkopatu z dnia 12 sierpnia 2010 r. napisano: *„Modlącym się pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu zwracamy uwagę, że w zaistniałej sytuacji stają się, mimo swej najlepszej woli, politycznym punktem przetargowym z racji konfliktu”*, a z ust najwyższych przedstawicieli Kościoła usłyszeliśmy nikczemny bełkot o *„fanatycznej sekcji broniącej krzyża”* i *„bezrozumnych zwierzętach”*.

Zaledwie miesiąc wcześniej, biskupi wystosowali swoiste hoamagium - niespotykane w historii polskiego Kościoła, gratulując wyboru na urząd Prezydenta RP człowiekowi, który nienawiścią i fałszem torował sobie drogę do tej najwyższej godności.

*„Niech dobry Bóg daje Panu Prezydentowi potrzebne siły i konieczne łaski dla owocnego wypełnienia tego zaszczytnego zadania. Polecamy Bogu osobę Pana Prezydenta, Jego Rodzinę i wszystkich współpracowników, życząc obfitości Bożych darów na lata szczególnej odpowiedzialności za Ojczyznę i wszystkich jej obywateli.”* – napisano w liście Konferencji Episkopatu Polski z 5 lipca 2010 roku. Ton tego listu należałoby porównać tylko z niedawnym wystąpieniem Cyryla I i treścią życzeń składanych Putinowi w moskiewskim soborze.

W obliczu nieszczęścia, jakie dotknęło Polaków 10 kwietnia, podstawowy przekaz ludzi Episkopatu dotyczył „pojednania z Rosją” oraz podziękowań za *„zycżliwość i wrażliwość rosyjskiego ludu”*. Zaledwie tydzień po tragedii, sekretarz Konferencji Episkopatu Polski, bp Stanisław Budzik wyraził nadzieję, *„że wspólne przeżywanie katastrofy, jaka wydarzyła się pod Smoleńskiem będzie nowym otwarciem, kamieniem milowym na drodze porozumienia i pojednania polsko-rosyjskiego”* i przypomniał, że hierarchowie polskiego Kościoła *„zinterpretowali tragiczne wydarzenia pod Smoleńskiem jako okazję do pogłębienia dialogu polsko-rosyjskiego”*.

Głos ten Polacy usłyszeli wówczas, gdy rosyjscy żołdacy niszczyli wrak samolotu, zacierali ślady po smoleńskiej tragedii i kłamliwie oskarżali polskich pilotów o spowodowanie katastrofy. Brzmiał tym bardziej obłudnie, że władze Rosji nie tylko „wspólnie przeżywały” śmierć naszej elity, ale zaprzeczały też odpowiedzialności za katyńskie ludobójstwo i wespół z rosyjską Cerkwią zawłaszczwały miejsce kaźni polskich oficerów, stawiając na terenie Zespołu Memorialnego w Lesie Katyńskim Cerkiew Zmartwychwstania Chrystusa. Inicjatorem tej budowy był Cyryl I, a jej wykonanie sfinansował koncern Rosneft, zarządzany przez ludzi KGB.

Symbolem wspólnych dążeń do zadekretowania „pojednania” z Rosją, była decyzja władz Archidiecezji Warszawskiej o ulokowaniu w biurowcu należącym do Archidiecezji siedziby Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Ta rządowa instytucja została powołana natychmiast po tragedii smoleńskiej i na wzór komunistycznego TPPR –u, ma zajmować się *„ratyfikacją polsko-rosyjskiego dialogu i porozumienia”*.

Już sama zapowiedź podpisania Orędzia do Narodów Rosji i Polski obarczona jest wyjątkowo groźnym fałszem.

W trakcie pogrzebu pary prezydenckiej na Wawelu, kard. Stanisław Dziwisz przypomniał, że *„przed blisko półwieczem biskupi polscy wykonali prawdziwie proroczy krok w kierunku Niemców, mówiąc do nich w imieniu narodu polskiego: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie!”* i dodał: *„Musimy dorastać do wypowiedzenia tych samych słów wobec braci Rosjan.”*

Wspólny dokument Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i Episkopatu Polski jest przedstawiany obecnie jako akt historyczny, nawiązujący do Listu biskupów polskich do niemieckich z 1965 roku. *„Orędzie skierowane do narodów Polski i Rosji będzie odpowiednikiem tego, co się stało w relacjach polsko-niemieckich w 1965 roku”* stwierdził ks. Henryk Paprocki, rzecznik Kościoła prawosławnego w Polsce.

Próba narzucenia takiej interpretacji każe przypuszczać, że mamy do czynienia z aktem historycznego fałszerstwa, którego konsekwencje mogą być wręcz nieobliczalne i trwale zaważyć na przyszłości Polski i polskiego Kościoła.

Dość przypomnieć, że List biskupów polskich do niemieckich został poprzedzony autentycznym procesem pojednania i był odpowiedzią polskich hierarchów na wieloletnie starania strony niemieckiej. Wyprzedziły go działania kościołów niemieckich, w tym Kościoła ewangelickiego, który w swym memorandum z 1 października 1965 r. wzywał do zaakceptowania granic na Odrze i Nysie oraz do podjęcia dzieła pojednania Niemców ze wschodnimi sąsiadami. Wcześniejszym gestem intelektualistów ewangelickich było tzw. memorandum z Tybingi - przedstawione deputowanym Bundestagu w roku 1961, nawołujące

zachodniemieckich polityków do odejścia od idei rewizji granic. Okazją do podjęcia procesu pojednania był przede wszystkim Sobór Watykański II, dając możliwość bezpośredniego spotkania przedstawicieli Episkopatów obu krajów. Poprzedziły go wspólne wystąpienia w sprawie beatyfikacji franciszkanina — męczennika Auschwitz — o. Maksymiliana Kolbe czy pielgrzymki niemieckich chrześcijan do miejsc zbrodni hitlerowskich w Polsce. Słowa „*przebaczamy i prosimy o przebaczenie*” — podpisane m.in. przez kardynała Stefana Wyszyńskiego i biskupa Karola Wojtyłę — były nie tylko aktem mądrości politycznej ówczesnych hierarchów Kościoła, ale wyływały z głębokiego przeświadczenia, że istnieją rzeczywiste warunki pojednania „*w tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu*”.

Jeśli ówczesne władze komunistyczne zareagowały z wściekłością na orędzie polskich biskupów — to również dlatego, że było ono wyrazem ewangelicznej i chrześcijańskiej postawy.

Każdy, kto zna stan dzisiejszych stosunków polsko-rosyjskich, musi wiedzieć, że nie spełniają one żadnego z warunków koniecznych do prawdziwego pojednania. W wymiarze politycznym, historycznym czy religijnym — nie sposób nawet wskazać wydarzenia na miarę inicjacji takiego procesu. Również Rosyjska Cerkiew Prawosławna jest daleka od budowania relacji opartych na prawdzie, a wobec reżimu kremlowskiego spełnia dziś rolę stronnika i wasala. Symbolem obecnych relacji może być wypowiedź patriarchy Cyryla, który 4 listopada ubiegłego roku, w ustanowione przez Putina święto Jedności Narodowej, porównał wypędzenie Polaków z Moskwy w roku 1612 do zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami w 1945 roku. Trudno też uwierzyć, by hierarchowie polskiego Kościoła nie dostrzegali roli Rosyjskiej Cerkwi i nie mieli świadomości, że za wspólnym stanowiskiem Orędzia stoi przede wszystkim interes pułkownika KGB.

Jeśli warunkiem pojednania człowieka z Bogiem jest rachunek sumienia, żal za wyrządzone zło i mocne postanowienie poprawy — nie inaczej wygląda droga do prawdziwego pojednania narodów i społeczeństw. Takich intencji nigdy nie było i nie ma ze strony reżimu Putina. Okres ostatnich dwóch lat to czas zbrodni, cynicznego fałszu i systemowej nienawiści — kierowanych przeciwko Polakom i naszym narodowym interesom. Najnowsze dzieje stosunków polsko — rosyjskich są zaś historią kata i ofiary, a wszelkie próby ukrycia lub zamazania tych relacji stanowią zbrodnię na narodowej pamięci.

Na czym zatem miałyby opierać się owo „pojednanie” między kościołami i narodami — jeśli nadal nie ma rachunku krzywd, poczucia winy ani woli poprawy? Jaki akt „wybaczenia” chcą nam przygotować polscy hierarchowie, gdy ukryto prawdę o przyczynach tragedii smoleńskiej, a Prawosławna Cerkiew wspiera człowieka odpowiedzialnego za śmierć naszych rodaków? Czy polski Episkopat zapomniał już słów Jana Pawła II, że „*pojednanie nie może być mniej głębokie niż sam rozłam*” i nie pamięta o hańbie pozorów pojednania?

Jeśli hierarchowie polskiego Kościoła, po raz kolejny wskażą nam na wymiar „*wspólnego przeżywania katastrofy, jaka wydarzyła się pod Smoleńskiem*” i w obecnych relacjach każą upatrywać „*nowy kamień milowy na drodze porozumienia i pojednania*” — trzeba głośno powiedzieć, że będzie to kamień nagrobny, który na dziesięciolecie przygniecie Polaków ciężarem zniewolenia.

*Tekst został opublikowany w Warszawskiej Gazecie.*

**Z inicjatywy Stowarzyszenia Blogmedia24.pl powstał List do abp. Józefa Michalika Przewodniczącego KEP w sprawie Orędzia do Narodów Rosji i Polski. Zachęcam Państwa do wsparcia tej akcji i wysyłania listu.**

**link: <http://blogmedia24.pl/node/58612>**

czwartek, 28 czerwca 2012

## 705. ZABÓJCZY KONSUS

Gdy główne ośrodki propagandy, organy ścigania i rzesze „autorytetów” zaświadczać nam zgodnie o samobójstwie gen. Petelickiego — można ze spokojem przyjąć, że za śmiercią twórcy GROM-u kryje się „seryjny samobójca”, a wszystkie prawicowe „teorie spiskowe” mogą być pomocne w wyjaśnieniu tej tajemnicy. Po pięciu latach doświadczenia metod propagandowych grupy rządzącej, jakkolwiek dylemat w tym zakresie byłby oznaką skrajnego infantylizmu, a wątpliwości — stratą czasu.

Ponieważ w III RP nigdy nie dowiemy się, z jakich powodów zakończył życie Sławomir Petelicki — dziś można jedynie poszukiwać odpowiedzi na pytanie, kim był ten człowiek i jak interpretować jego aktywność po 10 kwietnia? Natomiast próba typowania sprawców lub motywu zbrodni — byłaby niedorzeczna i ograniczona do małych spekulacji. Biorąc pod uwagę życiorys Petelickiego, jego związki z mrocznymi sprawami komunistycznej bezpieki, interesy, w których uczestniczył czy środowiska, z którymi był związany — wykluczenie jednego motywu, na rzecz innego, przypominałoby strzał w ciemno.

Sądzę też, że sprowadzenie tej śmierci wyłącznie do obszaru sprawy smoleńskiej — choć dalece prawdopodobne — nie musi wyczerpywać wszystkich motywacji. Tym bardziej, jeśli podobną ewentualność podsuwa nam jeden z „ojców założycieli” Platformy Obywatelskiej. Taką sugestią można znaleźć w słowach Gromosława Czempińskiego, który komentując śmierć Petelickiego zwrócił uwagę, jakoby „*uległ on niestety teorii, którą głosił PiS, że to był zamach, czyli mimo, że na początku mówił, że do katastrofy doprowadziły błędy w przygotowaniach wizyty to potem raczej zaczął dryfować w stronę zamachu*”.

To nieprawdziwa i zwodnicza sugestia, nieznanująca potwierdzenia w faktach.

Gdybym miał wskazać wypowiedź, która najlepiej charakteryzuje rolę Petelickiego w ostatnich dwóch latach i wyznacza obszar jego politycznej misji, zacytowałbym słowa z wywiadu udzielonego Onetowi w lipcu 2011 roku.

Na pytanie dziennikarza: *czy w Polsce ktoś inny mógłby stanąć na czele rządu niż Donald Tusk?* — Petelicki potwierdza — *oczywiście* a gdy pada pytanie uściślające: *„PiS i Jarosław Kaczyński?”* — odpowiada:

*„Nie, dlaczego chce Pan ze mnie zrobić zwolennika PiS-u, którym nie jestem. Owszem znajdują się tam ludzie logicznie myślący jak np. Zbigniew Girzyński, ale w PO też jest wielu porządných ludzi. Najlepszy dla Polski byłby rząd fachowców.*

*Tusk i Kaczyński nie są dobrym rozwiązaniem dla Polski. Zakończ ten wywiad cytatem z Pawła Kukiza: "Kaczor i Donald do Disneylandu".*

Sformułowanie „rząd fachowców” oraz postulat odrzucenia dotychczasowego układu politycznego sugeruje, że Petelicki był zwolennikiem budowania „trzeciej siły”, a zatem partię opozycyjną traktował równie krytycznie, jak grupę rządzącą. Można się o tym dowiedzieć z szeregu wypowiedzi generała, gdy oceniał okres rządów PiS-u, reformy dokonywane w wojsku czy likwidację WSI. To postawa bliska wielu innym postaciom, które uaktywniły się w okresie wyborczym i – podobnie, jak ludzie związani z portalem Nowy Ekran – próbowali nas przekonać, że tylko „polityczna alternatywa” może ocalić Polskę. Warto wspomnieć, że Sławomir Petelicki darzył szczególną estymą ludzi PJN-u, współpracując np. z prof. Krzysztofem Rybińskim czy przyrównując Joannę Kluzik-Rostkowską do „Żelaznej Damy” i Angeli Merkel.

Ponieważ po śmierci Petelickiego podkreśla się głównie jego oceny odnoszące się do rządu Tuska i śledztwa smoleńskiego, trzeba zwrócić uwagę na poglądy dotyczące opozycji.

W wywiadzie udzielonym Playboypowi w styczniu 2011 roku, generał nie szczędził PiS-owi gorzkich opinii, a nawet wspominał o rzekomych „czarnych listach” Ziobry i Święczkowskiego na których miały znajdować się nazwiska osób typowanych do aresztowania, nie zapominając o podkreśleniu „sam byłem na takiej liście za rządów PiS-u”. Opowiedział przy tym barwną historię, którą ze względu na występujące w niej postaci warto zacytować w całości. Gdy dziennikarz „zszokowany” opowieściami o kaczyńskim terrorze zakrzyknął:

*- To wszystko brzmi jak jakieś fantasmagorie, mity... - Petelicki wyjaśnił:*

*„Ale to prawda. Macierewicz założył nawet podsłuch Radkowi Sikorskiemu, który w ich rządzie był ministrem obrony. Kiedy Jarosław dowiedział się, że Sikorski od czasu do czasu się ze mną spotyka, wezwał go do siebie i zabronił mu jakichkolwiek kontaktów z generałem Petelickim. Po pewnym czasie Radek przysłał mi prześmiewczy mail – „Fatwa się skończyła”. W post scriptum dodał – „Panie Antoni, proszę zameldować premierowi o tym ostatecznym dowodzie mojej nielojalności”.*

Osoby występujące w tej opowieści należałoby umiejscowić na dwóch przeciwległych biegunach - sympatii i antypatii, przy czym nietrudno się domyśleć, które miejsce zostało przeznaczone Antoniemu Macierewiczowi. Stosunek generała do tych dwóch postaci być może najlepiej definiuje jego rzeczywiste poglądy. Petelicki doskonale pamiętał, że w czerwcu 2008 roku został wskazany przez przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej WSI jako jedna z osób inicjujących ataki na nowe kadry Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Antoni Macierewicz stwierdził wówczas, że „autorami tego ataku są ludzie, którzy stanowili elitę służb sowieckich w PRL. Tacy jak Sławomir Petelicki i Aleksander Makowski z Wydziału XI departamentu I MSW, zajmującego się w latach 80. dywersją antykomunistyczną, czyli nami, ruchami niepodległościowymi” i podkreślił: „Trzeba na to patrzeć jako na ciąg prowokacji opracowanych i realizowanych przez takie osoby jak Makowski, Petelicki, Dukaczewski, Tobiasz, Lichocki. Zespół byłych oficerów ukształtowanych przez służby sowieckie. Oni z jednej strony posługują się narzędziami przyswojonymi na szkoleniach GRU i KGB, a z drugiej – zapewnili sobie niebywale wysoką pozycję w Polsce lat 90. Dzięki informacjom i dyspozycyjnej agenturze, dzięki bezradności i naiwności części rządzących i mediów – osiągnęli wpływy jakich nigdy nie mieli w PRL”.

Niezależnie, jakie oceny na temat Petelickiego pojawiają się obecnie, dobrze byłoby pamiętać o tych słowach Antoniego Macierewicza. Nie może zatem dziwić, że Petelicki we wrześniu 2009 roku komentując zaginięcie szyfranta WSI Stefana Zielonki, stwierdził:

*„Kluczową sprawą w poszukiwaniach zaginionego podoficera jest stan naszego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. Powołując się na wypowiedź gen. Rusaka, byłego szefa WSI, można stwierdzić, że dziś takowych nie posiadamy, ponieważ skutecznie zniszczył je Antoni Macierewicz publikując tajne dane istotne dla działania służb. Z wywiadu zostali usunięci wybitni specjaliści - także bardzo młodzi matematycy i informatycy. To powoduje, że nasza służba traci możliwości ochrony żołnierzy - co było widać w sprawie Nangar Khel. Zajmowała ona się wówczas szukaniem haków na żołnierzy, a nie ich ochroną.”*

W połowie 2011 roku, gdy sąd uniewinnił polskich żołnierzy, twórca GROM-u komentował: „Nie doszukuję się motywów politycznych w wyroku sądu, bo byłoby to z mojej strony świństwo. Doszukuję się ich jednak w działaniach Antoniego Macierewicza bo sprawa "zbrodni ludobójstwa" w Nangar Khel miała się zacząć od raportu, który polityk PiS przyniósł do MON-u. Coś dziwnego się stało, że jak PiS przegrało wybory, to ci żołnierze stali się zbrodniarzami.”

Na drugim biegunie znajdziemy oceny dotyczące ministra Sikorskiego – przy czym są one skrajnie odmienne od ocen przysługujących Tuskiemu czy jego ministrom i tak entuzjastyczne, że w lipcu 2011 roku Petelicki nie waha się wyznać: „Jednak wśród rządu jest jedna osoba z której Polacy mogą być dumni, to Radosław Sikorski - prawdziwy mąż stanu.”

Zdaniem generała, jest to „człowiek, który może zmienić losy Polski na lepsze. On się tym nie chwali, ale to Radosław Sikorski zabiegał przez dwa lata ze swoją żoną o to, żeby firmy amerykańskie wydobywały gaz łupkowy w Polsce dzięki czemu Polska będzie się liczyła na świecie, będzie partnerem dla UE i będzie jeszcze bliżej związana z USA. Nie będziemy potrzebowali tarczy, patriotów, bo to Amerykanie będą nas chronić, chroniąc swoje interesy w Polsce.”

Jakkolwiek piękna jest wizja proamerykańskiego męża stanu oraz generała III RP sławiącego sojusz z USA - powinniśmy odczuwać poważny dysonans między werbalnymi deklaracjami Petelickiego, a posmoleńską rzeczywistością. Pojawiają się bowiem pytania: jeśli generał ostro krytykował Tuska, Klicha czy Janickiego za zaniedbania dotyczące lotu do Smoleńska – czemu nie dostrzegał ich po stronie resortu kierowanego przez Radosława Sikorskiego? Skoro chciał udziału NATO w wyjaśnianiu tragedii smoleńskiej i opowiadał się za ścisłą współpracą ze służbami USA - dlaczego bronił „rosyjskiego peryskopu nad Polską” i nie widział zagrożeń w odradzaniu wpływów środowiska WSI? Jeżeli po 10 kwietnia stał się orędownikiem sprawy smoleńskiej i posiadał wiedzę dotyczącą katastrofy – czemu nie dostrzegał wspólnego celu z przewodniczącym parlamentarnego zespołu smoleńskiego, a brata prezydenta Kaczyńskiego wysyłał „do Disneylandu”, na polityczną emeryturę?

Pytań, w których łatwo wskazać rażącą niekonsekwencję, fałsz lub polityczny infantylnizm opinii głoszonych przez Petelickiego można stawiać dziesiątki. Począwszy od krytyki stanu polskiej armii – zawężonej do ataku na cywilne kierownictwo MON, poprzez recenzowanie służb specjalnych – bez wskazania roli WSI i ludzi bezpieczeństwa, po próbę zdefiniowania odpowiedzialności za tragedię smoleńską – w której zabrakło ukazania prawdziwych mechanizmów, jakie do niej doprowadziły. Krytyka obecnego układu w wydaniu Petelickiego nigdy nie wykraczała poza pewne ramy i nie sięgała poziomu rzeczywistych mocodawców i inspiratorów. W równym stopniu dotyczyła ludzi Tuska, jak polityków opozycji, koncentrując się raczej na postaciach drugorzędnych (Klich czy Janicki). Warto mieć świadomość, że gdyby Petelicki – przedstawiany powszechnie jako posiadacz najgłębszych tajemnic - chciał autentycznie wspomóc sprawę smoleńską, mógł to uczynić w znacznie większym stopniu niż ujawniając rewelację o partyjnym esemesie. W kontekście wiedzy jaką, generał służb III RP powinien posiadać - przypominała ona wrzutkę, mającą raczej uwiarygodnić postać informatora niż odslaniającą smoleńskie tajemnice.

Ponieważ nie sposób uwierzyć, by ten doświadczony funkcjonariusz bezpieczeństwa, generał służb i członek „elit” III RP był politycznym analfabetą lub mówił to, co mu ślina na język przyniesie - należałoby przyjąć, że mieliśmy raczej do czynienia z polityczną grą, rodzajem spektaklu jednego aktora, który miał zbudować mit człowieka niezależnego i uwiarygodnić Petelickiego w oczach potencjalnych wyborców. Rzekomy radykalizm wypowiedzi generała- tak chętnie podkreślany w mediach, wpisywał się w schemat pozyskiwania zaufania prawicowego elektoratu i miały na celu wykreowanie tej postaci jako „politycznej alternatywy” – „człowieka honoru”, który jest w stanie przeciwstawić się zepsutemu establishmentowi. Byłby to kolejny przykład mitologii „trzeciej drogi”, tak bliskiej wielu generałom LWP i funkcjonariuszom bezpieczeństwa. Mitologii, niezwykle groźnej dla autentycznych inspiracji Polaków i prowadzącej ich zawsze na polityczne manowce.

Powinno jedynie dziwić, że w budowaniu tej mitologii Petelicki tak wielką rolę przywiązywał do postaci Radosława Sikorskiego, wskazując go wręcz jako najgroźniejszego rywala Donalda Tuska i Bronisława Komorowskiego. W wywiadzie z lipca 2011 roku, na pytanie: czy Sikorski może odegrać w przyszłości jeszcze większą rolę? – padła odpowiedź:

*„Tak i tego boi się Donald Tusk. Premier wystawił Sikorskiego przeciwko Komorowskiemu w prawyborach PO, a sam poparł i grał na Komorowskiego, żeby osłabić Sikorskiego. Muszę przyznać, że Bronisław Komorowski coraz bardziej mi się podoba dzięki swoim odważnym i niezależnym od Donalda Tuska decyzjom. Widać, że Komorowski nie siedzi już pod żyrandolem Tuska, ale w dalszym ciągu uważam, że Sikorski byłby dużo lepszym prezydentem i nie miałby wpadek jak Komorowski. Jest znany i szanowany na świecie i mógłby bardzo pomóc Polsce swoimi kontaktami w USA. Polska będzie kiedyś stawiała pomniki Sikorskiemu, jeśli ruszy wydobycie gazu łupkowego.”*

Jeśli w ogóle przyczyn śmierci gen. Petelickiego wolno poszukiwać w jego aktywności politycznej czy zaangażowaniu w sprawę Smoleńska – to warto mieć świadomość, że wypowiedzi medialne i najostrzejsze słowa krytyki nie niosły żadnych zagrożeń dla sił, które stoją za pułapką smoleńską. Każda z takich wypowiedzi opublikowana w kontrolowanej przestrzeni medialnej może być bez trudu przemilczana, zdezwuowana lub przysłonięta tematem zastępczym. Na przestrzeni ostatnich lat nie było przypadku, by denuncjacje medialne trwale zaszkodziły grupie rządzącej. Ani przyznanie się do „ojcostwa” Platformy przez funkcjonariusza SB, ani informacja o partyjnych esemesach z wersją rosyjską – nie miały wpływu na notowania rządu Tuska. Dopóki umysłami Polaków władają medialni demiurzy, a głównym atrybutem władzy jest propaganda – żadna, najbardziej szokująca wiadomość nie zmieni tej rzeczywistości.

Petelicki musiałby zatem wykonać lub planować wykonanie kroku, który wykraczał poza dotychczasowe formy aktywności i mógł realnie zagrozić czymś interesom. W równym stopniu mógł to być akt polityczny, prowadzący np. do tworzenia „ekipy zapasowej” czy formowania „rządu fachowców”, jak dotyczący inicjatywy gospodarczej, która naruszałaby plany potężnych graczy i wywoływała konflikt interesów. Takie zagrożenie niosłoby sytuację prowadzącą do zawarcia realnych sojuszy politycznych lub gra służąca „nowemu rozdaniu”. Podobnie byłoby odebrane biznesowe zaangażowanie po stronie konkurencji, szczególnie tam gdzie ważą się interesy branży energetycznej.

Taki krok musiałby zmierzać w stronę podważenia dotychczasowego status quo, ustanowionego na początku 2010 roku, gdy Donald Tusk zrezygnował z upragnionej prezydentury na rzecz kandydata wspieranego przez środowisko WSi. Późniejsze wydarzenia, a w szczególności tragedia smoleńska utrwaliły ten konsensus i – jak się wydawało – wyznaczyły stabilny podział ról. Mógł on zostać zachwiany tylko w przypadku globalnych zawirowań (również na arenie międzynarodowej) lub w wyniku walki o podział nowych łupów. Krytyczne wypowiedzi Petelickiego oraz różne formy ofensywy „trzeciej siły”, widziałbym bardziej w obszarze działań zmierzających do podważenia tego konsensusu niż będących wynikiem przemiany byłego funkcjonariusza SB. Dotąd jednak były to „spory w rodzinie”, nieprowadzące do otwartego konfliktu. By Petelicki stał się człowiekiem niewygodnym, musiała nastąpić sytuacja krytyczna lub jej realna zapowiedź.

Jeśli o mechanizmach rządzących III RP trzeba wnioskować na podstawie faktów, a nie słów i deklaracji – to istotnymi przesłankami zawsze powinny być wydarzenia dokonujące się w tle spektakularnych widowisk, czasem nie tylko mało widoczne, ale pozornie oddalone od siebie. W kontekście sprawy Petelickiego, być może takim wydarzeniem jest wzrost aktywności prokuratury i zarządzenie przeszukania terenu MSZ, w związku ze sprawą niszczenia rzeczy należących do Tomasza Merty, przesłuchanie ambasadora RP w Moskwie, a nawet zapowiedź przeszukania terenu ambasady. Prokurator Dariusz Ślepokura z warszawskiej prokuratury zaznacza przy tym, że „śledczy na obecnym etapie postępowania nie zajmują się kwestią odpowiedzialności kierownictwa resortu spraw zagranicznych”. Może wskazówka tkwi w niespodziewanym podjęciu dyżurnego tematu „tajnych więzień” i wysypie publikacji na temat umowy łączącej Agencję Wywiadu z CIA w sprawie ośrodka w Kiejkutach? Powrót tego wątku zawsze anonsuje poważną grę w obszarze służb specjalnych.

Może trzeba jej poszukiwać w zaskakującym komentarzu z 9 czerwca br na forum byłych oficerów WSi., w którym mowa jest o „poczynaniach katoprawicy motywowanych poleceniami z zewnątrz”, jej „mentorach i męczennikach” oraz „oficerach wywiadu USA”, którzy niczym „sprężyny poruszają ten cały katoprawicowy cyrk”? Czy do takich wydarzeń wolno zaliczyć powierzenie stanowiska wiceministra obrony narodowej gen. Waldemarowi Skrzypczakowi – współautorowi (razem z Petelickim) tzw. Raportu Zespołu Ekspertów Niezależnych, w którym domagano się m.in. postawienia Donalda Tuska przed Trybunałem Stanu? To tandem Petelicki-Skrzypczak formułował najbardziej krytyczne opinie pod adresem resortu obrony, armii i polityków grupy rządzącej. Wejście Skrzypczaka w struktury rządu, wydaje się sensownym zwieńczeniem okresu tej krytyki.

Obserwacja epizodów rozgrywanych w teatrze III RP może być pomocna w ocenie wymowy śmierci gen. Petelickiego – zawsze jednak będą to dociekania ograniczone do sfery domniemań. Tylko dwóch rzeczy można być pewnym w kontekście tej śmierci. Medialne występy rzeszy znajomych i przyjaciół generała świadczą, że została ona właściwie zrozumiana i zinterpretowana, a nas w najbliższych miesiącach czeka nasilenie ofensywy „pojednania” polsko-rosyjskiego, wzmożenie gestów propagandowych oraz zacieśnianie więzi z reżimem Putina. Taki czas wymaga nie tylko akcji dyscyplinujących, ale skutecznego powściągnięcia wybujałych ambicji – tak, by konsensus osiągnięty tuż przed kwietniową tragedią mógł nadal obowiązywać w *prawiślinskim kraju*